SPECJALNY DODATEK




NA ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

JAK TUSK Z PUTINEM GRALI PRZECIWKO PREZYDENTOWI

BROŃMY DZIECI PRZED PIEKŁEM TRANZYCJI

POPROWADZIŁ POLSKĘ DO ZŁOTA

ROZMOWA Z SIATKARZEM ŁUKASZEM KACZMARKIEM

# SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 30 (557) 2023
31 lipca – 6 sierpnia 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

SPRAWA PANI JOANNY:

# KULISY MANIPULACJI

JAKI BĘDZIE FINAŁ JEJ ROLI ŻYCIA? I DLACZEGO POLITYCY OPOZYCJI POŻAŁUJĄ, ŻE WZIĘLI TĘ HISTORIĘ NA SWOJE SZTANDARY

# GORĄCE POLITYCZNE WAKACJE Z PUBLICYSTAMI SIECI



CZYTAJ **50% TANIEJ**

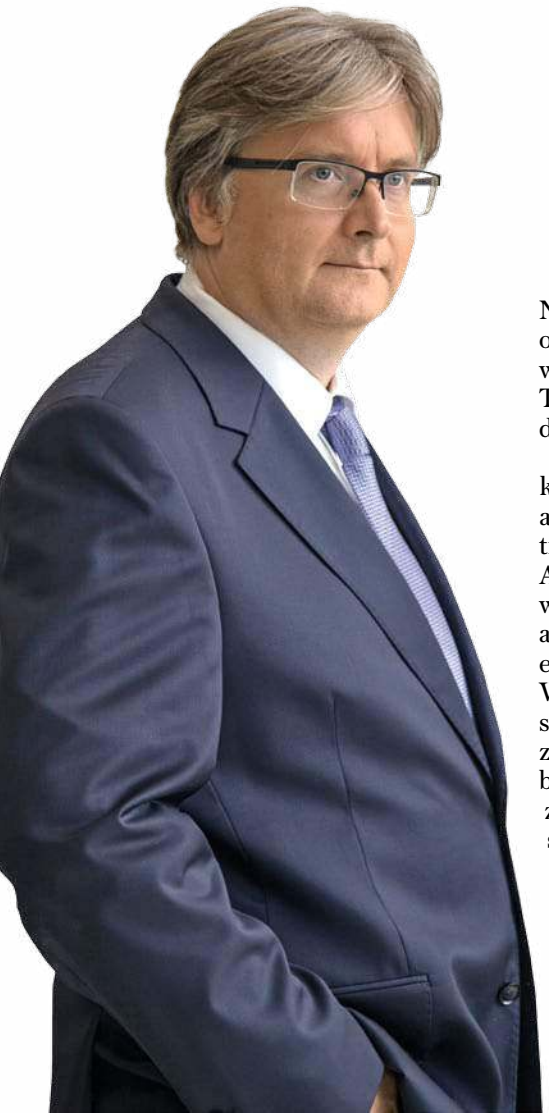
Korzystaj z e-prenumeraty SIECI i wSIECI HISTORII
oraz dostępu do **Premium** + wPolityce.pl

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl a752d979dc

# Cuchnący spadek po rządach Tuska



Gospodarka odpadami to może mało prestiżowy, ale za to wielce dochodowy biznes. Gdyby tak nie było, to nikt nie kusiłby zapewne byłego ministra skarbu w rządzie Tuska kilkumilionowymi łapówkami w zamian za załatwienie – jak twierdzi prokuratura – gigantycznych kontraktów z warszawskim MPO.

Jak można zarobić na śmieciach? Otóż zarabia się na ich przetwarzaniu, składowaniu, spalaniu oraz na handlu nimi. W odpadach można znaleźć wiele wartościowych surowców, takich jak złom różnych metali, szkło czy tworzywa sztuczne. Polska w ub.r. sprzedała za granicę 350 tys. ton takich odpadów. Sprowadziliśmy z kolei nieco mniej, bo 300 tys. ton. Dla porównania Niemcy importują rocznie ok. 5 mln ton odpadów, Francja – 6,5 mln ton, a niewielka Holandia – niemal 4,5 mln ton. Trudno więc powiedzieć, że Polska jest dzisiaj śmietniskiem Europy.

Jednak nie zawsze tak było. Przykładowo w 2011 r., a więc w samym apogeum rządów PO-PSL, do Polski trafiło z zagranicy 1 mln ton odpadów. Aż do 2013 r. import śmieci utrzymywał się na podobnie wysokim poziomie, a odpady trafiały do nas nawet z tak egzotycznych miejsc jak Ghana czy Wenezuela. Był to w dużym stopniu skutek działania mafii śmieciowej. Biznes polegał m.in. na tym, że przedsiębiorcze firmy z Polski oferowały swoim zagranicznym kontrahentom wywóz śmieci do naszego kraju. Kontrahenci z zagranicy chętnie się na to zgadzali, bo było to znacznie tańsze niż utylizacja. Zwłaszcza gdy w grę wchodziły odpady niebezpieczne. W ten sposób rozmaite chemikalia, azbest, akumulatory i inne paskudztwa trafiały do Polski, gdzie składowano je w dzierżawionych lub zakupionych składowiskach, zwykle w starych halach, a niekiedy po prostu pod gołym niebem. W 2018 r. doszło do serii pożarów na takich wysypiskach, bo mafia śmieciowa, zamiast przetwarzać odpady, postanowiła się ich po prostu tanim kosztem pozbyć. Wówczas też zdecydowano w Polsce o wprowadzeniu zakazu importu śmieci, z którego wyłączono jedynie takie odpady – w tym również potencjalnie niebezpieczne (tzw. grupa bursztynowa) – które nadają się do ponownego przetworzenia, co jest zresztą tanią i spotykaną na całym świecie formą pozyskiwania poszukiwanych surowców.

Nie oznacza to jednak, że problem całkowicie zniknął, o czym świadczy niedawny pożar wysypiska pod Zieloną Górą. Donald Tusk, choć płonące wysypisko powstało właśnie za jego rządów, natychmiast wyczuł świetną okazję do ataku na PiS – tym razem z ekologicznej flanki. To zresztą nie pierwsza taka sytuacja, PiS obrywał już za Rospudę, za kornika w Białowieży, za przekop Mierzei Wiślanej, za śnięte ryby w Odrze, a nawet za martwą wiewiórkę w warszawskim parku Szczęśliwickim. Oczywiście nikt nawet nie udaje, że chodzi tu o ekologię. Bo po awarii oczyszczalni Czajka i po zapowiedzi odstrzału dzików w Warszawie przez Rafała Trzaskowskiego, żadnych protestów nie uświadczyliśmy.

Podobnie jak w przypadku imigrantów Platforma posłużyła się manipulacją mającą wskazywać, że import odpadów do Polski jest ciągle wysoki. Prawda jest jednak taka, że – po pierwsze – jest on niższy niż kiedyś, gdy importem zajmowała się mafia, a po drugie – obejmuje dziś wyłącznie śmieci podlegające przetworzeniu, a w przypadku grupy bursztynowej – monitorowane dodatkowo przez państwo.

Z kolei jeśli chodzi o pożar w Zielonej Górze, to doszło do niego głównie wskutek niekompetencji urzędników samorządowych, którzy najpierw wydali zgodę na powstanie wysypiska, potem ją cofnęli, a na koniec nie mogli wyegzekwować utylizacji zgromadzonych tam niebezpiecznych chemikaliów. Nie wiedzieli nawet, ile tych substancji tam jest. Bo oczywiście firma, której wcześniej udzielono pozwolenia na wysypisko, dawno się ulotniła. A gdy śmietnisko się zapaliło, samorządowcy, reprezentujący w większości partię Tuska, natychmiast zwalili winę na rząd, bo nie dał im pieniędzy na utylizację.

Z jakiej jednak paki rząd ma wydawać pieniądze podatników na naprawianie błędów nieudolnych samorządowców z Platformy? Może niech sami za to zapłacą. Najlepiej podczas kolejnych wyborów.

***Konrad Kołodziejski***

Autopromocja



eprasa.pl a752d979dc

# SIECI spis treści




**24** Strategia hieny
*Stanisław Janecki*



**91** Morze, które jest jeziorem
*Przemysław Barszcz*




**94** Z Łukaszem Kaczmarkiem
*rozmawia Cezary Kowalski*


## NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **OGNIEM W LORDA**
Krzysztof Feusette

9 **OPIEKUNOWIE OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI BĘDĄ MOGLI PRACOWAĆ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZAMIENIAM SIĘ W ŚWINIĘ**
Piotr Cywiński

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **OBOWIĄZKI HISTORYKA A HISTORYCZKI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA KATARZYNY SOCHY**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **NA DRODZE KONTRKULTURY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WARTO BYĆ ODWAŻNYM**
Samuel Pereira

## TEMAT TYGODNIA

20 **ROLA ŻYCIA**
Dorota Łosiewicz

## KRAJ

24 **STRATEGIA HIENY**
Stanisław Janecki

28 **RĘKA W RĘKĘ Z KREMLEM**
Marek Pyza, Marcin Wikło

34 **KONSERWATYŚCI PATRZĄ NA WSCHÓD**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **CHROŃMY NASZE DZIECI**
Dariusz Matuszak

## POWSTANIE WARSZAWSKIE

40 **Z JANEM OŁDAKOWSKIM**
rozmawia Marcin Wikło

44 **PRZY TAKICH DZIEWCZYNACH NIE MOŻNA SIĘ BYŁO BAĆ**
Katarzyna Utracka

48 **LISTOWNE ROZSTANIA**
Michał Tomasz Wójciuk

54 **MIELI WRÓCIĆ NAJKRÓTSZĄ DROGĄ**
Rafał Brodacki

60 **MOJE SERCE W WARSZAWIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
rozmawia z Piotrem Blakiem

## OPINIE

64 **WYŚCIG DO SŁAWY**
Konrad Kołodziejski

## ŚWIAT

67 **KRAINA LĘKÓW**
Aleksandra Rybińska

70 **ŻYDOWSKA WOJNA O KLAUZULĘ ROZSĄDKU**
Jan Rokita

73 **HISZPANIA PĘKNIĘTA NA PÓŁ**
Małgorzata Wołczyk

76 **CZY I GDZIE UDERZĄ WAGNEROWCY?**
Marek Budzisz

## SIECI KULTURY

79 **ATOMOWA ROLA**
Jolanta Gajda-Zadworna

82 **FILM, KTÓRY WYGRAŁ Z CENZURĄ**
Goran Andrijanić

84 **POPKULTUROWE UNIWERSUM AI**
Robert Tekieli

85 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

86 **WIESZCZ NOWEGO ŚREDNIOWIECZA**
Maciej Walaszczyk

90 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

## NATURA DLA LUDZI

91 **MORZE, KTÓRE JEST JEZIOREM**
Przemysław Barszcz

## SPORT

94 **Z ŁUKASZEM KACZMARKIEM**
rozmawia Cezary Kowalski

## KUCHNIA

100 **MOJE SMAKI: NATALIA BOROWIK, KAZIMIERA SOLEJUKOWA, BRONISŁAWA WINNA**
Jolanta Gajda-Zadworna

101 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

## NA KONIEC

102 **CHCIELI BYĆ WOLNI I WOLNOŚĆ SOBIE ZAWDZIĘCZAĆ**
Alina Czerniakowska

103 **MUZYKA POD OKIEM OPATRZNOŚCI**
Adam Ciesielski

104 **RUSCY IDĄ!**
Wiktor Świetlik

104 **REWOLUCJA POŻERA WŁASNE DZIECI**
Lech Makowiecki

105 **W 100-LECIE URODZIN**
Leszek Długosz

106 **Z JAKĄ SIŁĄ UDERZY**
Andrzej Zybertowicz

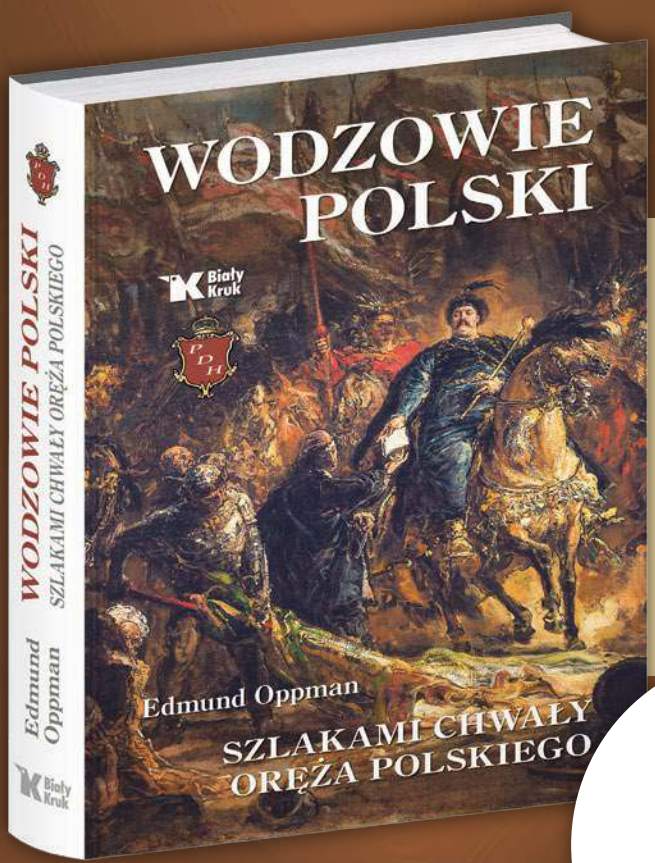

Autopromocja



eprasa.pl a752d979dc

**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ**

SIECI wSIECI HISTORII




Edmund Oppman przedstawia historię Polski poprzez dokonania wielkich wodzów, bohaterów, patriotów.

Pasjonujące opowieści o wielkich Polakach splatają się z historiami orężnych zwycięstw Rzeczypospolitej i dniami chwały Ojczyzny.

**PATRIOTYCZNY BESTSELLER | 360 STR. | TWARDA OPRAWA | PIĘKNE ILUSTRACJE I MAPY**

**75 książek w prezencie**




Fot. Shutterstock

Książkę **„Wodzowie Polski. Szlakami chwały oręża polskiego”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

**Zamów już dziś na:** **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
**prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl a752d979dc



# Sygnalista nadaje

W rozmowie z portalem plejada.pl ***Jerzy Stuhr*** odniósł się do wydarzenia z jesieni ub.r., gdy pod wpływem alkoholu uczestniczył w kolizji z motocyklistą, a następnie oddalił się z miejsca stłuczki. „Czuję się niewinny, skończyło się na kolizji. Tak naprawdę nic nie zrobiłem, więc wewnętrznie jestem kompletnie czysty. Oczywiście denerwują mnie pomówienia i stosunek prokuratury do mojej osoby, która proponowała coraz wyższe kary i chciała mnie zjeść. Pan Ziobro ścigał pół roku. Powiedzieli, że będą to robić do końca, a ja się zastanawiam: po co?" – pytał aktor. Jak widać, można zagrać tysiąc ról, niektóre w sposób wybitny, i niczego z nich nie zrozumieć.

Aktorowi odpowiedział ***Zbigniew Ziobro***. „Stuhr to esencja polskich pseudoelit przekonanych o swojej wyjątkowości i stania ponad prawem. Przez lata chronieni przez sądy i lewackie media uwierzyli, że są rasą nadludzi, którym wolno więcej. Pyta pan, po co prokuratura pana ściga?! Żeby wymierzyć sprawiedliwość, bo w wolnej Polsce nie macie większych praw" – napisał minister. O tym także będę jesienne wybory.

Również aktor Andrzej Chyra aktywnie komentuje rzeczywistość. W rozmowie z „Newsweekiem" mówi tak: „Uwierają rzeczy istotne, ale nie tak jak ból i wściekłość po tym, co zrobił i codziennie robi PiS z Polską i Polakami. Uwiera mnie bezgraniczna ufność jednej trzeciej społeczeństwa w nieomylność Jarosława Kaczyńskiego". Receptą ma być ustawa zasadnicza: „Dla mnie konstytucja to podręcznik demokracji. Proste, krótkie zdania. Dla każdego łatwe do zrozumienia. Wystarczy otworzyć i czytać, a każdy zrozumie, jak działa PiS". Chyba nie czytał. W naszej konstytucji niewiele jest prostych zdań. Konstytucja to przestrzeń, nie recepta.

Niektóre wypowiedzi Chyry mogą tylko śmieszyć. Np. taka: „To nie jest tak, że świat uwziął się na Polskę. To Polska uwzięła się na świat i jest katolickim, zabobonnym, zacofanym krajem, w którym będący u władzy mają możliwość dojenia tego kraju i będą to robić. To, że pozwalamy zaniżać standardy prawne, wolnościowe, obywatelskie, sprawia, że nie nadążamy za modernizującym się światem i znów stajemy się krajem kompleksów. Krajem, z którym nikt nie chce robić interesów, któremu nikt nie ufa". Bardzo zdumiewający opis jak na kraj, który w tempie rozwoju gospodarczego przegonił Chiny i nadgonił więcej dystansu do najbogatszych niż ktokolwiek inny w tym samym czasie. To po prostu bełkot.

A jakie standardy proponuje opozycja? Profesorowie prawa Mirosław Wyrzykowski i Marcin Matczak dywagowali w rozmowie z Jarosławem Kuiszem z „Kultury Liberalnej", czy po zmianie władzy polityków PiS należy wsadzać do więzień. „Jakub Bierzyński, z którym polemizowałem na ten temat, powiedział, że […] wchodzenie w szczegóły doprowadzi do przegranej opozycji. Twierdził, że parę osób należałoby zatrzymać chociażby dla efektu medialnego, pewnego rodzaju katharsis" – zagaił Kuisz. Otwarcie przyznał, że zemsta

*Mentzen czuje się tak pewnie, że zaczyna już korwinić. „Nigdy szczegółowo nie badałem instytucji Lasów Państwowych, mogę tu być laikiem, ale co do zasady wolałbym – i kiedyś tak było, że lasy były prywatne. Lasy prywatne miały się znacznie lepiej niż państwowe" – stwierdził w rozmowie z podróżnikiem Wojciechem Cejrowskim. Lasy może i tak, ale ludzie, którzy wokół nich mieszkają, już niekoniecznie.*



eprasa.pl a752d979dc

– jeśli nadejdzie, co wątpliwe – będzie bezprawną akcją polityczną. Dobrze wiedzieć.

Matczak także flirtuje z myślą o nowej Berezie Kartuskiej, tym razem dla ludzi obozu niepodległościowego: „Wydaje mi się, że to pytanie można zadać w dwóch porządkach. Po pierwsze, w porządku prawnym. Jesteśmy prawnikami i to dla nas naturalny sposób myślenia. Jednak ta sytuacja moim zdaniem coraz mniej potrzebuje prawników. Po drugie, to pytanie jest zadawane również w porządku emocjonalnym. Ludzie, dla których praworządność – coś bardzo wartościowego – została zniszczona, mają potrzebę odwetu. I wydaje im się, że najlepszym sposobem takiego odwetu jest kara. I to kara spektakularna. To jest potrzeba, nad którą trzeba się pochylić. Chociaż niekoniecznie trzeba dać się jej spełnić". Śmielej, śmielej. Im mocniej opozycja uderzy, tym szybciej obróci się to przeciwko niej.



Prof. Wyrzykowski chce iść w inną stronę: „Odpowiedzialność karna jest zindywidualizowana. Jeżeli odejdziemy od tego sposobu myślenia, dokona się rewolucja. Będzie to przykład swoistego robespieryzmu. Jednak poziom emocji jest tak duży, że ludzie muszą uzyskać satysfakcję emocjonalną. Kiedy będziemy zastanawiali się nad przywracaniem praworządności, jednym z elementów, które należy koniecznie rozważyć, jest zadośćuczynienie tym, którzy stali się ofiarami naruszania prawa. Myślę o prokuratorach, którzy zostali zdegradowani. Myślę o sędziach, którzy zostali pozbawieni prawa wykonywania zawodu bez pozbawienia ich statusu sędziego. Myślę o tych, którzy zostali skazani na nieprawdopodobnie wysokie mandaty w stanie epidemii tylko za to, że stali na ulicy". Warto by najpierw zadośćuczynić policjantom, których poniżyli lub fizycznie zaatakowali aktywiści opozycji, a których sądy taśmowo uniewinniają.



A obelgi wciąż płyną, może właśnie z powodu braku kary. W Krakowie policjantów obrażała ***Marta Lempart***. „Nie wiedziałam, że to są takie szmaty, ja nie chciałam wierzyć, że to są cyngle, że to są kundle" – mówiła, odwołując się do coraz bardziej dwuznacznej sprawy pani Joanny. I rozwijała: „Bardzo przepraszam wszystkie ofiary przemocy policyjnej w Polsce, że byłam w tej większości, która myślała, że te ku...wy się do czegoś nadają". W Polsce rzeczywiście nie ma ani praworządności, ani państwa prawa. I nie będzie, dopóki sądy będą puszczały bez kary ludzi uderzających w podstawy naszej państwowości, plujących w twarz tym, którzy naszemu państwu służą. Często z narażeniem życia. To jest prawdziwy powód do kompleksów, bo żadne państwo zachodnie na coś takiego by sobie nie pozwoliło.



Dziennikarz TVN24 Arkadiusz Wierzuk zwrócił się do Dominika Tarczyńskiego z prośbą o wypowiedzenie się do kamery na temat sytuacji związanej z KPO do programu „Czarno na białym". Odpowiedź europosła PiS mogła zaskoczyć przedstawiciela stacji z Wiertniczej. „Z przyjemnością wezmę udział w programie na żywo waszej stacji, w którym odpowiem na pana pytania, a pan na moje... Proszę wyznaczyć czas i miejsce debaty na żywo. Jestem gotowy". Nie można się dziwić. Nazywanie rzeczy po imieniu jest bronią słabszych, ale w tych warunkach, które mamy, to dobra metoda.

Okazało się, że Dominik Tarczyński to nie jedyny europoseł PiS, któremu złożono ofertę wypowiedzenia się na potrzeby programu. „Dostałem podobną propozycję i podobnie odpowiedziałem. Chętnie wystąpię w TVN24, ale tylko w programie na żywo, by nie było możliwości cięcia i manipulowania moją wypowiedzią" – poinformował Witold Waszczykowski. Może powinna to być zasada, którą stosują wszyscy politycy obozu niepodległościowego?

Jeśli już o standardach mowa: prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś oraz lider Nowej Nadziei, współprzewodniczący Konfederacji Sławomir Mentzen wystąpili na wspólnej konferencji przed siedzibą izby. Formalnie chodziło o poparcie projektu Konfederacji, który rozszerza kompetencje NIK m.in. na spółki państwowe. Ale sens tego sygnału był inny, bo przecież na listach Konfederacji znajdzie się Jakub Banaś – syn i asystent społeczny szefa NIK. „To jest niewybaczalne złamanie nie tylko ustawy o NIK, lecz także obyczaju. Po takim występie szef NIK powinien się honorowo podać do dymisji" – powiedział wiceszef Polski 2050 Michał Kobosko. Trudno się z nim nie zgodzić.

„Opuszczam klub PiS oraz partię Suwerenna Polska i dołączam do koła poselskiego Konfederacji" – poinformowała posłanka Anna Maria Siarkowska. Dlaczego? „W ramach Suwerennej Polski bardzo mocno krytykowaliśmy politykę, która jest prowadzona przez premiera Morawieckiego, politykę uległości wobec Brukseli. Na tę chwilę Suwerenna Polska wybrała jednak dalsze wspieranie projektu Zjednoczonej Prawicy. Ja uważam, że ten projekt już się absolutnie wypalił". Co się jeszcze okaże. Dziś więcej wskazuje na to, że fala, która niosła Konfederację, była rzeczywiście wysoka, ale przyszła za wcześnie. Mogą wywalczyć piękny wynik, ale mogą i nie wejść do Sejmu. Lepiej więc nie przesądzać, kto się wypalił, a kto nie.

Fot. Shutterstock, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk



eprasa.pl a752d979dc

# Ogniem w lorda

***„Był taki słynny serial o Shreku. W tym serialu był władca, który mówił, że toczyć się będzie wielka bitwa i »wielu z was zginie«, ale on »jest gotów na takie poświęcenie«. Z Lordem Farquaadem jest trochę tak jak z Donaldem Tuskiem. On wie, że ludzie będą klepać biedę, ale jest gotów na takie poświęcenie”***
(Mateusz Morawiecki, 22 lipca 2023 r.)

***„Gdybyś, Mateuszu, oglądał »Shreka«, wiedziałbyś, że Lord Farquaad był mikrego wzrostu ponurym władcą z kompleksami wobec kobiet, a nie liderem opozycji. Ryzykant z ciebie”***
(Donald Tusk, 22 lipca 2023 r.)



KRZYSZTOF FEUSETTE

***Tusk:*** Wezwałem was tutaj jak na ulicę, bo nie ma czasu do stracenia. Zostałem zaatakowany w sposób bezpardonowy, powiem więcej: został zaatakowany przewodniczący waszej partii, pozaparlamentarny lider opozycji parlamentarnej, i tego odpuścić nie można. Odpowiedziałem, jak zawsze, zdecydowanie i błyskotliwie, ale to nie zamyka sprawy. Wiecie, jaka jest polityka. Kto raz został nazwany folksdojczem, ten będzie folksdojczem do końca kadencji. Grzesiu, może potwierdzić...
***Schetyna:*** Ale mnie nikt folksdojczem nie nazywał...
***Tusk:*** Nie chodzi o folksdojcza, ale o łatkę, która się przykleja. Nie pamiętasz, jak „Shrek” na ciebie wołali?
***Schetyna:*** Bo mnie pan przewodniczący tak nazwał. Kto Shreka używa, od Shreka ginie...
***Tusk:*** Widzę, Grzesiu, że ty jednak wiedzy o kinematografii nie masz żadnej. No, jaki ze mnie Lord Farquaad?
***Kierwiński:*** O, przepraszam, ale na lorda pan przewodniczący papiery ma bez dwóch zdań.
***Budka:*** Ty to w ogóle oglądałeś?
***Tusk:*** To jest klasyka!
***Kierwiński:*** To czemu nikt mi nie powiedział? U nas zawsze coś jest nie tak z kulturą. Przecież myśmy ministrem kultury zrobili faceta, który chciał być szefem MON, a szefem MON zrobiliśmy psychiatrę. To skąd ja mam wiedzieć, co oglądać?
***Tusk:*** Piłeczkę.
***Kierwiński:*** No, ale meczów pana przewodniczącego akurat nie transmitowano nawet za naszych rządów. A mieliśmy wtedy TVP, TVN, Polsat, RMF, Zetkę, TOK FM, Polskie Radio, „Newsweek”, „Politykę”, „Gazetę Wyborczą”, Onet, Wirtualną Polskę...
***Budka:*** Czyli tylko TVP i Polskie Radio nam odpadły?
***Tusk:*** Tylko? Nie widzisz, jaka to jest wyrwa, która drąży skałę? Kto by wcześniej „Reset”?
***Kierwiński:*** A przecież jest tyle innych pięknych filmów. Na jednym to nawet przewodniczący płakał, prawda?
***Budka:*** Nie drwij z łez przewodniczącego. To nie był szloch Hołowni na pokaz, ale autentyczne emocje!
***Kierwiński:*** A ty nawet nie wiesz, na czym...
***Budka:*** Właśnie, że wiem.
***Kierwiński:*** To na czym?
***Budka:*** Ale co?
***Kierwiński:*** Płakał przewodniczący.
***Tusk:*** Czekaj, jak to się nazywało... Ojej, nie, nie mogę... Łzy się cisną do gardła...
***Kierwiński:*** Chusteczkę?
***Budka:*** Panie przewodniczący, ja mam czystą, proszę bardzo...
***Tusk:*** Dzięki... Po co ja to w ogóle oglądałem... Skaza! Ty morderco!
***Budka:*** Słucham?
***Tusk:*** Przepraszam... To minie... Ciągle mam przed oczami tego biednego lewka, który wisi na krawędzi skały...
***Kierwiński:*** Ale to chyba jego ojciec wisiał...
***Budka:*** Nie przerywaj, Marcin. Nie masz za grosz wyczucia? Widzisz, że przewodniczący cierpi. Jak można było takiego człowieka nazwać Lordem Farquaadem? Ja bym napisał do TSUE, pan Safjan coś wymyśli. W końcu to myśmy go tam wybrali!
***Tusk:*** Ale kadencja mu się dwa lata temu skończyła.
***Budka:*** Nie ma czegoś takiego jak kadencja sędziego, który stoi na straży walki z prawem i sprawiedliwością.
***Kierwiński:*** I tu się zgodzę. Ja nawet sprawdziłem. Lord Farquaad, Wikipedia: „Chce się ożenić z królewną Fioną, więc organizuje turniej rycerski, by wyłonić wojownika, który za niego uwolni królewnę z zamku Smoczycy. Turniej wygrywa niespodziewanie Shrek. Ogr zakochany z wzajemnością w Fionie ratuje ją przed małżeństwem z lordem. Farquaad ginie zjedzony przez Smoczycę”...
***Tusk:*** Wystarczy! Z Fioną? Żeby mi potem książki pisała? Proszę bardzo: „Co za gnojek? Co on ze mną robi?”. Wiecie, z kogo to jest cytat?
***Kierwiński:*** Oczywiście. To znaczy nie. Nigdy w życiu. Może Borys będzie wiedział, bo on ciągle węszy...
***Budka:*** Ja? Nawet jeśli, to nie w intymnych sprawach przewodniczącego. Ja tego cytatu na oczy nie widziałem. Przysięgam na immunitet.
***Tusk:*** I tak wam nie wierzę. Ja nikomu nie wierzę poza sobą, a i to wyłącznie wtedy, jeśli cytat ma mniej niż 24 godziny. Ktoś sprawdził, jak ten lord kończy karierę?
***Kierwiński:*** Niby zginął, ale przeżył. Wraca w „Shreku 3D”.
***Tusk:*** No i fajnie. To tak jak ja.
***Kierwiński:*** Ale on jako duch. A potem go Smoczyca znowu ogniem... Straszna historia...
***Tusk:*** Widzicie? A jak pisałem, że polskość to nienormalność, to mnie palcami wytykali. Tymczasem Polska to jest właśnie taka... taka...
***Kierwiński:*** Fiona!
***Tusk:*** Sam jesteś Fiona! Smoczyca!
***Budka:*** Ładnie mu pan lord przygadał... To znaczy, przewodniczący Farquaad... Ojej, co ja mówię... Nie kop mnie, Marcin!



eprasa.pl a752d979dc

# Opiekunowie osób z niepełnosprawnościami będą mogli pracować

W szumie prekampanii, afer mniejszych i większych, dętych i realnych, awantury wokół pani Joanny, która każdego dnia ma swoje kolejne odsłony, nieco niezauważony przeszedł fakt podpisania przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawy o świadczeniu wspierającym dla osób z niepełnosprawnościami.

*To jest zmiana fundamentalna i kluczowa. I warto o niej mówić*

Za sprawą tej ustawy dojdzie do przebudowy dotychczasowego systemu świadczeń skierowanych do osób z niepełnosprawnościami oraz ich opiekunów przez wprowadzenie od 1 stycznia 2024 r. do nowego świadczenia – świadczenia wspierającego, kierowanego bezpośrednio do osoby z niepełnosprawnością oraz zmianę warunków przyznawania świadczenia pielęgnacyjnego. Ta ustawa, a szczególnie zapisy dotyczące tego świadczenia, to krok milowy w życiu osób z niepełnosprawnościami, ich opiekunów, a szczególnie kobiet w kontekście ich sytuacji na rynku pracy.

Zgodnie z ustawą, którą podpisał prezydent, świadczenie wspierające ma trafiać bezpośrednio do dorosłych osób z niepełnosprawnościami. Jego wysokość będzie powiązana z wymiarem renty socjalnej. O wysokości świadczenia będzie decydować m.in. zdolność danej osoby do samodzielnego wykonywania określonych czynności lub zadań związanych z codziennym funkcjonowaniem czy jej wiek (określane punktowo). Świadczenie wspierające będzie wypłacał Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Ustawa przewiduje, że świadczenie wspierające przysługuje w wysokości od 40 proc. do 220 proc. renty socjalnej – w zależności od poziomu potrzeby wsparcia. Decyzje ustalające poziom wsparcia będą wydawane przez wojewódzkie zespoły ds. orzekania o niepełnosprawności na wniosek osób niepełnosprawnych.



Jednak z punktu widzenia opiekunów osób z niepełnosprawnościami, którymi przeważnie są kobiety – matki, kluczowy jest inny fragment tej ustawy, który całkowicie zmienia dotychczasową sytuację prawną. Chodzi o świadczenie pielęgnacyjne. Po pierwsze, będzie ono przysługiwało opiekunowi osoby niepełnosprawnej na każde uprawnione dziecko z niepełnosprawnością w rodzinie, a nie tylko na jedno, jak było do tej pory. Po drugie, został także wyeliminowany obowiązujący obecnie warunek rezygnacji albo niepodejmowania zatrudnienia w celu sprawowania opieki nad osobą z niepełnosprawnością. To znaczy, że opiekun pobierający świadczenie pielęgnacyjne będzie miał możliwość dorabiania bez limitu.

Ten argument wielokrotnie podnoszono podczas protestów osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Do tej pory opiekunowie osób niepełnosprawnych byli po prostu wykluczani z rynku pracy. To jest zmiana fundamentalna i kluczowa. I warto o niej mówić.

Ustawa upodmiatawia osoby z niepełnosprawnościami i w dużej mierze jest wyjściem naprzeciw zapisom Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych, która przyjęta została przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 13 grudnia 2006 r., rząd Polski podpisał ją 20 marca 2007 r., a ratyfikacja konwencji przez Polskę miała miejsce 6 września 2012 r. Celem konwencji jest ochrona i zapewnienie pełnego i równego korzystania z praw człowieka i podstawowych wolności przez osoby z niepełnosprawnościami na równi z wszystkimi innymi obywatelami. Polska jest zobowiązana do wprowadzenia w życie zawartych w konwencji standardów postępowania w celu zapewnienia osobom z niepełnosprawnościami realizacji ich praw. Gdy konwencja weszła w życie, rządziła wtedy Platforma Obywatelska i nie zrobiła w tej sprawie nic, ale na protestach jej politycy krzyczą najgłośniej.

***Dorota Łosiewicz***

# Ucieczka z Brukseli



Holandia

Frans Timmermans, wiceszef Komisji Europejskiej ds. Europejskiego Zielonego Ładu, ogłosił zamiar odejścia z Komisji Europejskiej i powrotu do holenderskiej polityki krajowej. Timmermans chce zrezygnować ze stanowiska pod koniec sierpnia, by startować w listopadowych wyborach parlamentarnych jako lider centrolewicowo-zielonej listy.

Premier Holandii Mark Rutte, który nieprzerwanie piastował urząd od 2010 r., podał się na początku lipca do dymisji, oficjalnie z powodu nieporozumień koalicyjnych wobec polityki migracyjnej. Nieoficjalnie mówi się, że to jedynie zabieg taktyczny. Chodzi o rosnące notowania założonego w 2019 r. Ruchu Rolników-Obywateli (BBB), który na fali protestu przeciwko rządowym planom redukcji emisji tlenku azotu do 2030 r. – wygrał marcowe wybory lokalne, zdobywając 15 mandatów w 75-osobowej Eerste Kamer, izbie wyższej holenderskiego parlamentu.

Na razie liberałowie mają wysokie poparcie. Im szybciej odbędą się więc wybory parlamentarne, tym lepiej dla nich. Zanim notowania BBB urosną na tyle, by im zagrozić. „Timmermans to premier, którego Holandia potrzebuje" – oświadczył poseł Holenderskiej Partii Pracy (PvdA) Mohammed Chahim. Nie da się ukryć, że Timmermans ma doświadczenie rządowe – był m.in. ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Ruttego, zanim w 2014 r. przeniósł się do Brukseli. Tyle że sondaże dają wspierającym go partiom małe szanse na zwycięstwo. Partia Pracy ma 6,8 proc. poparcia, a Zieloni (GL) 8,5 proc. Prowadzi Ruch Rolników-Obywateli, na który zamierza głosować 17 proc. ankietowanych, za nim plasuje się VVD Ruttego (14 proc.) oraz Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa (9,2 proc.). Reszta partii, w tym Chrześcijańscy Demokraci i socjaliści, oscylują między 2 a 7 proc.

Europejska prasa tymczasem zastanawia się, co dalej z Europejskim Zielonym Ładem osieroconym przez Timmermansa? Czuć już wyraźne zmęczenie flagowym projektem Unii Europejskiej – w dobie kryzysu po pandemii i agresji Rosji na Ukrainie jego koszty okazały się dla wielu obywateli zbyt wysokie. W tej sytuacji wydaje się logiczne, że Timmermans, jego główny orędownik, szuka politycznego szczęścia gdzie indziej. „Nie będziemy za nim tęsknić" – powiedział przywódca włoskiej Ligi Północnej Matteo Salvini. „Ten dżentelmen wyrządził wiele szkód, mamy nadzieję, że holenderscy wyborcy potraktują go tak, jak na to zasługuje" – dodał.

***Aleksandra Rybińska***

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

# Na celowniku Rosjan

Wyspy Owcze, które są terytorium zależnym Danii (Kopenhaga odpowiada m.in. za ich politykę zagraniczną), zawarły w 1977 r. porozumienie z ówczesnym ZSRS, które umożliwiło kutrom z Wysp Owczych połów dorszy w rosyjskiej strefie ekonomicznej na Morzu Barentsa, a Rosjanom wykorzystywanie łowisk i portów należących do archipelagu. Wielokrotnie potem przedłużane porozumienie było jednym z filarów gospodarki wysp, które nie należą do Unii Europejskiej i 90 proc. swoich dochodów eksportowych czerpią z rybołówstwa.

Strategiczne położenie Wysp Owczych w tzw. przesmyku GUIK (Grenlandia, Wielka Brytania, Islandia) sprawiło jednak, że po wybuchu wojny na Ukrainie umowa z Moskwą zaczęła być postrzegana jako zagrożenie. Rosyjska flota rybacka, która zdaniem wywiadu brytyjskiego jest również wykorzystywana w celach wojskowych, ma bowiem niezakłócony dostęp do obszarów uznawanych za wrota do północnego Atlantyku, a rosyjskie kutry mogą swobodnie pływać po akwenie, przez który przebiegają gazociągi łączące Norwegię z Wielką Brytanią oraz większość podmorskich kabli telekomunikacyjnych. W ub.r. jeden z takich kabli został uszkodzony, co władze w Oslo wiązały z pojawieniem się w okolicy rosyjskiego kutra rybackiego. Również w ub.r. Norwegia przeszukała dwa rosyjskie kutry, które od 2015 r. ponad 200 razy dokowały w portach Wysp Owczych, podejrzewając, że ich załogi oprócz rybołówstwa zajmowały się wykonywaniem misji o charakterze wojskowym i wywiadowczym.

Brytyjski rząd domaga się od Wysp Owczych wycofania się z umowy zawartej z Rosją. W przeciwnym razie – jak ostrzega Londyn – wpłynie to na relacje dwustronne. Na razie Wyspy Owcze zredukowały liczbę rosyjskich kutrów, które będą mogły wpływać do tutejszych portów. Niewykluczone też, że umowa z Moskwą nie będzie przedłużona.

W nowych realiach spowodowanych wojną na Ukrainie i wzrostem rosyjskiej aktywności na północnym Atlantyku tego rodzaju porozumienia zaczynają być uznawane nie tylko za niekorzystne, lecz także potencjalnie utrudniające walkę z rosyjskim zagrożeniem.

***Marek Budzisz***



Wyspy Owcze





Czechy

## Trybunał kontra Krzyżacy

Zakon krzyżacki nie cieszy się u nas dobrą sławą. Przez trzy wieki tworzył on wrogie Polsce państwo, które w 1525 r. porzuciło katolicyzm na rzecz protestantyzmu, by przekształcić się w Księstwo Pruskie (późniejsze mocarstwo rozbiorowe Rzeczypospolitej). Znalazła się jednak niewielka część krzyżackich rycerzy, która zdecydowała się nie przyjąć nauk Lutra i trwać przy papieżu. Z czasem ich następcy powrócili do pierwotnego charyzmatu zakonu, zajmując się działalnością szpitalną i charytatywną. Od XIX w. ich aktywność koncentrowała się głównie w Cesarstwie Austriackim, m.in. na terenie Czech.

Kiedy w marcu 1938 r. Hitler zajął Austrię, rozwiązał zakon i skonfiskował jego majątek. Zadecydowała o tym postawa Krzyżaków, którzy nie ukrywali swojej wrogości wobec nazizmu. Podobnie było w międzywojennej Czechosłowacji, gdzie bracia zakonni pozostawali lojalnymi obywatelami i wyasygnowali nawet miliony koron na budowę fortyfikacji przy granicy z III Rzeszą. Gdy w 1939 r. Niemcy zajęli Czechy, również tam zlikwidowali zakon i przejęli jego dobra. Niektórzy członkowie wspólnoty byli prześladowani, trafiając do więzień i obozów koncentracyjnych, a nawet ponosząc śmierć.

Antyhitlerowska postawa nie pomogła jednak Krzyżakom po wojnie, kiedy ich majątek został ponownie skonfiskowany, tym razem przez władze komunistycznej Czechosłowacji. Na podstawie dekretów Beneša pozbawiono mienia wszystkie osoby pochodzenia niemieckiego. Nie pomogła ani lojalność wobec Pragi, ani działalność antynazistowska, ani nawet kościelny status zakonu, który podlegał Stolicy Apostolskiej.

Po upadku komunizmu Krzyżacy próbowali odzyskać utracone dobra, m.in. zamki Bouzov i Sovinec, uzdrowisko Karlova Studánka oraz 13,5 tys. ha lasów, pól i stawów. Sprawa trafiła do Trybunału Konstytucyjnego, który w lipcu orzekł, że majątek nie zostanie im zwrócony. Bracia zakonni mają poczucie, że w ciągu niecałego stulecia zostali ograbieni po raz trzeci: po nazistach i komunistach przez demokratyczne państwo czeskie.

***Grzegorz Górny***

Fot. Nomad1988/Shutterstock.com

## Szlaban na ryż

Indie

20 lipca rząd Indii ogłosił zakaz eksportu ryżu. Nastąpiło to zaledwie kilka dni po zerwaniu przez Rosję umowy zbożowej umożliwiającej sprzedaż i wywóz ukraińskiego zboża przez czarnomorskie porty. Obie te okoliczności powodują już wzrost cen żywności na globalnych rynkach.

Indie są drugim po Chinach producentem ryżu na świecie. Jednocześnie są też największym eksporterem ryżu, który odpowiada aż za 40 proc. światowych dostaw. Wycofanie się Indii ze sprzedaży ryżu wywołuje więc uzasadnione obawy przed deficytem żywności w uboższych regionach świata, zwłaszcza że indyjski ryż trafiał głównie do krajów Azji i Afryki. Rząd w Delhi tłumaczy swoją decyzję gwałtownym wzrostem cen ryżu na rynku krajowym, do czego przyczyniła się plaga ulewnych deszczów i powodzi, które zniszczyły część tegorocznych zbiorów.

Wprowadzony zakaz eksportu dotyczy zwykłego ryżu i jest z niego wyłączony droższy ryż basmati, który nadal można sprzedawać na światowych rynkach. Mimo to wkrótce po ogłoszeniu decyzji o wstrzymaniu eksportu ceny indyjskiego ryżu na świecie skoczyły w górę, osiągając 424 dol. za tonę, a więc blisko dotychczasowego rekordu wynoszącego 428 dol. Tajlandia i Wietnam – odpowiednio drugi i trzeci co do wielkości eksporter ryżu – również odnotowały wzrost cen swojego ziarna.

W związku z wojną na Ukrainie ceny żywności na świecie rosną od wielu miesięcy. W Indiach doprowadziło to do sytuacji, w której wielu producentom bardziej opłacało się sprzedawać ryż za granicę, niż oferować ziarno na rodzimym rynku. Początkowo rząd w Delhi wprowadził cło wywozowe na ryż, ale nie zdołało to zahamować eksportu, który w związku z nieustającym popytem był po prostu bardziej opłacalny. Zdecydowano się więc na ogłoszenie całkowitego zakazu eksportu, by uniknąć możliwych protestów społecznych w kraju. Tym bardziej że w Indiach odbędą się wkrótce wybory lokalne, a na przyszły rok są zaplanowane wybory krajowe. Drożyzna mogłaby zaś doprowadzić do utraty wysokiego poparcia, którym cieszy się dzisiaj rządząca Indyjska Partia Ludowa.

Globalne konsekwencje decyzji indyjskiego rządu mogą jednak okazać się bardzo poważne. Indyjski ryż trudno będzie zastąpić innym ziarnem. Nie tylko dlatego, że Rosja zerwała umowę zbożową, lecz także z powodu słabych prognoz dotyczących zbiorów w Stanach Zjednoczonych, gdzie zapasy pszenicy są dziś najniższe od 16 lat. Rosnący deficyt zbóż na rynku może więc pogłębić kryzys żywnościowy w uboższych krajach i doprowadzić do dalszego wzrostu cen na świecie.

***Konrad Kołodziejski***



eprasa.pl a752d979dc

# Zamieniam się w świnię



Piotr Cywiński

„Niemcy są piękne, ze swoimi pięknymi rzekami, jeziorami, dolinami, wzgórzami, a i lasy są takie piękne, i pola, i... (itd.)" – wyśpiewywał nie bez ironii berliński zespół Knorkator. Wszak nikt za Odrą nie ma wątpliwości, jak piękne, czyste i oczywiste są Niemcy. Ledwie taki mały Niemiaszek przyjdzie na świat, a już to widzi na podtykanych mu albumach ze zdjęciami opatrzonymi wspólnym tytułem: „Deutschland ist schön", tymże hasłem zachęcają ichnie biura podróży do lokalnej turystyki, taki też tytuł nosił teleserial z udziałem tamtejszych gwiazd scen i estrad.

Niestety, są kraje, które chciałyby te piękne, czyste, oczywiste Niemcy zapaskudzić. Buntują się przeciw przyjmowaniu niemieckich śmieci. Bezczelni Chińczycy oficjalnie zdelegalizowali wwóz odpadów „made in Germany", a tupeciarze z Malezji zażądali nawet, żeby Niemcy zabrali to, co u nich zdeponowali – no, zgrozą wieje! W ciągu minionej dekady eksport niemieckich śmieci spadł o ponad połowę i wciąż spada! Tylko w ub.r. Niemcy wysłali poza granice, począwszy od Polski, przez Rumunię, Turcję, a na Wietnamie i Indiach skończywszy, ponad 745 tys. ton odpadów z tworzyw sztucznych, ale w 2011 r. było tego jeszcze więcej.

Niemcy jak to Niemcy, którzy we wszystkim są mistrzami, nadal zajmują pierwsze miejsce w Europie jako główny eksporter śmieci wszelakich, w tym niebezpiecznych dla życia i zdrowia oraz uciążliwych dla natury, ale nawet Komisja Europejska i europarlament zaczynają coś kombinować przeciw gwarantowanej przecież w naszej wspólnocie swobodzie handlu. Ponoć w przyszłości zagraniczni kontrahenci mieliby udowadniać, że będą w stanie przetwarzać odpady w sposób przyjazny dla środowiska. Do tej pory mogli je po prostu topić w oceanie lub zrzucić w ostępach i po sprawie. Co Unii do tego, gdzie Rzym, gdzie Krym? Nie będzie wolno, to wzrośnie nielegalna wysyłka, już teraz pokątne upychanie odpadów stanowi jedną trzecią śmieciowej gospodarki.

I nasz, wiadomo, tak nieprzyjazny Niemcom rząd przyłącza się do chóru tych, którzy nie chcą, aby w Deutschland było schön, jakieś skargi pichci do eurotrybunału, ba, wzorem podłych Malezyjczyków chciałby, żeby niemieccy dostawcy zabrali to, za co przecież komuś u nas, w Polsce, zapłacili...

„Na początku się przyznałem, że nic o tym nie słyszałem, ale na wadze przybrałem, tylko coraz krótsze nogi miałem" – śpiewał nie bez ironii w berlińskiej gwarze Knorkator, w piosence pt. „Ick wer zun Schwein" – „Zamieniam się w świnię".

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

# Baby jeżdżą inaczej



Dominik Zdort

Napisać, że kobiety gorzej jeżdżą samochodem niż mężczyźni, to seksizm. Dodać, że utrudniają ruch, bo ciągle się wahają, nie wiedzą, na który pas zjechać, gdzie zaparkować, to skandal. A jeśli się dorzuci jeszcze parę przykładów o paniach, które tak opanowały jazdę po mieście, by nigdy na skrzyżowaniu nie musiały skręcać w lewo, to już kryminał. Sąd mizoginowi wyrażającemu takie opinie najpewniej nie odpuści i nawet jeśli za kratki nie wsadzi, to wiele godzin prac społecznych (najlepiej jako pomywacz w klinice aborcyjnej) stanie się nieuniknione. Wiadomo: stereotypy trzeba zwalczać, bo przecież baby wcale nie są inne, są takie same – a to oznacza, że nawet lepsze.

Nie będę ukrywał: kiedy widzę kogoś nieporadnie kołującego na parkingu, kiedy auto jadące przed moim blokuje przejazd, zwalnia i daje kierunkowskazem sygnały raz z prawej, raz z lewej, to zazwyczaj okazuje się, że to kobieta. Gwoli sprawiedliwości: znam też panią, która siedząc obok mnie na fotelu pasażera, potrafiła agresywnie na mnie porykiwać i pytać, dlaczego jadę tak wolno, dlaczego nie wyprzedzam.

Tak, panie za kółkiem (i na siedzeniu obok kierowcy) bywają tak samo brutalne i bezmyślne jak panowie, choć będę się upierał, że to raczej wyjątek niż reguła. Można uznać, że kobieca nieporadność samochodowa to kwestia żeńskich hormonów lub genów, można stwierdzić, że to skutek tysięcy lat patriarchatu i zniewolenia, można też utrzymywać, że to efekt wychowania w świecie, w którym kobiety są zaganiane do garów. Ale bez względu na to, jakich używa się argumentów, samo głoszenie poglądów o automobilowej wyższości facetów nad babami to polityczna niepoprawność, skandal, za który pewnie powinienem przeprosić, przyznać się do winy i samemu zgłosić się do odsłużenie niezbędnej i upokarzającej kary w biurze Marty Lempart.

Co innego, jeśli chodzi o facetów, szczególnie młodych. Tu można publicystycznie poszaleć. Nikt nie zaatakuje dziennikarza, który stwierdza, że piraci drogowi to pewni siebie młodzi mężczyźni pod wpływem testosteronu. I kieruje nimi męska potrzeba rywalizacji.

Rzeczywiście, nauczyciel gimnastyki już w podstawówce w latach 70. mówił nam, że kobiety nie mają takich potrzeb.

Feminizm potem wyśmiewał takie poglądy, no ale cóż – najwyraźniej się mylił, skoro dziś poglądy pana od WF powiela najmądrzejsza gazeta w mieście.

*Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl*



eprasa.pl a752d979dc

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Obowiązki historyka a historyczki

Dodatek historyczny „GW" „Ale Historia!" z 12 lipca opublikował artykuł Anny Machcewicz „Czy ważniejsze jest życie Pyjasa, czy okoliczności jego śmierci?". Są to uwagi po lekturze książki Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej". Książce tej poświęciłem duży tekst w 25. numerze „Sieci" „Demitologizacja, czyli mistyfikacja". Wskazałem w nim pomijanie podstawowych faktów przez Łazarewicza, manipulację danymi, arbitralność interpretacji, deformację obrazu czasów, która uniemożliwia zrozumienie sprawy itp. Opracowanie moje zostało wydrukowane dwa tygodnie przed publikacją Machcewicz, ona jednak go nie zauważyła.

Nie musi, broń Panie Boże, zgadzać się ze mną. Może wytknąć mi błędy, pomyłki czy nieuczciwości. Jako historyk, przepraszam „historyczka", musi jednak wziąć pod uwagę to, co w sprawie zostało właśnie opublikowane. Zwłaszcza jeśli pisze: „W każdym razie nie ma dowodów, by upadek z wysokości, bo takie jest ostateczne wyjaśnienie, nastąpił w wyniku działania osób trzecich. I nic więcej nie da się dodać – dowody zostały zebrane, archiwa przejrzane, świadkowie zabrali głos. Niektórzy dopiero po latach, gdy dotarł do nich Łazarewicz. Szansa, że pojawi się coś, co zmieni naszą wiedzę, zawsze istnieje, ale biorąc pod uwagę drobiazgowość dotychczasowych śledztw prokuratorskich i dziennikarskich, jest bliska zera".

Wszystko to jest nieprawdą. Nie tylko dlatego, że ekspertyza, na której opiera się Łazarewicz, nie odrzuciła uczestnictwa osób trzecich w zepchnięciu Pyjasa ze schodów, a rozstrzygnięcie IPN, które się do niej odwołuje, przyjmuje to za wersję najbardziej prawdopodobną. Otóż wersja ta nie wyjaśnia podstawowej sprawy.

Pisze Machcewicz: „Zaskakujące jest to, że postępowanie z 1977 r. okazało się rzetelne i stało się podstawą tych podejmowanych już w wolnej Polsce". Nie tylko nie było rzetelne, lecz także fundamentalnie rozmija się z interpretacją, którą przedstawiła ostatnia, wrocławska ekspertyza. Wprawdzie biegli i prokuratorzy w 1977 r. robili wszystko, by przyjąć, że śmierć nastąpiła na skutek upadku ze schodów, ale... okazało się to niemożliwe. Wprawdzie bezpośrednio po wydarzeniu PRL-owskie gazety napisały, że pijany student spadł ze schodów, ale wersja ta okazała się nie do utrzymania. Szef biegłych, prof. Zdzisław Marek, musiał ogłosić: „Wykluczyć trzeba, aby upadek denata nastąpił z któregokolwiek piętra (przez poręcz klatki schodowej) na posadzkę". Została więc przyjęta ekscentryczna wizja upadku na równej posadzce i zachłyśnięcia się krwią w wyniku doznanych urazów.

Z kolei biegli wrocławscy uznali za przyczynę śmierci... upadek ze schodów. Zgadzają się, że w jego efekcie ciało nie mogło znajdować się w miejscu, gdzie zostało znalezione, ale nie zajmują się wyjaśnianiem tego fenomenu. Nie jest możliwe, by Pyjas przesunął się samodzielnie, gdyż ekspertyza z 1977 r., której nikt (!) nie kwestionuje, stwierdziła pełną utratę przytomności w momencie otrzymania urazów. Jeśli więc zakładamy hipotezę wypadku, nie ma wytłumaczenia zagadki położenia zwłok. W tym kontekście nie muszę rozwodzić się nad innymi sprzecznościami zarówno ekspertyzy, jak i książki Łazarewicza.

Machcewicz wypowiada się autorytatywnie, choć o sprawie nie ma pojęcia. „We mszy w intencji Pyjasa wzięło udział ok. 4 tys. osób, potem tłum stopniał, gdy na Szewskiej odczytano komunikat KOR, następnie rzednący pochód przeszedł pod Wawel, gdzie odczytano deklarację powstania SKS. Słuchało jej może kilkaset osób".

O tym, co się stało, informowaliśmy uczestników juwenaliów od piątku. Po mszy w niedzielę rano na Szewskiej kolejny raz wezwaliśmy studentów do przybycia wieczorem na Szewską. To wtedy z powodu rozerwania tłumu przez SB ruszyły na Wawel dwa marsze. Nie wiem, skąd Machcewicz wzięła dane liczbowe (i wszystkie inne), radykalnie je jednak zaniżyła.

Autorka myli poczucie beznadziejności z brakiem zainteresowania polityką ze strony studentów – pewnie z tego powodu tak masowo się nią zajęli trzy lata później – oraz formułuje zestaw nieuprawnionych tez.

Czemu zajmuję się „GW", o której wiadomo, że kłamie, manipuluje i stosuje wszelkie chwyty w celu realizacji politycznych celów, a zwłaszcza pogrążenia swoich przeciwników?

W tym przypadku jednak chodzi o historyka, przepraszam „historyczkę", którą powinny obowiązywać jakieś normy. Jeśli uznamy, że nie musi ustosunkowywać się do świadectw, które nie pasują do jej tez, to nie mamy do czynienia z dowolnie rozumianą nauką, ale propagandą. Coraz powszechniej zjawisko takie obserwujemy wprawdzie w odniesieniu do innych humanistycznych dziedzin, ale wydawałoby się, że historia nie może ostentacyjnie pomijać faktów i powinna trzymać się choćby pozorów rzetelności. Okazuje się, że w III RP to już niepotrzebne.

Może jednak Machcewicz, podpisując się jako „historyczka", daje nam do zrozumienia, że nie dotyczą jej kryteria obowiązujące historyka?



Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl a752d979dc



# Walizka Katarzyny Sochy

*reporterki TVP, modelki*

Gdy pracowałam jako modelka, moje życie polegało głównie na wyjazdach. Na pierwszy kontrakt wyleciałam do Grecji, mając 18 lat. Tak mi się to spodobało, że następnie odwiedziłam jeszcze Włochy, Chiny, Malezję, Indonezję, Australię, Kuwejt, Francję, Turcję, Niemcy, Czechy, Hiszpanię i Stany Zjednoczone. W niektórych z tych państw mieszkałam nawet po trzy miesiące, więc można powiedzieć, że liznęłam nieco tamtejszego normalnego życia i kultury.

Jako reporterka również czasem muszę ruszyć się z domu. Do tej pory były to głównie wyjazdy w obrębie naszego kraju, jednak kto wie, gdzie zabierze mnie życie w przyszłości?

Teraz mam w głowie już tylko wizję wakacyjnych wyjazdów, które przede mną. Cały lipiec i sierpień będę raczej skupiać się na pracy, ale we wrześniu i październiku lecę na Wyspy Kanaryjskie i Malediwy, o których od bardzo dawna marzyłam.

Na wakacje zawsze zabieram z sobą:



### LAPTOP

Ma naklejkę kotka, którą dostałam od przyjaciela w Turcji, a na wyjazdach przypomina mi o moim kocie Pupsonie. Komputer na wakacjach? Tak, bo myśli w mojej głowie pędzą niezależnie od miejsca czy okoliczności, w których się znajduję, i czasem jakiś dobry pomysł czy tekst muszę od razu zapisać.

### MIKROFON

Od kiedy zaczęłam latać na kontrakty modelingowe, postanowiłam zawsze zabierać z sobą mikrofon. Nowe miejsca i doświadczenia inspirują mnie do tworzenia muzyki, co uwielbiam robić w wolnym czasie.





### DZIENNIK

Prowadzę fizyczne pamiętniki, odkąd skończyłam 14 lat, i z perspektywy czasu jestem sobie za to ogromnie wdzięczna. Ludzka pamięć jest ulotna i nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile nam z niej umyka – dopóki nie przeczytamy tych wspomnień spisanych na papierze.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl a752d979dc






### PIERŚCIONKI

Kto mnie zna, ten wie, że kocham biżuterię i rzadko kiedy się ruszam z domu bez jakichś ozdób na palcach. Przy kontroli bezpieczeństwa jest to trochę uciążliwe, ale nawet w podróży chcę czuć się dobrze z samą sobą.




### KSIĄŻKA

Kocham czytać i robię to głównie w języku angielskim. Przez kilka lat swojego życiu używałam angielskiego na co dzień dużo częściej niż polskiego, dlatego potrafię się nim posługiwać na naprawdę dobrym poziomie i czytanie książek w tym języku sprawia, że non stop trenuję swoją pamięć.



### BUDZIK

Jestem jedną z tych osób, które mogą spać zawsze, wszędzie i mimo wszelkich niedogodności. I też bardzo trudno mnie obudzić, dlatego gdy wyjeżdżam sama, potrzebuję metalowego budzika, bo tylko taki jest w stanie postawić mnie na nogi.

### OKULARY

Te akurat zakupione na Lotnisku Chopina przed wakacjami na Ibizie w tym roku. Mam tendencję do gubienia okularów w podróży (straciłam już pięć par), ale nie zniechęca mnie to do zabierania z sobą kolejnych. Może kiedyś zła passa dobiegnie końca.



### POLAROID

Zdjęcia, które można fizycznie dotknąć i od razu komuś wręczyć, mają dla mnie ogromne znaczenie. A wakacyjne wyjazdy w piękne miejsca są okazją do stworzenia pięknych pamiątek ze swoimi bliskimi.






### SZKICOWNIK

Kocham rysować i to zajęcie bardzo mnie uspokaja i wycisza, dlatego nie może go zabraknąć ze mną podczas wakacyjnego odpoczynku.






### ZESTAW OŁÓWKÓW W PIÓRNIKU Z CZASÓW SZKOLNYCH

Mimo że cały pomazany, to przywodzi na myśl najlepsze wspomnienia.



### ZDJĘCIA NAJBLIŻSZYCH MI OSÓB

Rodzina jest dla mnie bardzo ważna i gdy widzę te zdjęcia, od razu czuję się jak w domu, mimo że tysiące kilometrów dalej.

***Wysłuchał i zapisał Michał Korsun***



eprasa.pl a752d979dc

OGNIEM NA WPROST

# Urodziny Patrona



Najsłynniejszy z ukraińskich Jack Russell terrierów, niejaki Patron, zasłużył się jako niestrudzony poszukiwacz min. Pies wykrył ich kilkaset sztuk. Jego przewodnikiem jest saper Mychajło Iliew, szef prac pirotechnicznych Głównej Dyrekcji Państwowej Służby Ratunkowej Ukrainy. Piesek doczekał się nawet poświęconego sobie serialu animowanego. Kreskówka jest z napisami po polsku i angielsku. Na filmie Patron podobnie jak w życiu poszukuje ładunków wybuchowych, a także zaprzyjaźnia się z kotem Tomem. W pierwszym odcinku zatytułowanym „Zniszczony most" Patron opowiada kociemu przyjacielowi o swoim dniu pracy. To nie koniec zaszczytów, które odebrał dzielny piesek. Został także uwieczniony na muralu w Równem, a podczas ubiegłorocznego festiwalu filmowego w Cannes dostał nagrodę dla psów – Palm DogManitarian, a prezydent Ukrainy odznaczył go specjalną nagrodą za służbę. Dziś przypominam Patrona naszym czytelnikom, bowiem 20 lipca ukończył cztery lata. Na Instagramie wystąpił na zdjęciu w haftowanej po ukraińsku tradycyjnej koszuli, jak przystało na jubilata. Pod urodzinową fotografią widnieje inskrypcja: „Mam dziś cztery lata. […] Ale wyraźnie pamiętam prawie każdy dzień z ostatniego półtora roku. Początek inwazji na pełną skalę, gdy wróg zalał moje miasto płonącymi kulami. Wtedy coś się we mnie przewróciło. To było tak, jakbym wraz z wszystkimi Ukraińcami odczuł to »Nieee, tak się nie stanie«. I rozpocząłem walkę". Trzymaj się, Patron, i uważaj na siebie!

Podczas ćwiczeń wojskowych odbywających się na Białorusi trwa rekrutacja najemników do przestępczej Grupy Wagnera. Jak sądzą przedstawiciele ukraińskiego Centrum Narodowego Oporu, jednym z warunków stawianych kandydatom jest ich gotowość do udziału w misjach prowadzonych na terytorium krajów sąsiadujących z Białorusią, w szczególności Polski i Litwy. Według szacunków liczba bandytów Prigożyna na Białorusi wynosi już 3450–3650 osób. Wszystkie konwoje dotarły do obozu namiotowego we wsi Tsel koło Osipowicz. I tam całe to towarzystwo spod ciemnej gwiazdy, leżąc na pryczach, przed snem snuje sobie opowieści o wejściu do Warszawy. Gitom z ruskiej „głubinki" (nazwa prowincji w Kacapii) marzy się rabunek dóbr w naszej stolicy, a także poznawanie Polek, które w moskiewskim kraju cieszą się renomą nadzwyczaj urodziwych i z klasą. To, że całej tej bandzie słoma z buciorów wystaje, nie ma dla nich większego znaczenia, bo jak Polka odmówi, to mają ostateczny argument w postaci kałacha. No cóż, pomarzyć dobra rzecz. Tylko uważajcie, Moskale, żeby ten wasz sen z pryczy w Osipowiczach nie zamienił się w koszmar jak w Bachmucie. Zamiast w Warszawie prędzej wylądujecie w piekle. A tam was już czekają rozrywki przygotowane przez Lucyfera. Jakie? Nawet w najstraszniejszych horrorach takich nie znajdziecie. Spytajcie się waszych kumpli spod Bachmutu, którzy w liczbie ponad 30 tys. przenieśli się na tamten świat. Acha! Nie macie kontaktu? To wasza strata.

Według amerykańskiego Institute for the Study of War ukraińska armia zaczęła przygotowywać się do bitwy na południu Ukrainy. Tryzuby ściągają rezerwy. „Są świetnie wyszkolone i wyposażone w zachodni sprzęt. Rotowanie posiłkami to element strategiczny ukraińskiej kontrofensywy" – wyjaśniają w rozmowie z „The New York Times" urzędnicy z Pentagonu. Wokół Bachmutu widać coraz większe postępy SZU. Kluczowa pozycja we wsi Kliszczijiwka jest prawie zdobyta. Nadjechały tam dwie brygady pancerne i czekają na rozkaz ataku, by ostatecznie przełamać obronę Moskali. Ciekawa sytuacja zrobiła się w Oleszkach. Przyczółek na Dnieprze naprzeciwko Chersonia został przez SZU utrzymany i poszerzony. Na gruzach mostu Antonowskiego ukraińscy saperzy mogą zbudować przeprawę i być może stamtąd ruszy kolejny kierunek uderzenia na Zaporoże. Tylko tym razem od zachodu. Zamiast pozwalać leżeć do góry brzuchem degeneratom od Wagnera na Białorusi, lepiej ściągajcie ich z powrotem na Ukrainę, bo wygląda na to, że szykuje się tam niezły bigos.

Pamiętamy aferę, którą w związku z zakupem przez Orlen węgierskiego koncernu MOL (144 stacje paliw zlokalizowane na Węgrzech oraz 41 stacji paliw na Słowacji) nakręcała opozycja. Podstawowym zarzutem były zakupy przez koncern surowców energetycznych w Kacapii. Powstaje pytanie: co dalej dzieje się z benzyną, którą biorą Węgrzy, omijając sankcje? Otóż w większości trafia ona... na Ukrainę. I tak czołgi Tryzubów zasuwają pod Bachmutem na ruskim paliwie. Można i tak. Wszystkie koła kręcą się do zwycięstwa, jak głosił stary niemiecki slogan z II wojny światowej.

***Andrzej Rafał Potocki***

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl a752d979dc

# Na drodze kontrkultury



***Marta Kaczyńska-Zielińska***

Odrzucenie przez człowieka wszelkiego kontekstu swojego istnienia i postawienie w centrum samego siebie tworzy „królestwo człowieka". W chrześcijaństwie w centrum pozostaje Bóg, każda kultura otrzymuje tę samą godność. Każdy człowiek zasługuje na szacunek. Opisany porządek w kontrkulturze ulega podważeniu.

Autorem pojęcia „kontrkultura" jest Teodor Roszak, twórca tzw. głębokiej ekologii. W 1969 r. wydał on książkę „The Making of a Counter Culture", w której przekonywał, że kontrkultura jest formacją przeciwstawną kulturze Zachodu, która zdoła zastąpić obowiązujące od 2 tys. lat prymitywne, autorytarne systemy mentalności zbiorowej wywodzące się z chrześcijaństwa. Liberalizm uznał jednostkę za podmiot w pełni suwerennie wybierający swoją tożsamość i prawa jej przynależne. Zasadą wychowania publicznego i prywatnego miało stać się jak najwcześniejsze nakierowanie jednostki na wybór „autonomiczny", w którym wychowanie oznacza nauczanie alternatywnych stylów życia, a nie moralności.

Rewolucja kontrkulturowa w USA miała kilka etapów. Pierwszy został zapoczątkowany ok. 1948 r. w środowisku bitników, chłonącym przede wszystkim koncepcję rewolucji seksualnej i kulturowego nihilizmu. Znane powszechnie określenie „pokolenie bitników" odnosiło się zaś w istocie do niewielkiej, ale widocznej grupki środowiska nowojorskiej bohemy. Drugi etap obejmował dekadę lat 60. i pokolenie powojennego wyżu demograficznego (tzw. baby boomers), wychowane przez nihilistyczne pokolenie bitników. Front antykulturowy koncentrował się na rewolucji seksualnej, rewolucji narkotykowej i rewolucji religijnej, do której zalicza się m.in. satanizm. Przejawem skuteczności oddziaływania idei kontrkulturowej rewolty były m.in. morderstwa dokonane przez sektę Mansona. Etap trzeci to seksualno-narkotykowo-antykonsumpcjonistyczna ofensywa kontrkulturowa atakująca przestrzeń społeczną, obejmująca rewolucję hipisowską, rewolucję seksualną i rewolucję narkotykową. W 1965 r. ukazała się książka Herberta Mercuse'a zatytułowana „Tolerancja represywna" stanowiąca otwartą zapowiedź rządów terroru. Teoria represywnej tolerancji stanowiła, że ten etap rewolucji nie powinien ograniczać się do przejęcia władzy politycznej, ale powinien skutkować stopniowym przeobrażeniem – rozkładem tkanki społecznej.

Podmiotem oddziaływania kontrkultury była młodzież wywodząca się ze środowisk ukształtowanych przez tradycyjne wzorce kulturowe, takie jak rodzina i religia, które ugruntowały tożsamość pokoleń obywateli USA. Według Marcuse'a nowa moralność miała mieć swoje korzenie w zaspokajaniu ludzkich popędów, które pozostają ograniczane przez tradycyjnie funkcjonujący system społeczny. Popularnym sposobem zaspokojenia potrzeb transcendentalnych miał być m.in. buddyzm, medytacja, praktykowanie feng shui lub joga. Tzw. popowy buddyzm oferował przyjemne przeżycia wolne od istnienia grzechu, poczucia winy, potrzeby odbywania pokuty i poczucia jakiegokolwiek obowiązku. Osiągnięcie stanu nirwany miały zapewniać narkotyki.

Zadaniem rewolucji jest stworzenie nowego systemu wartości, który będzie zaspokajał wszystkie potrzeby duchowe społeczeństwa. Liberalizm stał się doktryną wyzwalania z każdej opresji i stygmatyzowania tych, którzy ją odrzucali, stając się tym samym w istocie doktryną o totalitarnym obliczu, uderzającym w społeczeństwo i autonomię jego instytucji z zasady opartych na autorytetach i pryncypiach.

W polityce zagranicznej liberalne elity postrzegały komunizm powojenny jako możliwą do rozważenia alternatywną drogę rozwoju dla społeczeństw mniej rozwiniętych. Procesy kryzysu liberalizmu i zinstytucjonalizowanej kontrkultury od lat 60. XX w. zbiegły się z kryzysem przywództwa międzynarodowego Stanów Zjednoczonych, stanowiącym konsekwencję niepowodzenia w wojnie wietnamskiej i dominacją agresywnego komunizmu w tzw. Trzecim Świecie.

Na drodze amerykańskiej kontrkultury stanął Ronald Reagan. Uważał religię za fundament amerykańskiego doświadczenia, a kontrkulturę postrzegał jako odpowiedzialną za zamęt aksjologiczny oraz rozkład prywatnej i publicznej moralności, w której egocentryzm zastąpił w edukacji kształcenie charakteru.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 14 lipca 2023 roku zmarł przeżywszy 109 lat*

**ŚP**

**PŁK KAZIMIERZ KLIMCZAK**
**PS. „SZRON"**

*urodzony 15 lutego 1914 roku w Ciepłowie k. Konina.*
*Od 1936 roku służył w Wojsku Polskim.*
*Absolwent szkoły podoficerskiej przy 67. pułku piechoty w składzie 4. Dywizji Piechoty.*
*Walczył w macierzystym pułku w wojnie obronnej 1939 roku.*
*Ciężko ranny podczas Bitwy nad Bzurą.*
*Od grudnia 1940 roku podoficer Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej.*
*Służył w 3. Rejonie Obwodu Ochota Warszawskiego Okręgu ZWZ-AK.*
*Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim w stopniu sierżanta w walkach na Ochocie i Woli.*

*Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Medalem Pro Bono Poloniae oraz innymi odznaczeniami.*

*Był najstarszym wiekiem Kombatantem Rzeczypospolitej.*

*Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!*
*Cześć Jego Pamięci!*

***Jan Józef Kasprzyk***
*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych*

50/0723/F



eprasa.pl a752d979dc

# Warto być odważnym



*Samuel Pereira*

Uzyskanie reparacji wojennych od Niemiec jest zadaniem trudnym, ale nie niemożliwym. Tym ważniejsza jest determinacja, a nie łatwe odpuszczanie albo minimalizowanie żądań, bo Niemcom będzie przykro. Tak można odebrać deklaracje lidera opozycji Donalda Tuska, który w tej sprawie ma stanowisko bardzo korzystne dla potomków III Rzeszy. Opiera się ono na założeniu, że nie chcemy wszystkich należnych nam pieniędzy, tylko małą część dla urodzonych do 1945 r.

Sprawa jest dużej wagi, a gra warta świeczki choćby dlatego, że dla niemieckiego państwa ważne jest, żeby kwestia odpowiedzialności za II wojnę światową została zamknięta. Z kilku względów, a wśród nich są: dbanie o dobre samopoczucie i wizerunek wśród samych Niemców, ale przede wszystkim utrzymanie się na pozycji państwa praworządnego, które swoje grzechy odpokutowało, a przez to jest uprawnione, by dziś pouczać innych. Jak można moralizować, samemu mając trupy w szafie? Bardzo trudno, a Polska mówiąc o reparacjach, tego nie ułatwia.

Wagę i sensowność żądania reparacji widać szczególnie w takie dni jak dzisiaj. To przecież właśnie 1 sierpnia przypominamy sobie o warszawskiej hekatombie, o tej niemieckiej zarazie, która doszczętnie zniszczyła nasz kraj. Widząc zdjęcia porównujące to, jak wygląda Warszawa teraz, a jak wyglądała po niemieckim panowaniu nad Wisłą, łatwiej zrozumieć wagę tych roszczeń, a zagranicy skandaliczność sytuacji, w której do dziś Niemcy swoich długów wobec Polski nie spłacili. Nam nie trzeba przypominać, że nasz sąsiad nie zapłacił nam za II wojnę światową, ale świat tego nie wie. To jest nasza silna karta, bo im dłużej Niemcy się nie spłacą, tym dłużej jak kropla w skale temat reparacji będzie wyżerać wielką dziurę na tym perfekcyjnym niemieckim garniturze pełnym haseł o tolerancji, demokracji i postępie. Bo jaki to postęp, jak za przeprosinami wciąż nie przyszło zadośćuczynienie? Dlatego nie możemy odpuszczać, niezależnie od tego, jak będzie ciężko. Dla Polski.

*Autor jest dyrektorem TVP Info*

# I to jest wielkie!

***Z Tomaszem Wolnym, dziennikarzem i prezenterem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna***

***Czym jest dla pana warszawskie śpiewanie 1 sierpnia?***

***Tomasz Wolny:*** To bardzo osobisty i najważniejszy dla mnie koncert w roku. To spotkanie, na które każdy, kto był częścią tego niesamowitego wydarzanie, czeka 365 dni. Niezależnie od tego, skąd przyjeżdżamy – a wiem, że ludzie przybywają na ten dzień do stolicy z całej Polski, a nawet świata – tego wieczoru na pl. Piłsudskiego wszyscy jesteśmy u siebie. Tu każdy pasuje. Dzięki powstańcom potrafimy się zebrać razem i ponad wszelkimi podziałami wspólnym śpiewem, ile sił w gardle, oddać hołd naszym największym bohaterom. I to jest wielkie!

***Na co dzień też jest pan blisko powstańców jako wolontariusz?***

Mam to szczęście mieć z wieloma z nich niezwykłe ciepłe, wręcz rodzinne relacje. To wielki przywilej móc służyć im pomocą, a być tego dnia z nimi i śpiewać pieśni, które w sierpniu 1944 r. prowadziły ich do walki o wolność i godność... To naprawdę życiowy zaszczyt. I nie chodzi tylko o te kilka godzin. Powstańcy warszawscy są dla mnie bohaterami nie tylko walki na barykadzie, ale dziś są przede wszystkim wzorem i wychowawcami, którzy pokazują, jak żyć w czasach pokoju. I niech wybrzmi to, o czym mówią nam, wolontariuszom, na co dzień: „Wartości, o które walczyliśmy to: Bóg, Honor i Ojczyzna, to słowa harcerskiej przysięgi: »by nieść chętną pomoc bliźnim«. To wolność, godność, przyjaźń, męstwo, prawość, sumienność, pomoc słabszym".



Fot. Waldemar Kompała

***Górnolotne słowa?***

Ale w rzeczywistości to jest dla nas codzienny drogowskaz, w tej wymarzonej, oczywiście wciąż niedoskonałej, ale pięknej i wolnej Polsce.

Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, powiedział kiedyś, że nie trzeba czekać na powstanie, żeby naśladować powstańców. Można zacząć tu i teraz, a 1 sierpnia stawić się wieczorem na pl. Piłsudskiego i wypełnić serce spotkaniem, które pozostanie w nas długo. Z całego serca zapraszam! Jak sami mówią, z każdym rokiem „generał czas" ma dla nich coraz mniej litości, więc tym bardziej zachęcam, by korzystać z każdej okazji i powstańców spotykać, odwiedzać, słuchać, chłonąć, a potem zakasać rękawy i działać. Czuwaj, wiaro, i do zobaczenia!



epresa.pl a752d979dc

## *Rysują Mr Donk & dr Fish*





SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

**REDAKTOR NACZELNY:** JACEK KARNOWSKI

**ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:** DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

**AUTORZY:** ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

**WYDAWCA:** FRATRIA SP. Z O.O.
**PREZES:** ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

**DYREKTOR WYDAWNICZY:** MACIEJ WOŚKO

**PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA:** MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

**STUDIO GRAFICZNE:** ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
**FOTOEDYCJA:** ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
**OBRÓBKA ZDJĘĆ:** TOMASZ KIERAS

**PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:**
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:**
**91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

**PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:**
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH $7^{00}$ – $17^{00}$.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

**DRUK:** WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

**DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:**
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

**BIURO REKLAMY:**
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

**KOLPORTAŻ:** KOLPORTAZ@FRATRIA.PL



*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.*

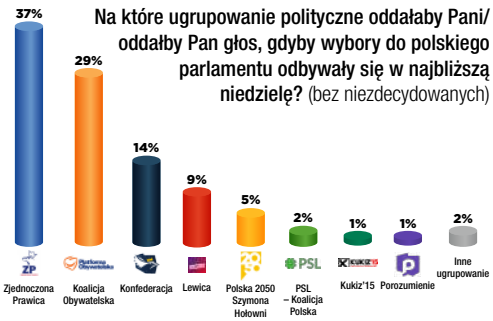


**FOT. NA OKŁADCE:** P. WODZYNSKI, P. MATUSEWICZ /EAST NEWS, A. SZCZEPAŃSKI/REPORTER, MPW, SHUTTERSTOCK X3

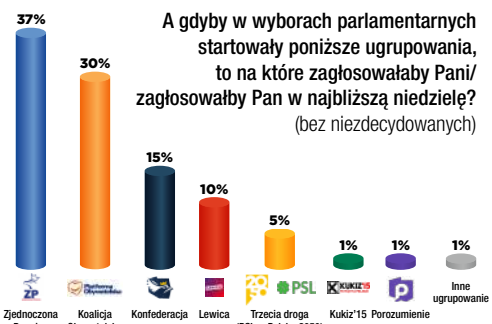

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

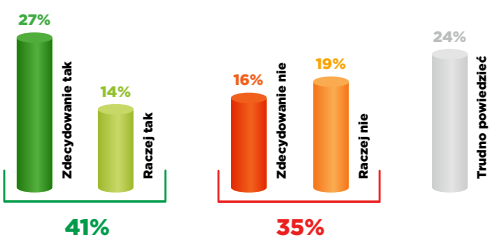
### Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



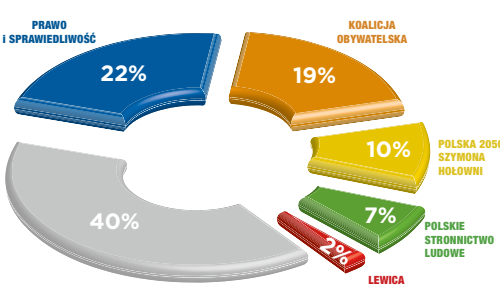

### A gdyby w wyborach parlamentarnych startowały poniższe ugrupowania, to na które zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)




### Czy Pani/Pana zdaniem Donald Tusk po wygraniu wyborów i przejęciu władzy będzie wyprzedawał kluczowe przedsiębiorstwa państwowe?




### Gdyby Konfederacja nie startowała w najbliższych wyborach, to na które z poniższych ugrupowań zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan?




Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1046.

**Zakres czasowy badania 21–24 lipca 2023 r.**




eprasa.pl a752d979dc



# Rola życia

*Wśród polityków głównych opcji panuje opinia, że kto wygra kobiety, ten wygra wybory. Powszechne jest też przekonanie, że wyborów nie wygrywa się programami, tylko emocjami. Dlatego Donald Tusk robi wszystko, by rozpalić emocje kobiet, zwłaszcza młodych, i skierować je przeciwko rządowi. Dlatego chętnie wziął na sztandary Joannę Parniewską. Na jego nieszczęście w tej historii manipulacja goni manipulację. Choć pani Joanna gra rolę życia, to jednak szybko znudzi się politykom*



**DOROTA ŁOSIEWICZ**

Jest wtorkowe popołudnie 25 lipca. Podczas manifestacji pod hasłem „Nigdy nie będziesz szła sama. Solidarnie z Joanną" organizowanej w Warszawie przez Ogólnopolski Strajk Kobiet i Queerowy Maj niezbyt liczna grupa demonstrantów spotyka się pod komisariatem policji przy ul. Królewskiej.

## POLICJANCI I SIR JOHNNY D'ARC

Na krakowskiej demonstracji pani Joanna jest wyraźnie w swoim żywiole. Wszystkie oczy i kamery są skierowane na nią. Kobieta raz się śmieje, raz płacze. Nagle postanawia skierować emocje zebranych przeciwko policji. Mówi, że wśród stojących za nią policjantów rozpoznała funkcjonariuszy, którzy wiosną interweniowali po jej telefonie do psychiatry.

„Ci policjanci, którzy tutaj stoją, to ci sami, którzy wzięli udział w tym wszystkim" – twierdzi Joanna Parniewska, wskazując na policjantów ochraniających komisariat, pod którym zorganizowano pikietę. „Hańba, hańba!" – wykrzykują zebrani. Po chwili Parniewska zachęca gestem ręki do głośniejszej reakcji. Padają wulgaryzmy, ludzie buczą. Joanna czuje, że odgrywa rolę życia.

Przecież jest aktorką, performerką i działaczką proaborcyjną. Kobieta, która jest w centrum zainteresowania całej Polski, kilka lat wcześniej stworzyła dla siebie nową tożsamość i jako drag king chętnie występowała w internecie pod pseudonimem Sir Johnny d'Arc.

„W sposób nieuświadomiony utożsamiałam kobiecość z byciem ofiarą i postrzegałam ją jako jakiś wyrok. Powołanie do życia Johnny'ego było wzięciem sprawy w swoje ręce. Zrozumiałam, że nie mając nic do stracenia, tak naprawdę posiadam ogromną wolność. Moje myślenie było tyleż proste, co radykalne – skoro nie chcę być kobietą, to zostanę mężczyzną" – mówiła w rozmowie z „Repliką".

> W tym momencie pół Polski, jeśli nie więcej, już wie, że w tej sprawie wszystko jest inaczej, niż liberalne media mówiły na początku, i z niedowierzeniem przeciera oczy, że wciąż są tacy, którzy próbują robić z kobiety bohaterkę

Od tego czasu pani Joanna zamieszczała w mediach społecznościowych coraz odważniejsze i dziwniejsze zdjęcia. Jedno z nich przedstawia poród pogrzebowej urny. Z treści zamieszczanych przez nią w mediach społecznościowych wynika, że owa osoba popiera aborcję oraz środowiska feministyczne skupione wokół Strajku Kobiet. „Tym, co dla mnie jest największym horrorem, jest polska patriarchalna, dysfunkcyjna rodzina, w której do szaleństwa i rozpadu doprowadzają bezwiednie reprodukowane wzorce narzuconych kulturowo norm" – stwierdziła kobieta w opisie klipu, który zamieściła na swoim koncie na Instagramie.

Wróćmy jednak pod krakowski komisariat. Portal wPolityce.pl błyskawicznie ustala i potwierdza w kilku źródłach, że na demonstracji nie ma policjantów, którzy trzy miesiące temu brali udział w interwencji. Nie jest to pierwsze ani ostatnie kłamstwo w tej historii.

## MÓJ „ŻELEK"

Joanna Parniewska ma swoje pięć minut. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie będzie o niej tak głośno jak teraz. Więc Sir Johnny d'Arc musi łapać moment i płynąć na fali. I płynie.

Następnego dnia po manifestacji jest już w Warszawie i rozpoczyna dzień od wywiadu w TVN24. Kolejnego od wybuchu całej afery. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy. W rozmowie z Agatą Adamek Parniewska podekscytowana mówi, że powtórzyłaby wszystko dokładnie tak samo oraz że robi najważniejszą rzecz, jaką w życiu zrobiła. „No, ja też miałam dużo do stracenia, ale wierzę, że to, co robię, jest dobre. Co się najgorszego może stać? Stracę pracę – znajdę inną. Stracę mieszkanie – znajdę następne. No co się może stać złego?" – pyta nienaturalnie pobudzona.

Z TVN24 pani Joanna pędzi na posiedzenie Parlamentarnego Zespołu Praw Kobiet, gdzie zachwycona szumem wokół własnej osoby opowiada: „Jestem panią Joanną, dyrektorką muzeum, siostrą, kochanką... Sądzę, że całkiem niezłą". Opowiada też o samej aborcji: „A w ogóle to jeszcze nie powiedziałam, że ja wtedy, jak brałam tę tabletkę, to miałam tę podpaskę i na tej podpasce, jak już było po wszystkim, tam była taka... Nie wiem, jakby galaretka. Mała taka. Ja sobie np. mówię na

Fot. Tomasz Jastrzebowski / REPORTER / EastNews



eprasa.pl a752d979dc

nią »żelek« między znajomymi. No, taki żelek tam był. Mój żelek..." – bez zahamowań relacjonuje Parniewska. I cała ta żenada naprawdę rozgrywa się w polskim parlamencie.

## MANIPULACJA GONI MANIPULACJĘ

Pięć minut Parniewskiej trwa od siedmiu dni. Krakowska demonstracja ma miejsce dokładnie tydzień po tym, gdy „Fakty" TVN zaczęły serial z udziałem pani Joanny. W tym momencie pół Polski, jeśli nie więcej, już wie, że w tej sprawie wszystko jest inaczej, niż liberalne media mówiły na początku, i z niedowierzeniem przeciera oczy, że wciąż są tacy, którzy próbują robić z kobiety bohaterkę.

W pierwotnej wersji „Faktów" TVN to historia kobiety, która dokonała aborcji przez zażycie tabletki wczesnoporonnej i z tego powodu została otoczona przez opresyjnych policjantów, gdy była w szpitalu i gabinecie ginekologicznym. Jednak dość szybko na światło dzienne wychodzi prawda.

Przede wszystkim cała historia miała miejsce trzy miesiące temu. Joanna Parniewska – po tym jak dokonała aborcji farmakologicznej (nie jest jasne, kiedy dokładnie zażyła tabletkę, a może było ich kilka?) – zadzwoniła do swojej lekarki psychiatry. Powiedziała jej, że jest w złym stanie, czuje silny niepokój. Oświadczyła również, że wywołała poronienie. Psychiatra, lekarka z wieloletnim stażem, uznała, słysząc słowa pacjentki i znając jej historię, że istnieje poważne zagrożenie dla jej życia. Zadzwoniła na numer alarmowy 112 (nie na policję, jak podczas demonstracji twierdziła aktorka, która podaje różniące się wersje zdarzeń) i zrelacjonowała, że dzwoni do niej pacjentka, którą leczy w poradni, „że właśnie chce popełnić samobójstwo". Efektem telefonu lekarki było pojawienie się u pani Joanny ratowników medycznych. Dyspozytor powiadomił także policję, która również pojawiła się u kobiety. Jednak powodem interwencji była nie tyle aborcja, ile występujące ryzyko próby samobójczej, a w takich sytuacjach służby muszą reagować.

## ABORCJA JEST OK?

Emocje Joanny Parniewskiej podczas kolejnych wystąpień publicznych zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jest złość, śmiech, płacz, satysfakcja, poczucie misji. Zdezorientowana publiczność może mieć problem z określeniem, które emocje są prawdziwe, a które odegrane. A może wszystko od początku do końca jest farsą? Moją uwagę zwraca jednak to, co proaborcyjna działaczka, dla której aborcja była wiodącym tematem licznych „performenców", mówi o aborcji, której dokonała.

Z materiału, który przedstawiono podczas briefingu w Komendzie Głównej Policji, a który jest zapisem zanominizowanego nagrania z rozmowy dyspozytora ze zgłaszającą sprawę lekarką pani Joanny, wynika niezbicie, że zgłoszenia dokonano z powodu występującego ryzyka targnięcia się na własne życie przez zdesperowaną kobietę. A owa próba samobójcza może być wynikiem przeprowadzonej przez jej pacjentkę aborcji, która miała zażyć środek poronny. „Powiedziała mi tyle, że dokonała (tajemnica lekarska) w domu, nie może tego wytrzymać, zaraz zażyje leki i się zabije" – relacjonuje psychiatra stan Parniewskiej na nagraniu. W wywiadzie dla „Wysokich Obcasów" Parniewska mówi: „Moje powody były takie, a nie inne, co nie znaczy, że to było dla mnie łatwe. Dałam sobie przyzwolenie na żałobę po stracie. Pozwalałam sobie na to, żeby płakać, bo nie było to dla mnie łatwe. Powiedziałam, że wydaje mi się, że potrzebuję pomocy, bo sama się nie uspokoję". Pani Joanna wyznaje także: „Próbowałam się uspokoić kieliszkiem wina. Myślałam, że włączę sobie film, napiję się lampkę wina i minie. W odstępie kilku godzin wypiłam dwa kieliszki wina".

Gdy podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu Praw Kobiet wypowiedziała skrajnie odczłowieczające słowa odnoszące się do abortowanego dziecka, nazywając je „moim żelkiem", również mówiła przez łzy. Czy grała i kiedy grała? Tego nie wiem. Jednak z tych trzech relacji wynika, że nawet dla proaborcyjnej działaczki aborcja nie okazała się kaszką z mlekiem i wcale nie jest OK, jak próbują przekonywać kobiety różne „dream teamy".

A wracając do relacji Parniewskiej o wypitych dwóch kieliszkach wina, Wojciech Biedroń z portalu wPolityce.pl ustalił, że kobieta, gdy 27 kwietnia trafiła do szpitala przy ul. Wrocławskiej w Krakowie, miała we krwi 1,5 promila alkoholu. To spore stężenie, szczególnie dla kobiety. Taki stan mógł wywoływać silne emocje, wpływać na postrzeganie rzeczywistości i bezpośrednio rzutować na zachowanie. Z tego też szpitala pochodzi znane nagranie, którym posługiwały się media.

> Joanna Parniewska ma swoje pięć minut. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie będzie o niej tak głośno jak teraz. Następnego dnia po krakowskiej manifestacji jest już w Warszawie. Z TVN24 pędzi na posiedzenie Parlamentarnego Zespołu Praw Kobiet

## WYGRYWA SIĘ EMOCJAMI?

Na historię Joanny Parniewskiej błyskawicznie, nie czekając na rozwój wypadków, rzuca się Donald Tusk. Wykorzysta ją, oczywiście w tej zmanipulowanej przez liberalne media wersji, jako pałkę do okładania służb i rządu. Podobnie zresztą jak robił to w przypadku wcześniejszych dramatów kobiet, które nigdy nie były tak proste i jednoznaczne, jak chcieliby politycy. Jednak dla lidera Platformy Obywatelskiej w tej sprawie nie liczą się fakty, tylko emocje. Im większe, tym lepiej. „Atak prokuratury i policji na kobietę szukającą pomocy w szpitalu to dopiero początek. Chcesz głosować na PiS lub Konfederację? Powiedz to, tchórzu, w twarz swojej żonie, dziewczynie, córce!" – napisał na Twitterze. Na fali tej manipulacji Tusk zapowiedział także wielki marsz miliona serc w obronie praw kobiet.

Fot. Jan Graczyński / EastNews



eprasa.pl a752d979dc




– Kiedy Donald Tusk przyjechał do Polski, to od razu powiedział, że walkę wyborczą wygrywa się emocjami, a nie żadnymi programami ani wizjami. Powiedział też, że jak ktoś ma wizję, to powinien się leczyć. I to jest konsekwencja tego stwierdzenia. Ta kampania czy prekampania, która się toczy, odbywa się wokół wydarzeń, które są sprowokowane czy też są wydarzeniami, które osłabiają obóz rządzący – powiedział mi w „Kwadransie Politycznym" Bogusław Sonik, były polityk Platformy Obywatelskiej, który spędził w tej partii 20 lat, a zdecydował się odejść, gdy usłyszał, że przeciwnicy aborcji na życzenie nie znajdą miejsca na listach Platformy.

„Decyzja o marszu na przełomie września i października zapadła tuż po marszu 4 czerwca. Zastanawialiśmy się tylko nad momentem ogłoszenia tej inicjatywy. Nie wiedzieliśmy przecież o historii pani Joanny" – powiedziała w rozmowie z portalem Onet.pl osoba z otoczenia Donalda Tuska. Ta historia spadła więc szefowi Platformy niczym manna z nieba.

W jednym z wywiadów dla tygodnika „Sieci" minister Jadwiga Emilewicz powiedziała mi, że „kto wygra kobiety, ten wygra wybory". Zdaje sobie z tego sprawę Donald Tusk, który potrzebuje głosów kobiet. Zwłaszcza tych młodych, które łatwo wkurzyć. Jednak poza emocjami nie ma dla nich żadnej oferty programowej (oprócz „suwaka", czyli naprzemiennej kolejności na listach wyborczych kobiet i mężczyzn), dlatego emocje muszą być jak najsilniejsze. Tak silne, by zaprowadzić je do urny.

> Na historię Joanny Parniewskiej błyskawicznie, nie czekając na rozwój wypadków, rzuca się Donald Tusk. Wykorzysta ją, oczywiście w tej zmanipulowanej przez liberalne media wersji, jako pałkę do okładania służb i rządu

A elektorat kobiecy to trudny orzech do zgryzienia dla partii konserwatywnej. Choćby dlatego, że Polki w preferencjach wyborczych mocno przesunęły się w lewą stronę. To mężczyźni są bardziej prawicowi. W 2020 r. odsetek młodych Polek, które deklarowały lewicowe sympatie, wzrósł ponaddwukrotnie w porównaniu z badaniami z roku poprzedniego. Z badania CBOS opublikowanego w 2021 r. wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat odsetek młodych kobiet, które deklarują lewicowe poglądy, wzrósł z 9 do 40 proc. Wśród mężczyzn w wieku 18–24 takie sympatie deklaruje 22 proc. badanych.

Z początku więc historia Joanny Parniewskiej wydawała się idealna, by ruszyć te kobiety do urn, jednak w miarę rozwoju wydarzeń na chwilkę zamilkł i Donald Tusk. Być może już wie, że przegrał, że pani Joanny nie da się prowadzić, a co za tym idzie – nie da się kontrolować tej kuli śniegowej, a być może lada moment trzeba będzie przed nią uciekać.

Co wtedy zrobi lider Platformy? Znajdzie kolejną panią Joannę, a po niej kolejną i następną. Do wyborów afery i aferki będą wyrastać jak grzyby po deszczu. Nowa szybko zastąpi starą. I wtedy skończy się rola życia Joanny Parniewskiej, a politycy, którym wcale nie zależy na jej dobru, zostawią ją samą. I wtedy wbrew hasłu krakowskiej demonstracji aktorka będzie dalej musiała iść sama. I dopiero wówczas, gdy zgasną reflektory, a kamery się od niej odwrócą, może się wydarzyć prawdziwy dramat. Ale to już Donalda Tuska nie będzie interesowało.



eprasa.pl a752d979dc




# Strategia hieny

*Nie było w polskiej polityce po 1989 r. wykorzystywania nieszczęść i tragedii. Trzeba było Donalda Tuska, żeby w tym się rozsmakować*



STANISŁAW JANECKI

„Smród płonących odpadów w Zielonej Górze. Smród setek bezkarnych nielegalnych składowisk. Smród pisowskiej korupcji w całej Polsce" – napisał 23 lipca 2023 r. na Twitterze Donald Tusk. To kolejny element strategii hieny, czyli wykorzystywania w polityce, w kampanii wyborczej nieszczęścia bądź nieszczęśliwych przypadków losowych. Nikt przed Donaldem Tuskiem nie stosował strategii hieny jako podstawowego narzędzia polityki.

Tę strategię zapowiadało już pierwsze wystąpienie Tuska po powrocie do polskiej polityki, 3 lipca 2021 r. Tak negatywnego przemówienia wcześniej w polskiej polityce po 1989 r. nie było. W następnych miesiącach Tusk zaczął wręcz epatować nieszczęściami. Tak jakby każdego ranka rozpoczynał dzień czekaniem na nieszczęście, na tragedię, a wieczorem zadowolony zamykał dzień tylko wtedy, gdy coś złego się wydarzyło, gdy ktoś ucierpiał. Tak jakby zadowolenie można czerpać tylko z tego, co złe, czyli swego rodzaju sadystycznego stosunku do rzeczywistości, do ludzi.

Kampania (i polityka) oparta na nieszczęściach, tragediach to epatowanie złem, wywoływanie klimatu, który grozi po-

wszechną polityczną wścieklizną. Żerowanie na każdym nieszczęściu, szczególnie gdy dotyczy to kobiet, czyni z żalu, żałoby, ze smutku element propagandowy, odziera z wartości, instrumentalizuje. Strategia hieny ma wywołać rozstrój poszczególnych jednostek, rodzin, grup społecznych i wspólnot. Strategia hieny powoduje, że musi trwać nieustanny wyścig o nowe nieszczęścia, tak jakby celowo chciało się je wywołać, bo brak nowych przypadków mógłby skompromitować taką strategię. Strategia hieny burzy porządek społeczny i moralny, gdyż nieszczęście i żal czy żałoba są całkowicie zinstrumentalizowane i traktowane niepoważnie, a wręcz trwa wyścig o wyszukiwanie użytecznych nieszczęść, co może prowadzić do swego rodzaju zbiorowej psychozy. Chodzi o doprowadzenie do takiego napięcia, żeby jakakolwiek forma uspokojenia była uznana za wielkie osiągniecie i została nagrodzona. W ten sposób wszystko się odwraca, to znaczy sprawca ma być wybawicielem i autorem rozwiązania problemu, który sam stworzył.

## KŁAMAĆ, KŁAMAĆ, KŁAMAĆ

W strategii hieny nie wystarczy odwołanie się do konkretnego nieszczęścia, do konkretnej tragedii. One muszą zostać zmanipulowane, wykoślawione, żeby stały się narzędziem przemocy wobec politycznych przeciwników, narzędziem nakręcania negatywnego nastawienia oraz uzasadniania zemsty i odwetu. Dlatego ważnym elementem strategii hieny jest kłamstwo. Zgodnie z tym, co już 25 kwietnia 2019 r. jako pierwszą zasadę przedstawił Marek Belka, były premier, były prezes NBP: „Dzisiaj mam wrażenie, że trzeba w polityce – i to jest strasznie gorzkie, co mówię – kłamać, po prostu kłamać. I nie to, że kłamstwo ma krótkie nogi, tylko ma szybkie nogi. Innymi słowy, trzeba jedno kłamstwo szybko przykryć drugim tak, żeby o pierwszym ludzie zapomnieli". W strategii hieny to wcale nie jest gorzkie, lecz słodkie.

Weźmy to, co Donald Tusk twierdził o palących się toksycznych odpadach w Zielonej Górze. Obiektywnie to straszne, negatywne wydarzenie, ale w strategii hieny wręcz piękne. Tuskowi nie przeszkodziło to, że toksyczne składowisko powstało w 2012 r., czyli za jego rządów, gdy stosowną decyzję wydał starosta zielonogórski z Platformy Obywatelskiej – Ireneusz Plechan. Zgodę otrzymała firma Awinion, która później zakończyła działalność, pozostawiając w halach tysiące metrów sześciennych niebezpiecznych substancji. Za toksyczne odpady odpowiadają firmy (jedna zmieniała drugą) Jędruś, Jendrus i Awinion. Ta pierwsza powstała w 2007 r. i rozwinęła skrzydła wtedy, gdy Tusk był premierem. Tusk wie, że jego zwolennicy nie dbają o to, jaka jest prawda, bo i tak go poprą. Najwyżej przemilczy się to, że najwięcej odpadów ściągnięto do Polski w 2011 r. (1,602 mln ton), a drugi rekordowy rok to 2009 (1,117 mln ton).

To za rządów Tuska mafia śmieciowa utworzyła toksyczne składowiska m.in. w Adamowie (powiat wolsztyński) – 1,4 tys. 200-litrowych beczek, Łosieńcu (powiat wągrowiecki), Mielżynie (powiat gnieźnieński) – 26 tys. litrów toksycznego toluenu, Parkowie (powiat obornicki) – 19 ton toksycznych odpadów, Kaliszu, Poznaniu, Janikowie pod Poznaniem. To za rządów Tuska poznańska firma Wuko-Waste w dzierżawionych od Agencji Mienia Wojskowego hangarach na terenie byłego lotniska wojskowego w Pile pozostawiła ok. 2 tys. ton szkodliwych i niebezpiecznych substancji.

Śledztwa przeciwko mafii śmieciowej podjęto dopiero za rządów Zjednoczonej Prawicy, czyli w 2016 r. Dlatego w grudniu 2018 r. sąd skazał pięć osób na kary od dwóch miesięcy do czterech lat więzienia za narażanie życia i zdrowia przez tworzenie toksycznych składowisk. Dlatego w 2019 r. policja zatrzymała 13 osób związanych z firmą Awinion. Prokuratura zarzuciła im działanie w zorganizowanej grupie przestępczej, a także popełnianie przestępstw przeciwko środowisku i sprowadzenia niebezpieczeństwa katastrofy ekologicznej.

Po pożarze w Zielonej Górze przyciśnięty do muru Tusk nagrał kolejny filmik na TikToku, w którym stwierdził, że mafia śmieciowa rządzi za obecnej władzy, choć akurat ta mafia siedzi w więzieniu lub ma akty oskarżenia, czego nie było przed 2016 r.

## TARCZA Z KOBIET

16 czerwca 2023 r. na wiecu w Poznaniu Donald Tusk powiedział: „Dzisiaj ta władza to są seryjni zabójcy kobiet. To oni odpowiadają za śmierć tych kobiet. To na nich, na ich głowy, panie Kaczyński, na pańską głowę spadają te tragedie, te śmierci, ta żałoba". Tusk wykorzystał w tym przypadku ogromne nieszczęście, którym była śmierć kobiet w ciąży – zwykle z powodu wstrząsu septycznego – a przede wszystkim pani Doroty, zmarłej w maju 2023 r. w szpitalu w Nowym Targu. Tusk wykorzystał też śmierć pani Agaty w 2004 r. (doszło do niewydolności oddechowej, niewydolności wielonarządowej i sepsy), pani Justyny w 2020 r. w szpitalu w Wodzisławiu Śląskim (w wyniku sepsy), pani Anny w 2021 r. (w 20. tygodniu ciąży) w Świdnicy, pani Agnieszki na początku 2022 r. (była w ciąży bliźniaczej) w Częstochowie, pani Marty (była w 20. tygodniu ciąży) w kwietniu 2022 r. (sepsa). Przewodniczący PO stwierdził: „Dzisiaj jest strach na oddziałach ginekologicznych, bo ciążę prowadzi prokurator".

Dla Tuska nie istnieją błędy lekarskie, powikłania, procedury, obowiązek ratowania życia kobiety, gdy zagraża mu negatywny przebieg ciąży, choć ten obowiązek

> W strategii hieny nie wystarczy odwołanie się do konkretnego nieszczęścia, do konkretnej tragedii. One muszą zostać zmanipulowane, wykoślawione, żeby stały się narzędziem przemocy wobec politycznych przeciwników, narzędziem nakręcania negatywnego nastawienia oraz uzasadniania zemsty i odwetu

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock, Torsanto / Shutterstock, Grzegorz Żukowski / Shutterstock



pl a752d979dc

jest najważniejszy i żadne orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego go nie zlikwidowało czy zawiesiło. Ważna jest tylko tragedia jako element strategii hieny. Dlatego musiał nim być przypadek pani Joanny z Krakowa (uzasadnione obawy prowadzącej ją psychiatry o chęć popełnienia samobójstwa). Farmakologiczna aborcja i zagrożenie samobójstwem stały się wręcz wymarzonym (jakkolwiek okropnie by to wyglądało) nieszczęściem, bo można było zaatakować nie tylko rządzących (za przepisy aborcyjne), Trybunał Konstytucyjny (za orzeczenie z 22 października 2020 r.), lecz także policję, która chciała udaremnić próbę samobójczą i ustalić, czy nabyte w farmakologicznym podziemiu tabletki nie wywołany skutków ubocznych, np. negatywnie wpływając na psychikę.

## PUCZ RTĘCIOWY

Strategia hieny to czekanie na nieszczęście, a potem poczucie triumfu, gdy tragedia jest na tyle nośna, żeby wokół niej zbudować polityczną narrację. Wydawałoby się, że nikt o zdrowych zmysłach i choćby minimalnym przywiązaniu do norm moralnych nie mógłby ani nie powinien pozytywnie myśleć o nieszczęściu, tragedii. Okazuje się, że nie tylko mógłby, lecz także robi to nagminnie. I nagminnie kłamie. Tak było w przypadku katastrofy ekologicznej w sierpniu 2022 r. w wodach oraz otoczeniu Odry. Donald Tusk wypalił wtedy: „Śnięte są nie tylko ryby w Odrze, śnięte jest całe państwo pod rządami Kaczyńskiego. PiS jest jak rtęć". Od tego stwierdzenia zaczęło się coś, co można nazwać puczem rtęciowym. Pojawiła się narracja, że Polacy będą umierać, gdyż Odrą płynie śmiercionośna rtęć. Zabija życie w rzece i jej najbliższym otoczeniu, ale to się przenosi na trzy przygraniczne województwa, a stamtąd na cały kraj. I wywołuje międzynarodowy konflikt, bo przecież Odra to rzeka graniczna z Niemcami. To niemiecki minister rolnictwa, klimatu i środowiska kraju związkowego Brandenburgia Axel Vogel ostrzegł przed śmiercionośną rtęcią, co rozwinęła marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak. Nieważne, co konkretnie powiedział o rtęci, ważne, że marszałek wszczęła alarm. I mógł wkroczyć do akcji Tusk ze swoim „śniętym całym państwem".




Trująca rtęć była Tuskowi potrzebna, choć jej faktycznie nie było. Bo rtęć przeraża. Każdy może przeczytać, że rtęć przedostaje się do mózgu i uszkadza nie tylko ten organ, lecz także cały układ nerwowy, powodując zmiany w osobowości. Rtęć niszczy nerki, wywołuje zapalenie płuc i oskrzeli, zapalenie jelit, co się objawia krwawymi biegunkami. Rtęć zakłóca niezbędne do życia procesy biochemiczne. Wreszcie – niszczy płody u ciężarnych kobiet. I jest zdradliwa, bo najpierw wywołuje tylko osłabienie, kłopoty ze snem, koncentracją, a potem mamy już ogólnoustrojową katastrofę i zagrożenie życia. Dlatego nie wolno się dać zwieść informacjom, że rtęć nie była przyczyną śnięcia ryb, a jej występowanie gdzieś może być zwykłą anomalią. A przede wszystkim nie można się dać zwieść, że katastrofa Odry może być skutkiem nałożenia się niejako naturalnych czynników. Wykładnię znowu dał Donald Tusk: „Pani minister [Anna] Moskwa kłamie. Pani marszałek [Elżbieta] Polak mówi prawdę. Pierwsza reprezentuje rząd i PiS, druga samorząd i PO. Zero zdziwienia". W rzeczywistości było odwrotnie.

Ale ruszyła lawina politycznego wykorzystywania nieszczęścia. Poseł lewicy Tomasz Trela wezwał: „Rząd do dymisji, natychmiast. Wybory parlamentarne, natychmiast". A były postkomunistyczny premier Leszek Miller uogólnił: „PiS najpierw zatruł polskie społeczeństwo, a teraz zaczyna truć rzeki". W rtęć brnięto nawet wtedy, gdy okazało się, że to humbug. Konkretna i prawdziwa przyczyna nie ma jednak znaczenia, jej ustalenie nie jest potrzebne, a nawet może być szkodliwe. Tusk i opozycja nie przejęli się tym, że traktowanie nieszczęścia jako szczęścia jest absolutną aberracją.

> Obiektywnie straszne wydarzenie, którym był pożar toksycznych odpadów w Zielonej Górze, w strategii hieny jest wręcz piękne. Tuskowi nie przeszkodziło to, że toksyczne składowisko powstało w 2012 r., czyli za jego rządów, gdy stosowną decyzję wydał starosta zielonogórski z PO

## NAJWIĘKSZE MORALNE DNO

Posługując się strategią hieny, Donald Tusk nie mógł ominąć imigrantów atakujących polską granicę od strony Białorusi. Bez znaczenia było to, że była to część wojny hybrydowej przeciwko Polsce prowadzonej przez Putina i Łukaszenkę. I znowu Tusk nadał ton: „PiS skutecznie wmówił bardzo dużej części opinii publicznej, że niech dzieci i kobiety w ciąży zamarzają, umierają, a my zbudujemy mury i nie będziemy na to zwracać uwagi. [...] Polska na świecie kojarzy się z umierają-



eprasa.pl a752d979dc




Żerowanie na każdym nieszczęściu, szczególnie gdy dotyczy to kobiet, czyni z żalu, żałoby, ze smutku element propagandowy, odziera z wartości, instrumentalizuje. Strategia hieny ma wywołać rozstrój poszczególnych jednostek, rodzin, grup społecznych i wspólnot

cymi, zamarzającymi dziećmi”. Za chwilę się okazało, iż Polska się kojarzy, ale z ogromną, bezinteresowną pomocą dla milionów uchodźców wojennych z Ukrainy. No, ale w tym, co się działo już w Polsce, było za mało nieszczęścia i w żaden sposób nie można było obwinić o nie polskich władz.

Można było za to oskarżyć polskie władze o sprowadzenie poważnego zagrożenia (upragnione nieszczęście), gdy 16 grudnia 2022 r. nad polskie terytorium wleciała rosyjska rakieta. Była śledzona, ale zniknęła z radarów. Odnaleziono ją dopiero 22 kwietnia 2023 r. – w lesie w miejscowości Zamość niedaleko Bydgoszczy. Dla Tuska i opozycji incydent w Zamościu stał się pretekstem do ataku na rząd, a przede wszystkim ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Rakieta okazała się wymarzonym nieszczęściem do ożywienia strategii hieny. I znowu kierunek wyznaczył Donald Tusk: „Reakcja pisowskiej władzy na wtargnięcie rosyjskiej rakiety to wzajemne oskarżenia ministra obrony, generałów i prezydenta, chaos informacyjny i tchórzliwe milczenie prezesa. Rządzą nami nieodpowiedzialne miernoty. Są zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego, niczym rakiety wroga”. Dobrze, że już wroga, bo przez kilka lat, począwszy od końca 2007 r., to nie był wróg, nie stwarzał żadnego zagrożenia, a wręcz zachęcał do likwidowania jednostek wojskowych na wschodzie Polski. Dlatego z ogromną determinacją i wbrew interesowi państwa (w oparciu o dokumenty pokazuje to serial TVP „Reset”), resetowano z nim relacje, a nawet współpracowano czy wręcz spiskowano przeciwko prezydentowi Polski Lechowi Kaczyńskiemu, co skończyło się rozdzieleniem wizyt w Katyniu w kwietniu 2010 r. i katastrofą smoleńską, w której zginął największy wtedy wróg Putina, prezydent Lech Kaczyński. Tu była przypadkowa rakieta, w dodatku w czasie toczącej się za naszą granicą wojny, za rządów Donalda Tuska zaś było zaproszenie do monitorowania przez Rosję polskich instalacji obronnych i poznawania naszych tajemnic wojskowych, a nawet umożliwienie swobodnego działania rosyjskiego wywiadu na terenie Polski.

Z powodu jednej zabłąkanej rakiety (w dodatku z betonem zamiast ładunku w głowicy) Donald Tusk odważył się atakować ministra obrony Mariusza Błaszczaka, podczas gdy za jego rządów (Bogdan Klich był wtedy ministrem obrony) w katastrofach lotniczych, w lotach niezwiązanych z działaniami bojowymi zginęło 121 osób. Doszło do dwóch największych katastrof w dziejach polskiego lotnictwa wojskowego. 23 stycznia 2008 r. na lotnisku w Mirosławcu rozbił się samolot CASA C-295M. Zginęło 20 osób, czyli wszyscy znajdujący się na pokładzie, w tym wysocy dowódcy Sił Powietrznych. 10 kwietnia 2010 r na lotnisku pod Smoleńskiem zginęło 96 osób, w tym prezydent RP i najwyżsi rangą dowódcy wojskowi. Ta druga tragedia, będąca absolutnym ewenementem w skali światowej, też stała się częścią strategii hieny. Czy można sobie wyobrazić większe moralne dno?

REKLAMA




eprasa.pl a752d979dc



# Ręka w rękę z Kremlem



eprasa.pl a752d979dc



Fot. East News

*Za ułudę rzekomego pojednania z Rosją był gotowy niemal na wszystko – działać wbrew interesom Polski, wbrew interesom sojuszników, ale zawsze na rękę Moskwie. Aktywność Donalda Tuska jako premiera na kierunku wschodnim nosi wszelkie znamiona zdrady. Najjaskrawiej widać ją w traktowaniu głowy polskiego państwa*



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Taka polityka musiała odbywać się w konspiracji przed tymi, którzy nie wyzbyli się zdrowego rozsądku i wiedzieli, kim jest Putin i jakie ma plany. Dlatego kierownictwo polskiego rządu – na czele z premierem – w latach 2008–2010 utajniało kluczowe notatki z rozmów z Rosjanami, nie przekazywało ich prezydentowi (który wszak współkształtował politykę zagraniczną), chowało w szafach jego pilne pisma adresowane do innych przywódców, prowadziło przeciwko niemu wręcz otwartą grę, której stałym elementem było wysługiwanie się Kremlowi.

## ZAWSZE PRZECIW PREZYDENTOWI

Prezydent Lech Kaczyński nigdy nie ukrywał, że nie godzi się z szaloną strategią Donald Tuska, któremu wydawało się, że będzie prowadził z Rosją partnerskie relacje. „Jestem głęboko przekonany, że obecny rząd prowadzi wadliwą politykę zagraniczną, że polityka [...] demonstrowania dobrej woli wobec państw, które za grosz nie prezentują jej wobec Polski, nie ma najmniejszego sensu" – mówił podczas podróży do Brukseli pod koniec 2008 r. Leciał wówczas samolotem wyczarterowanym od PLL LOT, bo rządowego Tu-154M mu odmówiono, ale to w obliczu całości niewielka złośliwość, której doznał przywódca państwa od szefa rządu. Uczestniczący w szczycie Rady Europejskiej premier Donald Tusk pytany o to, czy przez cały czas potrzebuje na miejscu samolotu, odpowiedział: „Powiem brutalnie, nie potrzebuję pana prezydenta. Na tym polega problem".

Od wielu miesięcy urzędnicy Tuska grali w dyplomatyczną ciuciubabkę z Kancelarią Prezydenta RP. I nie informowali głowy państwa o najistotniejszych wydarzeniach na szczeblu międzynarodowym. Czasem nawet fałszując w tym celu dokumenty. „Z doświadczenia z pracy nad materiałami dyplomacji polskiej z okresu Donalda Tuska do 2010 r. mogę stwierdzić, że notatki, w których na rozdzielniku widnieje prezydent Lech Kaczyński, są inne niż te, na których jego nazwisko nie istnieje" – mówi w serialu TVP „Reset" prof. Sławomir Cenckiewicz, historyk, współautor cyklu, w którym jest przytoczona kompromitująca dla administracji premiera Donalda Tuska sekwencja wydarzeń z 2008 r.

Gdyby w oficjalnych dokumentach po spotkaniu na Kremlu 8 lutego 2008 r. znalazła się informacja o propozycji polsko-rosyjskiego rozbioru Ukrainy, którą złożył Donaldowi Tuskowi Władimir Putin, w zasadzie oznaczałoby to blamaż nowej polityki rządu PO-PSL wobec Rosji. Dlatego dla goszczącej w Moskwie delegacji stało się jasne, że ta wiedza musi zostać ukryta przede wszystkim przed prezydentem Lechem Kaczyńskim. Tak się też stało, ale arsenał sił i środków użytych w celu zachowania poufności rozmowy polskiego premiera z rosyjskim prezydentem jest naprawdę zatrważający.

Oficjalnie wszystko odbywało się w atmosferze zrozumienia, życzliwości i współpracy. „Bardzo się cieszę, że pan prezydent osobiście i inni przywódcy Federacji Rosyjskiej tak szybko odczytali sygnały [...], że Polska i ja osobiście, mój rząd mamy intencję naprawy relacji polsko-rosyjskich" – te słowa Donalda Tuska zarejestrowały kamery. Przy stole siedzą członkowie delegacji. Jej skład częściowo może zaskakiwać, niebawem okaże się kluczem do dyplomatycznego fałszerstwa. Pośród m.in. premiera i sekretarzy stanu w KPRM zasiada Zbigniew Rzońca, człowiek, który jest odpowiedzialny za sporządzanie notatek ze spotkań. To esbek (ps. Biteks), który po transformacji pozostał



eprasa.pl a752d979dc

na etacie w Agencji Wywiadu, na spotkaniu w Moskwie znalazł się – nie wiadomo, w jaki sposób – zamiast ministra infrastruktury Cezarego Grabarczyka.

Rzońca swojego zadania (oficjalnego) nie wykonał, bo w MSZ nie sporządzono żadnej dokumentacji ze spotkań Tuska na Kremlu. Powstała w Departamencie Polityki Zagranicznej KPRM (stało się tak po wyraźnej sugestii kancelarii szefa rządu), a więc pod bezpośrednim nadzorem premiera. Dokument najprawdopodobniej zawierający passus o proponowanym rozbiorze Ukrainy nie trafił do Kancelarii Prezydenta RP, do dziś jest niejawny i leży w archiwum Agencji Wywiadu. Co szokujące, resort spraw zagranicznych relację z tej niezwykle istotnej wizyty sporządził nie, jak nakazuje praktyka, natychmiast, ale... po dwóch tygodniach. Autorami notatki są Jarosław Bratkiewicz, szef Departamentu Wschodniego MSZ (nie było go w Moskwie) i Zbigniew Rzońca (obecny przy stole z Putinem). Widnieje pod nią podpis ministra Radosława Sikorskiego. We wnioskach czytamy: „Rozmowy w Moskwie przebiegały w dobrej, rzeczowej atmosferze, choć niepozbawionej elementów kontrowersyjnych i polemicznych".

W ten sposób „poinformowano" prezydenta Lecha Kaczyńskiego (ten dokument już trafił do KPRP) o przebiegu rozmów na Kremlu. A bomba, którą była propozycja rozbioru Ukrainy, wybuchła osiem lat później, gdy Radosław Sikorski (od kilku tygodni już jako marszałek Sejmu, a nie szef MSZ) powiedział o tym portalowi Politico: „Władimir Putin chciał wciągnąć Polskę w rozbiór Ukrainy. Propozycja taka miała paść podczas spotkania prezydenta Rosji z premierem Donaldem Tuskiem. [...] On [Putin] stwierdził, że Ukraina jest sztucznym państwem, że Lwów jest polskim miastem i że warto zająć się tym wspólnie" – powiedział Sikorski. Później podczas konferencji prasowej kręcił, że „zdarza się człowiekowi zagalopować" i że notatki z tego spotkania nie ma, bo „z ponurych żartów nie robi się notatek". Pytanie nie brzmi więc, czy były szef MSZ skłamał, tylko czy zrobił to w 2008, czy też w 2014 r.?

## PRZECIĄGANIE TARCZY

Zbliżenie z Rosją, na które postawił Donald Tusk, musiało stać w oczywistej kontrze do polityki poprzednich rządów PiS i prezydenta, którzy stawiali na rozwinięcie relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Podczas opisanych powyżej rozmów na Kremlu pojawił się także temat tarczy antyrakietowej, której budowę zaoferowała nam administracja prezydenta George'a W. Busha. Polski premier usłyszał od Putina, że jeśli taka instalacja w Polsce powstanie, on natychmiast przekieruje swoje rakiety nuklearne na cele strategiczne na naszym terytorium. Tę informację polski premier także zataił przed prezydentem Kaczyńskim. Dowiedzieliśmy się o niej z filmu „Reset", w którym pokazano dokumenty amerykańskie – w polskich notatkach ani z Moskwy, ani z Waszyngtonu tego nie ma. Podczas spotkania w Białym Domu Tusk mówi Bushowi o rosyjskich groźbach w zaufaniu („Nigdy nie powiem tego publicznie"), w odpowiedzi słyszy ośmielenie ze strony amerykańskiego przywódcy, który takie słowa z Rosji słyszał już nieraz.

> Urzędnicy Tuska grali w dyplomatyczną ciuciubabkę z Kancelarią Prezydenta RP. I nie informowali głowy państwa o najistotniejszych wydarzeniach na szczeblu międzynarodowym. Czasem nawet fałszując w tym celu dokumenty

Dla Polaków przekaz jest nieco złagodzony, na konferencji prasowej słyszymy o „pewnej ilości ryzyk", które miałoby za sobą nieść rozwinięcie amerykańskiej inwestycji obronnej. Ale w praktyce oznacza to, że rząd Tuska rozpoczyna obstrukcję w negocjacjach z USA. Odpowiedzialny za umowę wiceszef MSZ Witold Waszczykowski przyznaje, że dostaje coraz więcej wytycznych, czego jeszcze ma żądać od partnerów. Gdy wreszcie do Warszawy przybywa amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice i umowa zostaje podpisana, wydaje się, że to finał sprawy. Potrzeba jeszcze tylko ratyfikacji dokumentu przez parlament i podpisu prezydenta. Lech Kaczyński czeka, ale kontrolowany przez Tuska Sejm zwleka. W końcu w USA zmienia się władza, kolejnym prezydentem zostaje Barack Obama, który rezygnuje z planów budowy instalacji w Polsce. Tusk może odetchnąć, Putin może poklepać go po plecach, zadanie wykonane. Moskwa znów dostaje, czego chce. Polska zostaje z fałszywym poczuciem partnerstwa z Rosją.

Oddajmy jeszcze raz głos prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu z 2008 r.: „Polityka zwiększania masy wpływów pewnego państwa na wschód od Unii Europejskiej, [...] jest polityką zabójczą z punktu widzenia i Polski, i Europy".

## HAMULEC DLA GRUZJI

Władimir Putin w 2008 r. spotkał się ze światowymi przywódcami na szczycie Rosja – NATO w Bukareszcie z jasno sprecyzowanym przekazem: zdecydowane „nie" dla rozszerzania paktu na Wschód, zwłaszcza o Ukrainę. Reprezentujący Polskę prezydent Lech Kaczyński miał dokładnie odwrotny plan – umożliwienie partnerom z Kijowa, a także z Tbilisi możliwie najszybszej ścieżki prowadzącej do członkostwa w pakcie. Polski przywódca napisał list do zachodnich partnerów, w którym uwrażliwiał państwa leżące w pewnym oddaleniu od wschodniej flanki NATO na ekspansywną politykę Rosji, wprost zagrażającej w tym czasie przede wszystkim Ukrainie i Gruzji.

27 marca 2008 r. (był to czwartek) prezydent zlecił MSZ rozesłanie listu w trybie pilnym, by trafił on do adresatów jeszcze przed rozpoczynającym się 2 kwietnia 2008 r. (środa) szczytem NATO. Autorzy serialu „Reset" pokazali ten dokument, w archiwum MSZ zachował się wraz z żółtą karteczką i widniejącą



eprasa.pl a752d979dc

na niej odręczną notatką: „Po rozmowie z MRS [ministrem Radosławem Sikorskim – przyp. red.]. Ten dokument ma leżeć w naszej szafie pancernej do poniedziałku (31.03) i czekać na dalsze dyspozycje MRS". Wysłanie listu pocztą dyplomatyczną kilka dni później miało spowodować, że dotrze on na ostatnią chwilę, a więc nie zostanie poważnie potraktowany. I chyba o to chodziło. Poza rytualną uszczypliwością wobec głowy państwa rządowi Tuska zależało także na tym, by grać w drużynie Angeli Merkel i Nicolasa Sarkozy'ego. Niemcy i Francja, identycznie jak Rosja, były bardzo sceptyczne wobec rozszerzenia paktu na Wschód.

Kto miał rację? Kilkanaście tygodni później, w sierpniu 2008 r., Rosja najeżdża Gruzję. Lech Kaczyński znów chce działać mimo jawnej obstrukcji rządu Tuska. Organizując wyprawę europejskich przywódców, znów spotyka się z odmową udzielenia mu rządowego samolotu. Dopiero zapowiedź prezydenta George'a W. Busha, że ten jest gotów użyczyć swojego Air Force 2, sprawia, że Tusk odpuszcza i Kaczyński wraz z prezydentami Ukrainy, Litwy i Estonii oraz premierem Łotwy rusza w drogę. Polski premier wpycha jeszcze na pokład swojego człowieka, Radosława Sikorskiego, który o mało co nie wywołał skandalu dyplomatycznego w stolicy Gruzji. Jak w „Resecie" ujawnił Adam Bielan, szefa MSZ trzeba było wyprowadzić z restauracji, by ochłonął.

W listopadzie 2008 r. prezydent Kaczyński ponownie pojawia się w Gruzji. Przystaje na propozycję swojego przyjaciela Micheila Saakaszwilego i konwój z prezydentami kieruje się w pobliże granicy z terenami okupowanymi przez Rosję. W bezpośredniej bliskości padają strzały. Sytuacja jest poważna, ale w Polsce od razu rusza machina drwin i hejtu. Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski kpi, wypowiadając haniebne słowa: „Jaka wizyta, taki zamach". Premier Tusk o narażenie życia polskiego prezydenta oskarża Gruzinów, a sprzyjające mu media idą jeszcze dalej, sugerując, że to być może ustawka, by móc przedstawić Lecha Kaczyńskiego jako odważnego polityka.

To oczywiście medialny szum, gorzej sprawa wygląda, gdy słyszymy relacje, jak potraktowano strzały w kierunku prezydenta w polskich służbach. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego pisze raport, który okazuje się publicystyką przepisaną słowo w słowo z rosyjskich mediów. W rozmowach dyplomatycznych Rosjanie w końcu przyznają się, że strzały oddał żołnierz osetyjski (czyli prorosyjski rebeliant okupujący Osetię Południową). Ta informacja dociera do Tuska, ale polski premier ją ukrywa. Zarówno przed opinią publiczną, jak i (oczywiście) przed Lechem Kaczyńskim.




> Gdyby w oficjalnych dokumentach po spotkaniu na Kremlu 8 lutego 2008 r. znalazła się informacja o propozycji polsko-rosyjskiego rozbioru Ukrainy, którą złożył Tuskowi Putin, w zasadzie oznaczałoby to blamaż nowej polityki rządu PO-PSL wobec Rosji. Tę wiedzę więc ukryto przed prezydentem Kaczyńskim

## ŚCIEŻKA DO SMOLEŃSKA

W pierwszym sezonie „Resetu" mogliśmy przypomnieć sobie o dokumentach kompromitujących Tuska i Sikorskiego, które w tygodniku „Sieci" ujawniliśmy już sześć lat temu. W artykule „Kłamca smoleński" (to w odniesieniu do prawdomówności w składanych pod przysięgą zeznaniach Radosława Sikorskiego) opisaliśmy wiele pism MSZ sporządzonych po rozmowach z Rosjanami w czasie przygotowań do operacji „Katyń 2010". To zestaw materiałów, w których najlepiej widać, jak przez tych ludzi był traktowany najwyższy urząd w Polsce.

Prześledźmy je jeden po drugim.

Pierwsze z pism to notatka sporządzona przez Jarosława Bratkiewicza dotycząca jego spotkania 30 września 2009 r. z Dmitrijem Poljańskim, zastępcą ambasadora Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Ich rozmowa dotyczy m.in. nadchodzących za kilka miesięcy uroczystości 70. rocznicy zbrodni katyńskiej. Mowa jest o spotkaniu premierów Polski i Rosji. Jak czytamy, Poljański „obawiał się, że chęć udziału w tym wspólnym przedsięwzięciu może wyrazić również prezydent Lech Kaczyński, jako że w opinii strony rosyjskiej sprawy historyczne bardziej leżą w gestii prezydentów aniżeli premierów". Nic dziwnego, że we wnioskach Bratkiewicz pisze m.in.: „Należałoby w nieodległej przyszłości podjąć rozmowy z ośrodkiem prezydenckim na temat udziału prezydenta Lecha Kaczyńskiego w rosyjskich obchodach 65. rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem i przesłania, które prezydent zamierza sformułować podczas ewentualnej



eprasa.pl a752d979dc

wizyty w Moskwie w dniu 9 maja 2010 r.". Już we wstępie do notatki Bratkiewicz zastrzega, że przytoczone wątki rozmowy z Poljańskim „wymagają większej dyskrecji". I ta zostaje zachowana. Pismo nie trafia do nikogo z Kancelarii Prezydenta RP.

20 października spotykają się Andrzej Kremer (wiceminister spraw zagranicznych) ze swoim rosyjskim odpowiednikiem Władimirem Titowem. Rozmowa dotyczy wyłącznie rocznicy katyńskiej. Kremer relacjonuje swoje słowa, iż intencją strony polskiej jest przedsięwzięcie „na odpowiednio wysokim szczeblu państwowym z udziałem jednej delegacji polskiej". Ma na myśli premierów i dodaje, że takie rozwiązanie „wykluczyłoby przybycie w powyższym terminie do Katynia kilku dużych delegacji polskich z kluczowych ośrodków władzy RP". Titow odnosi się do tego „bez entuzjazmu" i stwierdza, że „strona rosyjska szczególnie obawia się »polityczno-historycznego szumu«, który z okazji ceremonii upamiętnienia zbrodni katyńskiej mógłby wywołać np. obecny prezydent RP". Dla Kremera jest jasne, że Rosjanie nie życzą sobie Lecha Kaczyńskiego w Katyniu. Wiceminister podsumowuje: „»Trudne doświadczenia«, które wyniósł Władimir Putin z udziału w uroczystościach na Westerplatte [...], instynktownie skłaniają stronę rosyjską do dystansowania się wobec kolejnego przedsięwzięcia rocznicowego, które tym bardziej w jej subiektywnym odczuciu mogą pokazać Rosję w złym świetle czy zgoła »upokorzyć« ją". Rozpoczyna się gra z Rosjanami na wykluczenie prezydenta z Katynia. Dlatego też głowa państwa tego pisma nie dostaje.

14 grudnia Bratkiewicz rozmawia z rosyjskimi „ekspertami" od mediów, m.in. byłym doradcą Putina Modestem Kolerowem. Ten ostatni stwierdza: „Polacy powinni zrozumieć dylematy i problemy współczesnej Rosji", chwilę później Zachód nazywa „idiotami w badawczych okularach", a Ukraińców i Białorusinów „Papuasami z peryferii". Dodaje, że 2010 r., ma być testowy dla relacji polsko-rosyjskich. „Dla Rosji szczególnie ważne będzie, czy obchody katyńskie będą się odbywać w duchu »ekumenicznego« złożenia hołdu ofiarom polskim i sowieckim spoczywającym w lesie katyńskim". Lech Kaczyński nigdy nie godził się na relatywizowanie zbrodni katyńskiej. W rządzie nie widzą w tym problemu. Notatkę Bratkiewicza dostają m.in. szefowie MSZ, KPRM i Agencji Wywiadu, marszałek Senatu, ale nikt z ośrodka prezydenckiego.

Jeszcze zanim Putin zadzwonił do Tuska z oficjalnym zaproszeniem do Katynia, polski rząd wiedział już, że na uroczystości wybiera się głowa państwa. 27 stycznia 2010 r. prezydencki minister Mariusz Handzlik powiadomił o tym MSZ. Na dokumencie z KPRP Radosław Sikorski dopisał odręcznie prośbę o przygotowanie pisma rekomendującego prezydentowi udział w uroczystościach 9 maja w Moskwie. Szef polskiej dyplomacji na każdym kroku dbał o to, by w kwietniu nie popsuć humoru Putinowi.

> Przywódca polskiego państwa zdawał się dla ówczesnego premiera i szefa dyplomacji wrogiem, Putin zaś chyba kimś więcej niż politycznym partnerem. Dziś mamy pełną wiedzę o tym, jak systemowo Tusk z Sikorskim marginalizowali i okłamywali prezydenta

3 lutego 2010 r. w gabinecie Tuska dzwoni telefon. Po drugiej stronie kabla Władimir Putin zaprasza swojego polskiego odpowiednika na katyńskie obchody. Dzień później Tomasz Arabski ustala z Jurijem Uszakowem datę 7 kwietnia. Wie o tych ustaleniach cała kancelaria premiera, cały MSZ z Radosławem Sikorskim, informacja nie dociera z kolei do kancelarii prezydenta. Jak większość korespondencji na temat wizyty w Katyniu, nawet gdy dotyczy osobiście Lecha Kaczyńskiego.

17 lutego wiceminister Kremer spotyka się z ambasadorem Rosji Władimirem Grininem. Jest mowa m.in. o zbliżającej się wizycie doradcy Putina Jurija Uszakowa i jego rozmowach z Tomaszem Arabskim. „Wyraziłem również nadzieję na ostateczne ustalenie w trakcie spotkania Arabski – Uszakow terminu wspólnych uroczystości katyńskich oraz konstruktywne omówienie ich kształtu w kontekście wyrażonej przez prezydenta L. Kaczyńskiego woli złożenia wizyty w Katyniu w kwietniu br. Zapewniając, że podczas rozmów z J. Uszakowem mininister T. Arabski przedstawi w szczegółach polską wizję uroczystości katyńskich, zadeklarowałem naszą otwartość w odniesieniu do propozycji i ewentualnych sugestii rosyjskich w tym zakresie". O tej „otwartości na rosyjskie sugestie" zostali poinformowani i premier Tusk (pismo wśród 21 osób otrzymali m.in. Paweł Graś i Tomasz Arabski), i minister Sikorski. To kolejny dowód na to, że ten ostatni wiedział o kwietniowych planach prezydenta (w sądzie mówił co innego). Dla porządku dopowiedzmy, że i tym razem dokument nie został wysłany prezydentowi.

23 lutego Andrzej Kremer poprosił szefa Kancelarii Prezydenta RP Władysława Stasiaka o pilną deklarację, czy Lech Kaczyński będzie w Katyniu 10 kwietnia. Szef KPRP natychmiast potwierdza „gotowość pana prezydenta RP do uczestnictwa w tych uroczystościach i przewodniczenia delegacji polskiej". Stasiak nie wie jeszcze, że uroczystości będą dwie. Jego kancelaria nie ma żadnych informacji z rządu, że Tusk z Putinem umówili się już na 7 kwietnia. Cel premierów Polski i Rosji został zrealizowany. Udało się oszczędzić Putinowi towarzystwa Lecha Kaczyńskiego w Katyniu.

Po tym piśmie Stasiaka MSZ powinno natychmiast notyfikować Rosjanom wizytę prezydenta. Resort Sikorskiego jednak tego nie zrobił (tu przypomina się prośba Lecha Kaczyńskiego sprzed



eprasa.pl a752d979dc

szczytu NATO w Bukareszcie). Stało się to dopiero 15 marca, po napomnieniu wysłanym przez prezydenckiego ministra Mariusza Handzlika. Gdy Sikorskiego pytał o to sąd w procesie Tomasza Arabskiego, były szef dyplomacji najpierw zasłaniał się niewypełnianiem poleceń przez podwładnych, a ostatecznie skłamał, że wcześniejsze informacje, które otrzymywał, były nieoficjalne. A przecież istnieją dwa jak najbardziej oficjalne pisma z kancelarii prezydenta do MSZ zapowiadające wyjazd prezydenta do Katynia – z 27 stycznia i 23 lutego.

25 lutego Arabski spotyka się z Uszakowem. W notatce z tego wydarzenia czytamy: „Minister Arabski poinformował mininistra Uszakowa, iż wolą prezydenta RP jest uczestnictwo w uroczystościach w Katyniu (10 kwietnia br.). Minister Uszakow stwierdził, iż postawiłoby to stronę rosyjską w kłopotliwej sytuacji, bowiem prezydent Miedwiediew tego dnia nie będzie mógł przybyć do Katynia". Lech Kaczyński nigdy się o tym nie dowie, bo i ten dokument do niego nie trafił.

Skoro przy planowaniu uroczystości w Katyniu Kancelaria Prezydenta RP była przez rząd konsekwentnie pomijana, Mariusz Handzlik wybierał się do Moskwy, by osobiście rozmawiać z Rosjanami o wizycie prezydenta. O pomoc w zorganizowaniu spotkań poprosił MSZ. W dniu wylotu (18 marca) dowiedział się jednak (od ambasadora Bahra), że jego wyprawa nie może dojść do skutku, bo... w tym czasie na rozmowach w rosyjskiej stolicy będzie Tomasz Arabski.

Dzień wcześniej w Moskwie był minister Kremer. Znów spotkał się z Titowem. Sporą część rozmowy poświęcono na wizytę Lecha Kaczyńskiego. „Wyjaśniłem, że strona polska traktuje uroczystości 7 kwietnia w kontekście ich szczególnego symbolizmu z uwagi na zaproszenie wystosowane przez W. Putina do premiera RP, a uroczystości 10 kwietnia stanowią swoisty »zagraniczny« element obchodów 70. rocznicy zbrodni katyńskiej, wpisujący się w wieloletnią tradycję odwiedzania przez delegacje polskie Katynia". Władimir Titow o 10 kwietnia powiedział ponadto, że „prezydent D. Miedwiediew nie zamierza uczestniczyć w tych uroczystościach". W rządzie nie uznano za stosowne poinformować o tym głowy państwa. I tymi informacjami MSZ nie podzielił się z prezydentem.

1 kwietnia Jarosław Bratkiewicz sporządza notatkę na temat koncepcji wizyty premiera w Rosji. Czytamy w niej m.in.: „Spotkanie premierów Polski i Rosji w Katyniu ma charakter wydarzenia w pierwszej kolejności międzynarodowego, choć o istotnej recepcji zarówno wewnątrzpolskiej, jak i wewnątrzrosyjskiej. Z kolei wyjazd prezydenta L. Kaczyńskiego do Katynia należy uznać przede wszystkim za »zagraniczny komponent« wewnątrzkrajowych uroczystości upamiętniających 70. rocznicę zbrodni katyńskiej". Na siedmiu stronach dokumentu to jedyne zdanie na temat obecności pierwszego obywatela RP w Katyniu. Jest za to dużo o rosyjskim planie „sfinalizowania sprawy katyńskiej" i polskim: „spotkanie premierów RP i FR w Katyniu jako świadectwo, iż istnieje możliwość zbudowania kolejnego obok polsko-niemieckiego modelu przebaczenia i pojednania Polski z sąsiadami". Prezydent miał w tym nie przeszkadzać. Może dlatego pismo Bratkiewicza trafiło do 10 osób z rządu, w tym do doradców PR-owych Donalda Tuska. Pałac Prezydencki ominęło.

Ten sam Bratkiewicz dwa dni po tragedii smoleńskiej sporządza dla Sikorskiego notatkę „w sprawie możliwości intensyfikacji stosunków polsko-rosyjskich". Zaczyna ją nikczemnym zdaniem: „Spotkanie premierów Polski i Rosji 7 kwietnia w Katyniu oraz tragiczna śmierć polskiej delegacji w katastrofie lotniczej w Smoleńsku 10 kwietnia br. stworzyły szczególny klimat w relacjach dwustronnych, wydatnie poszerzający przestrzeń dialogu, współpracy i pojednania". I tak też kończy: „Wyraźnie poszerzona przestrzeń życzliwości i pojednania polsko-rosyjskiego wymaga odpowiedniego jej »zagospodarowania« w postaci działań jednostkowych i instytucjonalnych".

Dokument akceptuje swoim podpisem Radosław Sikorski. Nie zgłasza żadnych uwag. Zaznaczmy, że nie odnaleziono jeszcze wówczas wszystkich ciał ofiar katastrofy, jako jedną z podstawowych przyczyn tragedii rozważano zamach, wiedziano, że Rosjanie kluczą w sprawie dowodów i nie dopuszczają strony polskiej do niezależnej pracy na miejscu zdarzenia. A polski rząd chciał „zagospodarować" rosyjską „życzliwość" i już spekulował o potrzebie „regularnych konsultacji międzyrządowych pod przewodnictwem premierów", „ugodowym załatwieniu pozwów obywateli polskich do TPCz w Strasburgu", ale też o „nowym formacie dialogu i współpracy: Polska – Rosja – Niemcy".

## BÓL TUSKA

Uniemożliwianie prezydentowi odbycia wizyty w Katyniu w 70. rocznicę ludobójstwa NKWD na polskich oficerach (a gdy okazało się to niemożliwe – umniejszanie jej rangi), spiskowanie z ludźmi Putina przeciw Lechowi Kaczyńskiemu, zatajanie przed nim przebiegu rozmów z Rosjanami, ukrywanie przed przywódcami innych państw pism od prezydenta, który prosił, by pilnie je przekazać. Przywódca polskiego państwa zdawał się dla ówczesnego premiera i szefa dyplomacji wrogiem, Putin zaś chyba kimś więcej niż politycznym partnerem.

Dziś mamy pełną wiedzę o tym, jak systemowo Tusk z Sikorskim marginalizowali i okłamywali prezydenta, jak podważali jego politykę obrony polskiej suwerenności, jak wystawiali sojuszników na pożarcie Putinowi (zarówno w sprawie Ukrainy, jak i Gruzji prezydent widział zagrożenia, głośno o nich mówił, a jego przewidywania szybko się potwierdziły). W obliczu tej strategii jeszcze bardziej fałszywą nutą dźwięczą słowa wpisane ręką Tuska do księgi kondolencyjnej wystawionej w Pałacu Prezydenckim po 10 kwietnia 2010 r.: „Polska będzie Was pamiętała na wieki. A w naszych sercach czuć będziemy ból, jak zawsze gdy tracimy najbliższych".

Być może nigdy się nie dowiemy, co najbardziej bolało Tuska, gdy stał nad ciałem Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku. Czy naszły go wtedy refleksje w związku z polityką rządu wymierzoną przeciw prezydentowi w poprzednich latach? Nawet jeśli tak, nigdy ich nie okazał.

A może w premierowskiej głowie łopotały słowa prof. Zdzisława Krasnodębskiego. Cztery dni później stały się one tytułem przejmująco gorzkiego artykułu opublikowanego w „Rzeczpospolitej": „Już nie przeszkadza".



eprasa.pl a752d979dc

# Konserwatyści patrzą na Wschód



*Czasem kwestionują, że to jest najprawdziwsza, krwawa wojna, innym razem w ofierze rosyjskiej napaści widzą amerykańską marionetkę, która sama sobie jest winna. A sami stawiają się w roli nonkonformistów, realistów, którzy dziwią się Ukrainie, że nie chce się poddać. Czy mowa o wydawcach jakiejś kremlowskiej broszurki? Nie, to redakcja tygodnika „Do Rzeczy”*



**JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI**

Żeby zrozumieć prorosyjski kurs znakomitego niegdyś tygodnika, trzeba znać kilka prostych zasad funkcjonowania sprzymierzeńców interesów Kremla. Pierwsza to taka, że cele Moskwy realizuje się zawsze rykoszetem, nigdy wprost. Podczas podróży po przedwojennym Związku Sowieckim zauważył to Mieczysław Lepecki, bo propaganda nie uderzała wbrew pozorom w Cerkiew bezpośrednio, ale właśnie z rzekomej troski o inne sprawy. A to dzwony płoszyły krowy, a to złoto z ołtarzy było potrzebne, by powstrzymać głód (specjalnie zresztą wywołany przez komunistów), słowem: w całej tej trosce o najrozmaitsze sprawy na końcu punkty zyskuje Kreml.

Drugą cechą jest pozorny obiektywizm, jakaś święta racja prorosyjskiego komentatora. Dziennikarza „Le Monde” Michela Legris irytowało to w jego redakcji, gdzie pod płaszczykiem cnót humanitaryzmu czy pokoju *de facto* ciągle broniono komunistów w czasie zimnej wojny. „Pozorny obiektywizm stara się potajemnie kształtować świadomość czytelników” – pisał żurnalista po odejściu z czasopisma.

Trzecia cecha to asymetria opisywania Rosji i jej przeciwników. Vladimir Volkoff wyjaśniał to w swoich pracach, nawet w powieści „Montaż”. Pisz przeciw Rosji, ale tak, by jej wrogom oberwało się bardziej. W „Do Rzeczy” już na pierwszy rzut oka widać to ostatnie.

Ukraina występuje tam nieustannie jako czarny charakter, a Rosja w ogóle rzadko jest wspominana jako agresor, ludobójca, sprawca krzywd i łamania prawa międzynarodowego. Znawca Rosji Maciej Pieczyński, który napisał niejedną analizę o imperium, rzadko opisuje tę stronę wojny. Prigożina? Jego bunt? Dzieje Krymu? Czemu nie? Ale że Rosjanie mordują, rabują i gwałcą, to jakoś w „Do Rzeczy” mieści się z trudem.

Lech Mażewski (nr 28/535) przejmuje się nawet polską „chorobą na Moskala”, polską rusofobią. Ta ostatnia to obowiązkowy przekaz „Russia Today”, ale Mażewskiemu zdarza się jeszcze komunistyczny wtręcik: „Mamy do czynienia z kolejnymi przejawami dobrze znanej rusofobii, która spotyka się z pozytywnym przyjęciem patriotycznie usposobionych mas”. „Patriotycznie usposobione masy”? Bardziej to pasuje do „Barw walki” Mieczysława Moczara niż do konserwatywnego periodyku.

Za to Ukraińcy to nacjonaliści, a po 2014 r. przeszli pod „protektorat amerykański” (Lisicki, nr 25/532) – dokładnie o tym mówi Putin w uzasadnieniach „specoperacji”. I papież Franciszek, wspominając o „szczekaniu NATO”.

Fot. KIRSANOV YURY / Shutterstock.



eprasa.pl a752d979dc

Łukasz Zboralski (22/529) martwi się uranem na Ukrainie – ale zabawne, że martwi się tym w maju, tuż po tym jak rosyjska dezinformacja, np. agencja prasowa TASS, straszyła detonacją zakładu składowania zużytego paliwa jądrowego.

Redakcję „Do Rzeczy" też martwił radioaktywny uran. W tym samym numerze Lisicki dziwił się, że eksperci Zachodu są skoncentrowani na pokonaniu Rosji w tym konflikcie. Faktycznie jako naczelny jest skoncentrowany na przejawach rusofobii i ukrainofilii Polaków, ale z tygodnika, którym kieruje, czytelnik nie dowie się, co naprawdę dzieje się na Ukrainie. Redakcja nie miała korespondencji z Ukrainy ani też analityków, którzy przedstawialiby skutki tej wojny. Stąd też takie dyletanckie komentarze jak ten Łukasza Warzechy (w tym samym numerze), który alarmistycznym tonem opisywał zajęcie przez Rosjan miasteczka w Donbasie: „Bachmut jest istotnym punktem na linii frontu. Za nim leżą dwa istotne ukraińskie miasta: Słowiańsk i Kramatorsk". Tymczasem Bachmut już od dawna jest kupą gruzów, za którą Ukraińcy mocno się okopali – widać to dzisiaj, gdy Rosjanie nie są w stanie postąpić ani kroku dalej po zajęciu ruin, więc straszenie upadkiem Bachmutu było... oj, znowu zapewne przypadkowo, zgodne z rosyjską narracją? W innym miejscu (4/511) redaktor Warzecha martwił się nawet, że Ukraina mogłaby wstąpić do NATO, choć z innych powodów niż Putin. Dla Władimira Władimirowicza to problem dla Rosji, a dla Łukasza Jarosławowicza – problem (rzekomo) dla Polski. Przyjęcie ich uzasadnień daje jednak ten sam skutek – Ukrainę w rękach Putina.

W maju br. „Do Rzeczy" śmiało grywało dla Rosji. W numerze 20/527 ukazał się tekst godny „Gazety Wyborczej" z czasów „Resetu". Mariusz Dzierżawski oburzał się w nim, że Ukraina nie chce... oddać Rosji ziem tak jak Finlandia w 1940 r. Kim jest Dzierżawski, że w obliczu rosyjskiego ludobójstwa w Buczy czy Iziumie życzy sobie odstąpienia najeźdźcy nie jego przecież terytoriów? To znany działacz pro-life, zresztą w tej dziedzinie szczerze zasłużony, ale dlaczego ma występować jako ekspert od Europy Wschodniej? Tego z pisma się nie dowiemy.

Już tylko wisienką na torcie jest wideorozmowa naczelnego pisma z Wojciechem Cejrowskim, w którym znany podróżnik drwi, że wizyta premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona w Kijowie to jakiś teatr, bo przecież gdyby trwały tam rosyjskie ostrzały, toby do niej nie doszło. Znowu pokutuje brak korespondencji z Ukrainy, ale swoją drogą to dziwne, że facet, co przeszedł „boso przez świat", nie może pojechać kilkanaście kilometrów za Przemyśl, prawda?

Oczywiście każdy z tych tekstów jest w jakimś sensie do obrony – bo ktoś faktycznie może wierzyć w rusofobię Polaków, ktoś inny nie wierzyć w okrucieństwa rosyjskiej inwazji, jeszcze ktoś inny może chcieć, by Ukraina przegrała i oddała Putinowi Donbas i Krym. Ale gdy się zbierze te teksty do kupy, a potem znajdzie te rosyjskie sformułowanie albo skorelowanie tematyki w czasie (tak jak straszak promieniowania), to trudno się dziwić Markowi Budziszowi, który w debacie z Pawłem Lisickim nazwał „Do Rzeczy" wprost pismem prorosyjskim.

I nie chodzi tu o agenturalne korzenie. Pismo ewidentnie postawiło na Konfederację – dość wspomnieć, że w ostatnim kwartale pojawiły się tam dwa duże czołobitne wywiady ze Sławomirem Mentzenem, dodatkowo troska o losy Janusza Korwin-Mikkego, oczywiście bez wypominania mu skandalicznego negacjonizmu zbrodni rosyjskich na Ukrainie.

Tygodnikowe rozważania o tym, czy jest to „nasza wojna", z tak postawionym zagadnieniem i sformułowaniem przypominają działalność „ruchu antywojennego" doktora Leszka Sykulskiego, który wprost przyznaje się do prorosyjskości i chwali się po roku konfliktu wizytami w rosyjskiej ambasadzie. I też pyta, choć on akurat retorycznie, czy to „nasza wojna".

Rzecz jasna w piśmie jest wiele głosów rozsądku: Piotr Semka czy Rafał Ziemkiewicz piszą wprost, że gdyby Zachód konsekwentnie pomagał Kijowowi, to Rosja już by tę wojnę przegrała, ale całość pisma prezentuje bardziej ten nurt konserwatyzmu, który raczej odpuszcza grzechy wschodniemu imperium – choćby przez ich pomijanie.

Oczywiście prorosyjskość jest tutaj „rykoszetowa" i „pozornie obiektywna". Autorzy przecież martwią się tylko o „nacjonalizm ukraiński" czy o „pamięć Wołynia", którą sam Lisicki nazwał tak tajną i zabronioną jak pamięć o Katyniu w PRL. To oczywiste brednie

Oczywiście prorosyjskość jest tutaj „rykoszetowa" i „pozornie obiektywna". Autorzy przecież martwią się tylko o „nacjonalizm ukraiński" czy o „pamięć Wołynia", którą sam Lisicki nazwał tak tajną i zabronioną jak pamięć o Katyniu w PRL. To oczywiste brednie – przed 1989 r. można było wylecieć z pracy za upamiętnianie mordu na polskich oficerach, dziś krzyże na Wołyniu stawiają władze RP. Że za mało – owszem, ale nie nazywajmy tego tematem zakazanym.

W tym kontekście czysto kabaretowo wygląda wzmożenie tygodnika przeciwko pomysłowi powołania komisji ds. badania rosyjskich wpływów. Grzmiał przeciwko temu Łukasz Jarosławowicz, a także przeprowadzono wywiad z Anną Siarkowską, która będąc w Zjednoczonej Prawicy, wstrzymała się w przeciwieństwie do reszty klubu od głosu w tej sprawie. Miesiąc później Siarkowska znajduje się już w ramionach Konfederacji z jej prorosyjskimi kandydatami na listach wyborczych. Znowu przypadek?

W tygodniku „Sieci" nie mamy co narzekać na ten zwrot „Do Rzeczy". Czytelnik, który jednak woli zwycięstwo Ukrainy niż Rosji w tej wojnie, sięgnie raczej po nasz tygodnik, bo wierzymy, że polska racja stanu wymaga klęski imperium. Tylko żal konserwatyzmu, że się rozmienia na drobne w obliczu rosyjskiego ludobójstwa.



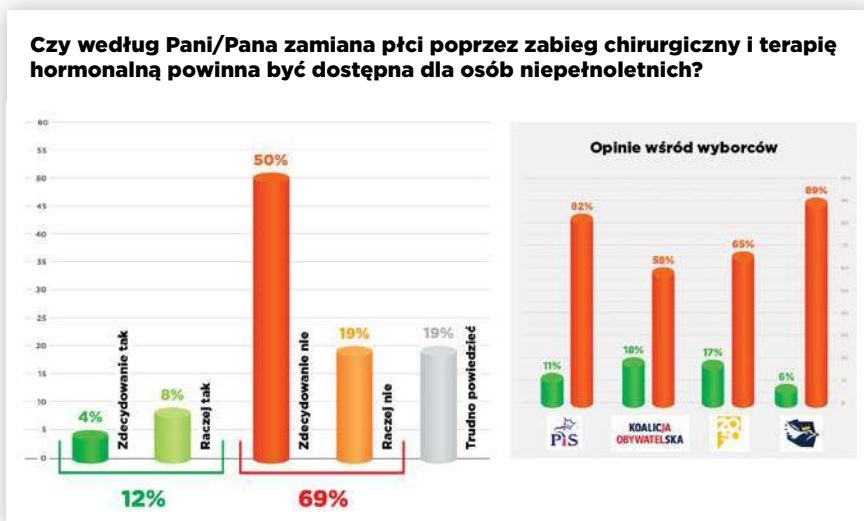
eprasa.pl a752d979dc

# Chrońmy nasze dzieci

*Blisko 70 proc. Polaków opowiada się za wprowadzeniem zakazu dokonywania zmiany płci u dzieci i młodzieży. Instytut Ordo Iuris przedstawił projekt ustawy wprowadzającej zakaz przeprowadzania i penalizację takich procedur*



DARIUSZ MATUSZAK




Źródło: **Social Changes**

Seksuolog prof. Lew Starowicz już bije na alarm. Według niego Polskę czeka fala detranzycji, czyli prób powrotu osób, które zmieniły płeć do tej pierwotnej, biologicznej, prawdziwej. Jesteśmy wciąż na etapie entuzjazmu wobec idei zmieniania płci, podczas gdy Zachód zaczyna mierzyć się z koszmarnymi konsekwencjami tej mody. Lekarz mówi o swoich pacjentach, którzy w młodości zaufali terapeutom i teraz przeżywają koszmar. Na czym on polega, pisze też na swym blogu „To tylko teoria" Łukasz Sakowski, który ujawnił, że jako nastolatek dał się zwieść i postanowił zostać dziewczyną. Po latach przeszedł detranzycję, ale z konsekwencjami próby zmiany płci będzie się zmagał całe życie. „[...] robię coming out. Jestem po cofnięciu zmiany płci, czyli po detranyzcji. Gdy miałem 13 lat, zostałem zmanipulowany przez ok. 40-letniego wówczas transseksualistę, który wmówił mi, że bycie gejem jest złe, nakłonił mnie do utożsamiania się jako osoba transseksualna (»transkobieta«), a następnie dawał mi, od 14. roku życia, blokery dojrzewania i żeńskie hormony. Tuż przed 18. rokiem życia trafiłem do psycholożki i psychiatry, a zaraz po 18 także do seksuolożki, które sfabrykowały mi diagnozę transseksualizmu – każda z nich zrobiła to podczas jednej lub po jednej krótkiej wizycie [...] i skierowały na zmianę płci [...]. Na skutek zażywania leków do zmiany płci już jako 18-latek miałem depresję, problemy z wątrobą i zaawansowaną osteoporozę. W wieku 22 lat wróciłem do swojej prawdziwej, męskiej płci".

Opis tego, co przeszedł, próbując zmienić płeć (termin stosujemy umownie, bo płci nie da się zmienić), manipulacji, konsekwencji dla zdrowia, jest wstrząsający, a przecież pan Łukasz miał szczęście, że mimo kilku terminów nie zdecydował się na najbardziej radykalny zabieg – kastracji i skonstruowania mu niby żeńskich narządów płciowych. By wrócić do swojej biologicznej płci przeszedł operacje (m.in. amputacji piersi), a na pamiątkę tranzycji na zawsze pozostaną mu blizny, kobieca budowa kości i problemy ze zdrowiem.

Ideologia genderowa i LGBT+, tak bardzo propagujące zmienianie płci, mają dewastujący wpływ na życie społeczne, rodzinne, niszczą normy wspólnotowe i kulturę. W wymiarze indywidualnym możemy machnąć ręką i powiedzieć sobie: „Niech Rachel Levine, stary chłop, lekarz psychiatra, w wieku ponad 50 lat przerabia się, na co chce, nosi kiecki, buty na obcasie i maluje jak zniszczona sex workerka czy kto tam inny. Może nawet w nagrodę za osiągnięcia w dziedzinie postępu i tolerancji zostać wicesekretarzem czy wicesekretarką (wiceministrem) zdrowia w rządzie USA".

Co innego jednak, kiedy eksperymentów dokonuje się na dzieciach. Z badań pracowni Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl wynika, że aż 69 proc. Polaków jest za zakazem zmieniania płci u dzieci. Możliwość tranzycji u dzieci i młodzieży poparło 12 proc.

## LEPSZA ŻYWA CÓRKA NIŻ MARTWY SYN

Okazuje się jednak, że dzieci w Polsce są właściwie bezbronne wobec ludzi, którzy dopuszczają się procederów zmieniania im płci. By poddać się zabiegom, wystarczy spełnienie dwóch przesłanek: zgoda dziecka/rodziców, a procedura ma być przeprowadzana wedle stanu wiedzy medycz-



eprasa.pl a752d979dc

nej, co niewiele znaczy. Uznajemy więc, że małolat, któremu nie wolno sprzedać alkoholu i papierosów, brać ślubu, może być faszerowany chemią blokującą dojrzewanie i wysłany pod nóż, by wycięto mu jedne organy i zmajstrowano inne.

Lukę w prawie dostrzegł Instytut Ordo Iuris, który proponuje nowelizację ustawy o zawodach lekarza i dentysty oraz wprowadzenie zakazu zmiany płci u małoletnich. Zakaz obejmowałby zabiegi chirurgiczne i podawanie „preparatów hamujących czynność hormonalną gruczołów płciowych w celu przygotowania ich do zabiegu operacyjnego lub podjęcia innych działań medycznych zmierzających do uzyskania cech płciowych typowych dla płci przeciwnej" – proponuje instytut w nowelizacji ustawy. Ci, którzy dopuszczaliby się takich procedur, podlegaliby karze pozbawienia wolności do lat trzech.

Dobrze, że zaproponowano penalizację nikczemnych praktyk, ale Ordo Iuris jest zbyt wyrozumiały. Kary powinny być wyższe, bo możemy mieć do czynienia ze zbrodnią pedofilii i trwałego okaleczania dzieci. Propozycja nie uwzględnia przypadków takich jak pana Łukasza, zmanipulowanego przez 40-letniego transseksualistę, który powinien być potraktowany jak pedofil uwodzący dziecko. Karze powinny podlegać też owe panie psycholog, psychiatra, seksuolog, które po jednej wizycie zdiagnozowały problemy Sakowskiego, a zwłaszcza ta, która namawiała go do oszustw, by sąd wyraził zgodę na tranzycję. Podobnie ci, którzy stosują szantaż emocjonalny wobec rodziców, by zgodzili się na zmianę płci u dziecka.

Jak to działa, opowiedział w stacji Fox News chłopiec o pseudonimie Kobe, którego w wieku 13 lat aktywiści genderowi namówili, by groził, że popełnieni samobójstwo, jeśli nie dostanie zgody na chemiczną procedurę rozpoczynającą zmianę płci. Tę samą taktykę opisuje Łukasz Stawski. „Lepsza żywa córka, niż martwy syn", „Tranzycja czy pogrzeb?" – słyszą rodzice.

Ordo Iuris pisze o zmanipulowanych danych jednej z największych organizacji LGBT+ – Stonewall, która wmawia, że połowa dzieci z dysforią płciową próbowała popełnić samobójstwo. „W rzeczywistości, prawdopodobieństwo popełnienia samobójstwa rośnie nie tyle na skutek odmowy tranzycji, ile po przejściu tranzycji" – podaje Ordo Iuris, powołując się m.in. na badania szwedzkiego Karolinska Institutet. Okazuje się, że w ciągu 30 lat odsetek samobójstw wśród tych, którzy zmienili płeć, jest aż 19 razy większy od odsetka w całej populacji.

## WYWIAD Z POTWOREM

Najbardziej przerażające jest to, co spotyka dzieci, na których przeprowadzono chirurgiczne eksperymenty zmiany płci. Z bezwstydną szczerością opowiedział o tym w wyemitowanym w mediach społecznościowych wywiadzie Blair Peters ze szpitala w Oregon. Dr Frankenstein – taki pseudonim nadali mu internauci – mówi o tym, jak kastruje dzieci i że nie ma pojęcia, jakie są tego skutki (oprócz tych oczywistych). Może będą znane za 10 lat, jak więcej dzieci trafi pod jego nóż. Peters opowiada, że trudną sprawą jest uzyskanie od dziecka, które jest przed dojrzewaniem, zgody na zahamowanie rozwoju płciowego. Nie wiadomo też, czy będzie w przyszłości dokonywana „przeróbka narządów". A jeśli tak, to jak będą one funkcjonowały u kogoś, kto przed zabiegami „nie był zaangażowany w aktywność płciową" – mówi Peters.

> Okazuje się, że dzieci w Polsce są właściwie bezbronne wobec ludzi, którzy dopuszczają się procederów zmieniania im płci. By poddać się zabiegom, wystarczy spełnienie dwóch przesłanek: zgoda dziecka/rodziców, a procedura ma być przeprowadzana wedle stanu wiedzy medycznej, co niewiele znaczy

Przy tranzytowaniu z chłopca na dziewczynkę oprawcy nie mają dość tkanki, by zbudować żeńskie narządy i muszą przeszczepiać skórę z innych miejsc. Dr Frankenstein przyznaje, że dochodzi do uszkodzenia odbytu, trudności z potrzebami fizjologicznymi, a organizm chłopców odrzuca nowe, niby-żeńskie narządy płciowe. Traktuje je jak ranę, która musi się zabliźnić, zarosnąć tkanką, więc do końca życia trzeba je mechanicznie, chirurgicznie poszerzać.

W Wielkiej Brytanii trwa śledztwo dotyczące zamkniętej w ub.r. kliniki, a właściwie rzeźni Tavistock, w której makabrycznym zabiegom poddano tysiące dzieci. Sprawę opisuje w swej książce „Time to Think. The Inside Story of the Collapse of the Tavistock Gender Service for Children" dziennikarka BBC Hannah Barnes. „Cała struktura stała się tak zaburzona i histeryczna jak ludzie na jej czele. Pracownicy widzieli coraz bardziej, że klinika została twierdzą, w której okalecza się zagubione dzieci, i bastionem propagowania ideologii transgenderowej przez kierownictwo kliniki" – pisze dziennikarka.

Makabryczne zabiegi są przykryte obłudnym językiem, który ma towarzyszyć opiece, miłości, radości. Okaleczenie na całe życie, bezpłodność, ból, cierpienie – opisy tego, co przechodzą dzieciaki po zmianie płci, mrożą krew w żyłach. Wszytko to dla obietnicy spokoju i niby-skorygowania płci tak, by zgadzała się z wyobrażeniem o tym, jak to jest mieć poprawione chłopięce, dziewczęce, a może nijakie – niebinarne jakieś ciało.

Niezależnie od tego, że istnieje jakiś promil osób cierpiących na dysforię płciową, którym trzeba pomóc, to mamy do czynienia z promocją chorej, niebezpiecznej mody, stylu życia. Z ludźmi gotowymi wysyłać dzieciaki pod nóż, faszerować je specyfikami hamującymi hormony płciowe, rujnować ich zdrowie fizyczne i psychiczne.

W Polsce możemy jeszcze uniknąć tragedii pod warunkiem, że nie przestraszymy się nagonki szaleńców od postępu i ideologii LGBT+, bezmyślnym mediom, durniom bezkrytycznie importującym z Zachodu każdą modę i tandetę intelektualną. Przepisy chroniące dzieci wprowadzono już w Szwecji, Finlandii, Wielkiej Brytanii, 18 stanach USA. Czas na podobne w Polsce.



eprasa.pl a752d979dc

# V Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów oraz liderów administracji i biznesu

V edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

## JAK TWORZYĆ I UTRZYMAĆ DOBRE WARUNKI ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POLSKI I EUROPY?

PATRONAT HONOROWY: Ministerstwo Finansów; Ministerstwo Infrastruktury; Minister Klimatu i Środowiska; Ministerstwo Rozwoju i Technologii

PARTNERZY STRATEGICZNI: BAT Poland; Bolt; Hasco-Lek Polska; Philip Morris Polska; Uber

PARTNERZY GŁÓWNI: allegro; amazon; Coca-Cola; JTI

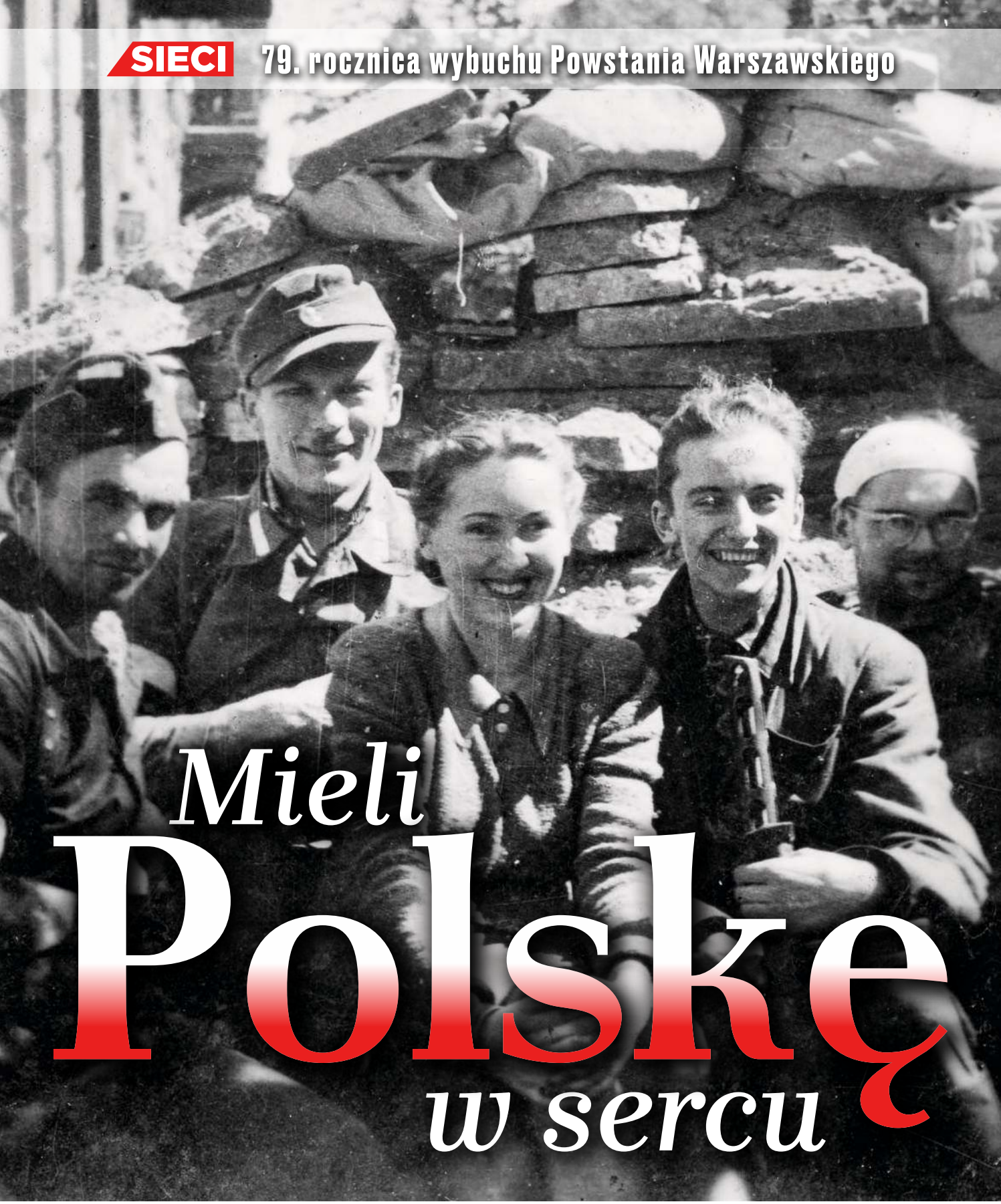
PARTNERZY WSPIERAJĄCY: budimex; emitel; Krajowa Grupa Spożywcza; Lidl; PORR; Smithfield Polska; Strabag Work on Progress; Tetra Pak Chroni to, co dobre; Tomra; Velux

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

Gazeta Bankowa; Sieci; wPolityce.pl; W Polsce PL; wGospodarce.pl

Reklama | 39/07/23/F

eprasa.pl a752d979dc



# Mieli Polskę w sercu

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY DODATKU

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

LINK 4

LOTTO

ORLEN

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl a752d979dc



Powstańcy poszli do powstania z powodów moralnych, nie zgadzali się na totalitarne zło, z którym konfrontowali się na ulicach swojego miasta codziennie przez pięć lat. Warszawa została zniszczona, ale przecież ona ocalała w sercach tych ludzi

# Mieli siebie, miłość, charakter i Polskę w sercu

*Z Janem Ołdakowskim, dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego, rozmawia Marcin Wikło*

***Powstanie Warszawskie nie było samobójczym zrywem, tylko zaplanowaną walką, która zakładała wyzwolenie Polski. Ile z tego planu udało się zrealizować, ile wolności uzyskali Polacy w ciągu tych 63 dni?***

**Jan Ołdakowski:** Bardzo trudno obiektywnie to ocenić, bo tragicznym paradoksem Powstania Warszawskiego było to, że zakończyło się ono militarną klęską. Co więcej, nie bezpośrednio, ale przecież sprowokowało ono Hitlera do tego, że w szale wściekłości – a wpadał w nie często – wydał rozkaz doszczętnego zniszczenia miasta i zabicia jego mieszkańców. Dlatego też nie można mówić o spełnieniu politycznych czy wojskowych założeń.

***A w mniejszej skali? Patrząc na plakat tegorocznych obchodów 79. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, widzimy młodych ludzi biorących ślub. Czy to miała być namiastka wolności, której tak wszystkim brakowało?***

Powstańcy poszli do powstania z powodów moralnych, nie zgadzali się na totalitarne zło, z którym konfrontowali się na ulicach swojego miasta codziennie przez pięć lat. Warszawa została zniszczona, ale przecież ona ocalała w sercach tych ludzi. Powstańcza fotografia, która nas w br. zainspirowała, przedstawia parę młodą – zakochani podjęli decyzję o ślubie raptem dzień wcześniej. Bo czasy niepewne, a oni się kochali, więc nie ma co czekać. Mundur był pożyczony, a jako obrączki posłużyły im kółka do zawieszania zasłon, koledzy pomogli w dostosowaniu rozmiarów. Ci powstańczy małżonkowie przeżyli z sobą 75 lat. Byliśmy u nich w Stanach Zjednoczonych wraz z Dariuszem Gawinem, moim zastępcą. To było cudowne spotkanie. Oni po latach wciąż patrzyli na siebie tak jak na jednej z fotografii. To jest więc opowieść o tym, że w wyniku powstania zniszczono miasto, Polska też nie mogła przetrwać, bo taki był wyrok historii, ale przetrwali ci wspaniali ludzie. Nie zabrali z sobą żadnych rzeczy, ale mieli siebie, swoją miłość, swój charakter i Polskę w sercu. To było zwycięstwo.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl a752d979dc

***Ta tragedia miasta powoduje, że często w tym miejscu zamyka się jakakolwiek dalsza dyskusja na temat powstania?***

Jeśli tak, to niesłusznie, bo to wówczas zaczęła się długa droga do polskiej wolności. W sensie społecznym Powstanie Warszawskie dało przecież Polsce energię, na której wyrosła Solidarność. Dzięki historii walczącej Warszawy wiedziano, że nie da się siłą pokonać totalitarnego reżimu, bo w takiej konfrontacji ludzie zawsze będą fizycznie słabsi. Nie znaczyło to jednak, że zwycięstwo nie było możliwe. Trzeba było znaleźć metodę bez użycia siły. Solidarność nie miała oddziałów bojowych, nie budowała struktur zbrojnych, może poza Solidarnością Walczącą. Nieliczne grupy oporu były raczej nastawione na dezintegrację sił przeciwnika, działania propagandowe, a nie na militarną konfrontację. A jednak Solidarność korzystała z doświadczeń Armii Krajowej, choćby w symbolice. Na murach pojawiły się znów kotwice Polski Walczącej, ten mit był wciąż silny i budujący.

***Ale gdy już przyszła tzw. wolna Polska, mit powstania gdzieś się przez chwilę zagubił...***

Tak, bo w latach 90. XX w. pojawiła się Polska, która nie chciała niczego pamiętać, chciała – jak głosili postkomuniści – wybrać przyszłość, a więc odrzucić przeszłość. Symbolem tych czasów jest prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego. Ale przez te 10 lat, w kontrze do tego postkomunizmu, za którego fasadą twardzi goście robili twardą politykę i nie mniej twarde interesy, powstała formacja, która zapowiadała odnowę. Jej częścią był program prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, który chciał oddać hołd Powstańcom Warszawskim jako przedstawicielom pokolenia Armii Krajowej.

***Lech Kaczyński świadomie wrócił do mitu Powstania Warszawskiego?***

Tak, ale nie tylko „wybrał przeszłość", lecz także mówił, że bez zamknięcia przeszłości nie da się budować przyszłości. Wielokrotnie górnolotnie podkreślał, że jego pokolenie ma dług wobec powstańców, a do tego uważał, że brak docenienia uczestników walk z 1944 r. to jest po prostu niezałatwiona sprawa. Wtedy zrodził się ten społeczny fenomen, który trwa do dzisiaj. To się dzieje niezależnie od tego, nad czym debatują historycy czy krytycy powstania dysponujący współczesną wiedzą i patrzący z dzisiejszej perspektywy na niektóre dokumenty lub strategie. Godzina W to jest moment szczególny dla milionów osób, które nie chcą się bawić w rozważania, czy powstanie miało sens albo czy nie powinniśmy byli dogadać się z Niemcami.




***Co jeszcze dało nam, Polakom żyjącym wiele lat po wojnie, Powstanie Warszawskie?***

Dało nam przede wszystkim powstańców. Niesamowitą grupę społeczną, która tworzyła nadzwyczajne i kierujące się własnymi zasadami pokolenie. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że oni budowali sieć społeczeństwa obywatelskiego. To są ludzie, którzy wymagają od siebie bardzo dużo. I są cały czas czynni oraz zaangażowani w sprawy społeczne, wciąż pomagają sobie nawzajem. Kontakt z innymi ludźmi i wzajemna troska – to na pewno ich wyróżniało i wyróżnia. To jest przecież solidarność w praktyce. W tej szarej, wstrętnej komunie byli jak latarnie morskie, jak drogowskazy. Uczyli młodych ludzi zaangażowania i bycia z sobą. Myślę, że i dzisiaj to jest wspaniały wzór dla młodych, którym niesłychanie ciężko jest wyjść z zamknięcia po pandemii. To wciąż aktualny problem, doskwierający wielu osobom.

***Wrócę do plakatu tegorocznych obchodów. Na ile ta tematyka, już nie stricte wojenna, związana z walką, ale ze zwykłym życiem w tym tragicznym czasie, jest sposobem na opowiedzenie tej historii następnym pokoleniom?***

Dopóki żyją powstańcy, są najważniejszymi adresatami wszystkich naszych działań. Drugą grupą docelową mają być dzisiejsi rówieśnicy ówczesnych powstańców. Dwudziestolatkowie – badamy ich, staramy się zrozumieć, przyciągnąć. Zastanawiamy się nad tym, na ile są zainteresowani historią i jak im opowiadać o powstaniu. I w jakiej kondycji są po pandemii, a są bardzo poranieni i rozczarowani. Jak z tego wyjść? My im sugerujemy, że powinni naśladować powstańców, którzy doświadczyli okropności wojny, każdy z nich widział śmierć, a jednak jest w nich tyle miłości, przyjaźni, chęci współpracy, dzielenia się. Trzeba przezwyciężyć niechęć przed wyjściem z domu i zbudować prawdziwe relacje z innymi ludźmi, nie tylko przez media społecznościowe. Taka postawa może przynieść zysk zarówno Polsce, jak i im samym.

***Z badań wynika, że największą wartością dla tej grupy młodych ludzi jest miłość, wskazuje to blisko 65 proc. ankietowanych. Ale czy oni rozumieją ją tak samo jak ich rówieśnicy w 1944 r.?***

No właśnie nie. Bardzo się cieszymy, że miłość jako uczucie jest taka ważna, ale młodzież bardziej jej oczekuje, niż



eprasa.pl a752d979dc

jest skłonna ją dawać. Dlatego pokazujemy jako wzór pokolenie, które przeszło w życiu o wiele trudniejszą drogę, o wiele bardziej dotkliwą niż pandemiczna izolacja, a jednak udało mu się osiągnąć szczęście. W dużej mierze było to możliwe dzięki nawiązaniu przyjaźni, a żeby było to możliwe, najpierw należało wyzbyć się egoizmu. Na przekór ciężkim czasom założyli rodziny, kochali się, dzielili szczęściem. To im dało życiową kotwicę, tak ważną na niespokojnym morzu.

***Dzisiaj toczy się wojna, widzimy często bestialstwo Rosjan w stosunku do Ukraińców. Czy to, co dzieje się na Wschodzie, bardzo blisko nas, czyni rozmowę o Powstaniu Warszawskim bardziej poważną? U nas jest jednak spokojnie, kwitnąco, to może usypiać...***

Młodzi ludzie jeszcze niedawno w rozmowie o wojnie często używali argumentów pacyfistycznych, wojna na Ukrainie tę narrację zmieniła. Bo jak można mówić dzisiaj Ukraińcom, że powinni działać pokojowo? Oni mają wygrać, oni mają odbić zajęte tereny, oni mają pokonać totalitarną dyktaturę, która pokazała, że realizuje własną wizję świata tak samo konsekwentnie jak żołnierze Adolfa Hitlera w Warszawie.

***Jaka nauka dla Ukrainy dzisiaj mierzącej się z silniejszym wrogiem powinna wyniknąć z historii Warszawy 1944 r.?***

Gdy przychodzą do nas Ukraińcy, mówimy im, że muszą dokumentować rosyjskie zbrodnie. Bo to się szybko zaciera w pamięci, świat zapomni, zostaną podpisane jakieś umowy. Gdy Ukraińcy będą mieli w rejestrze każdego zabitego, każdy spalony kościół, każde zbombardowane muzeum, trudniej będzie powtórzyć historię Heinza Reinefartha, kata Woli, który po latach skarżył się, że jest uczciwym niemieckim urzędnikiem, a tu go ktoś nachodzi i chce wyjaśnień dawnych spraw z Polski. Powstanie Warszawskie usunięto z przedmiotu procesów norymberskich, a PRL nie pozwolił dokumentować tych zbrodni, bo należałoby pokazać walkę prowadzoną przez rząd RP na uchodźstwie. Poza zebraniem kilkudziesięciu relacji nie zrobiono nic, nikt nie wyszedł poza rytualne potępienie hitlerowców. I efekt jest taki, że nigdy żaden Niemiec nie odpowiedział w Polsce za zbrodnie popełnione w czasie Powstania Warszawskiego. Ukraińcy nie mogą pozwolić, by Rosjanom uszło płazem to, co dziś robią z ich miastami.



Fot. Andrzej Wiktor

Mottem Muzeum Powstania Warszawskiego są słowa wicepremiera polskiego rządu Jana Stanisława Jankowskiego wypowiedziane 1 września 1944 r.: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać". To o tym był Majdan i o tym jest heroiczna walka z rosyjskim najeźdźcą. Zachód oczywiście pomaga, ale to Ukraińcy walczą. I za to giną

***A w sferze społecznej jest jakaś nauka na przyszłość? Może nadzieja?***

Kilka miesięcy temu była u nas ukraińska pierwsza dama Ołena Zełenska. Pokazaliśmy jej film „Miasto ruin" – przelot nad spalonym miastem budzi oczywiste skojarzenia z Mariupolem. Rozmawialiśmy potem przed muzeum, w europejskim mieście, wśród rosnących wokół nowoczesnych wieżowców. Zagłada miasta nie musi oznaczać końca historii. Jeśli oni będą razem, to w nich przetrwa wolne państwo Ukraina, a budynki zawsze będzie można odbudować.

***Jeżeli na Powstaniu Warszawskim wyrosło wspaniałe pokolenie Solidarności, które dało Polsce wolność, to może po tej wojnie Ukraińcy w końcu będą mieli bohaterów, na których będzie można budować państwowość bez konfliktu z Polską?***

Mam wrażenie, że ten proces zaczął się nawet wcześniej, na Majdanie. Ukraińcy odrzucili wówczas coś, co niby nie było dyktaturą, ale wolnym państwem też nie. Zaczął się tworzyć mit oporu. Powstała potrzeba wolności. Polacy to rozumieli. Mottem Muzeum Powstania Warszawskiego są słowa wicepremiera polskiego rządu Jana Stanisława Jankowskiego wypowiedziane 1 września 1944 r.: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać". To o tym był Majdan i o tym jest heroiczna walka z rosyjskim najeźdźcą. Zachód oczywiście pomaga, ale to Ukraińcy walczą. I za to giną. Jeżeli Ukraina będzie miała takich bohaterów, to będzie nam łatwiej się porozumieć i utrzymać poczucie wspólnoty. Bo Polacy od dawna wiedzą, czym jest narzucany siłą rosyjski porządek, i rozumieją, dlaczego ktoś go odrzuca. Czasem za cenę krwi. My jesteśmy odważni i inne odważne narody zawsze wzbudzają w nas szacunek.

Reklama | 31/0723/F



eprasa.pl a752d979dc

ORLEN

# WAKACYJNA PROMOCJA

## WRACA DO GRY

**-40 gr/l z Kartą Dużej Rodziny**

**-30 gr/l**



## Miesięcznie aż 4 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY wraz z aktywowanym kuponem promocyjnym uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje LPG, nie łączy się z innymi programami rabatowymi oraz promocyjnymi i jest ograniczona czasowo. Regulamin promocji i lista stacji uczestniczących w promocji na vitay.pl/rabaty

POLSKA | ORLEN

SPONSOR GENERALNY REPREZENTACJI



Kuchnia żołnierska w budynku Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej, sierpień 1944 r.

# Przy takich dziewczynach nie można się było bać

*W momencie wybuchu Powstania Warszawskiego do akcji weszło ponad 7 tys. kobiet. W trakcie walk kolejne dołączały do powstańczej armii. Pełniły przede wszystkim służbę w szpitalach i punktach sanitarnych. Były też łączniczkami w oddziałach bojowych i działały w łączności kanałowej. Ale niektóre walczyły też z bronią w ręku*



KATARZYNA UTRACKA

Polki w obliczu zagrożenia militarnego od wieków chwytały za broń. Walczyły w powstaniach narodowych w XIX w. Ale wtedy to były raczej przypadki jednostkowe. Sytuacja uległa diametralnej zmianie na początku XX w. Wówczas kobiety coraz częściej i liczniej włączały się w prace różnych organizacji niepodległościowych, przygotowujących je do pracy w służbie medycznej, łączności i wywiadzie. Nowo nabyte umiejętności wykorzystały później na frontach I wojny światowej, służąc w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i Legionów Polskich. Chcąc walczyć z bronią w ręku, niektóre dołączały do oddziałów w męskim przebraniu. Tak było w przypadku chociażby Wandy Gertz

Zdjęcia: Zbiory MPW



eprasa.pl a752d979dc



Maria Wittek „Mira”, lata 20. XX w.

„Leny”, która ponad 20 lat później w ramach Kedywu – Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej – będzie organizować i dowodzić kobiecym oddziałem Dysk (Dywersja i Sabotaż Kobiet).

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości kobiety nie złożyły broni. W szeregach pierwszej polskiej kobiecej formacji wojskowej – Ochotniczej Legii Kobiet – stanęły do walki z bolszewikami. W tym czasie Polki uzyskały pełnię praw wyborczych (28 listopada 1918 r.) i włączały się w działalność we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Wprowadzenie w 1924 r. przez Sejm RP zakazu pełnienia służby wojskowej przez kobiety nie przerwało prac nad przygotowywaniem ich do udziału w działaniach wojennych. W ramach paramilitarnej Organizacji Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju trwało ich szkolenie. Naczelną komendantką organizacji, która w lutym 1939 r. zmieniła nazwę na Przysposobienie Wojskowe Kobiet, była Maria Wittek. To kolejna kobieta, która odegra ważną rolę w podziemnej armii.

## ZAPRAWIONE KONSPIRATORKI I ZWYKŁE KOBIETY

Dopiero jednak wybuch II wojny światowej spowodował, że udział kobiet w strukturach wojskowych stał się masowy. Polki, które przeszły szkolenie w dziedzinie obronności, we wrześniu 1939 r. niosły pomoc żołnierzom i ludności cywilnej: organizowały punkty sanitarne i żywnościowe, opiekowały się rannymi i dziećmi. Wiele z nich trafiło później do służby w podziemnej armii, stając się wzorem dla konspiratorek i dziewczyn z oddziałów powstańczej Warszawy. Przykładem takiej kobiety jest chociażby wspomniana już charyzmatyczna Maria Wittek „Mira”, która w konspiracji stanęła na czele Wojskowej Służby Kobiet. Podczas I wojny światowej należała do POW, w ramach której skończyła szkołę podoficerską. Studiowała jednocześnie matematykę na Uniwersytecie Kijowskim jako pierwsza kobieta na tym wydziale. Od 1919 r. służyła w odrodzonym Wojsku Polskim. Brała udział w obronie Lwowa w 1920 i 1939 r. Walczyła też w Powstaniu Warszawskim. W 1991 r. została nominowana jako pierwsza kobieta w polskiej historii na stopień generała brygady. Zmarła w 1997 r. w Warszawie.

Kolejną kobietą, która odegrała ważną rolę w podziemnej armii, była Janina Karasiówna „Bronka”, „Haka”. Przed wojną oprócz pracy w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego była instruktorką Polskiego Czerwonego Krzyża. Pod koniec września 1939 r. znalazła się w kilkunastoosobowej grupie założycieli konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski. Następnie pełniła najwyższe stanowisko w AK zajmowane przez kobietę – jako szefowa Wydziału V-K Komendy Głównej ZWZ-AK. Od 1940 r. aż do upadku powstania kierowała całą łącznością konspiracyjną AK. W Powstaniu Warszawskim wraz z Komendą Główną AK przeszła szlak bojowy od Woli, przez Stare Miasto, do Śródmieścia. Po wyzwoleniu z obozu jenieckiego pozostała na emigracji. W lipcu 1948 r. wyjechała do Indii, cztery miesiące później utonęła przy ujściu rzeki Adyar do Oceanu Indyjskiego.

Wśród konspiratorek znalazły się więc zaprawione w boju kobiety i społeczniczki – lekarki, nauczycielki i urzędniczki. Były też „zwykłe” kobiety – matki czy młode dziewczęta (uczennice, harcerki, studentki). To one w głównej mierze odpowiadały za organizowanie i funkcjonowanie lokali kontaktowych oraz skrzynek pocztowych, dzięki nim działała łączność kurierska i służba kancelaryjna. Niektóre produkowały materiały wybuchowe i dowodziły oddziałami, a jak trzeba było – chwytały za broń. „Przy takich dziewczynach nie można się było bać” – wspominał po latach koleżanki z oddziału Ryszard Bielański „Rom”, jeden z żołnierzy oddziału likwidacyjnego 993/W kontrwywiadu Komendy Głównej AK.

W związku z masowym udziałem kobiet w konspiracji stało się konieczne określenie ich statusu. W październiku 1941 r. komendant główny ZWZ-AK gen. Stefan Rowecki „Grot” uznał za żołnierzy kobiety pozostające w czynnej służbie wojskowej w warunkach konspiracyjnych. Kolejne kwestie regulował rozkaz dowódcy AK z lutego 1942 r., zgodnie z którym kobiety żołnierze otrzymały te same prawa i obowiązki co mężczyźni żołnierze, m.in. mogły zajmować stanowiska kierownicze w wojsku pod warunkiem, że posiadały stosowne kwalifikacje. W styczniu 1944 r. dowódca AK, gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, wydał rozkaz przewidujący udział kobiet w konspiracji i powstaniu włącznie z działaniami bojowymi.

## NA BARYKADACH POWSTAŃCZEJ WARSZAWY

W momencie wybuchu Powstania Warszawskiego do akcji weszło ponad 7 tys. kobiet z WSK. W trakcie walk kolejne kobiety dołączały do powstańczej armii. Pełniły przede wszystkim służbę w szpitalach i punktach sanitarnych. Były też łączniczkami w oddziałach bojowych i działały w łączności kanałowej. Prowadziły gospody żołnierskie i wykonywały pracę kancelaryjno-biurową. Brały również udział w ewakuacji zbiorów muzealnych. Inne gasiły pożary, budowały barykady, pracowały przy odkopywaniu ludzi spod gruzów, w kuchniach polowych, punktach opieki nad dziećmi, szwalniach, pralniach, przy wydawaniu i kolportażu prasy, a także przy przyjmowaniu zrzutów. Były też takie, które walczyły z bronią w ręku.

## DZIELNE MINERKI

W 1940 r. powstały kobiece patrole minerskie. Trzon oddziału stanowiły uczestniczki przedwojennego Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Dowodziła nimi dr med. Zofia Franio „Doktór”, instruktorka PWK. Minerki były podporządkowane Wydziałowi Saperów Komendy Głównej ZWZ-AK. W styczniu 1943 r. oddział wszedł w skład warszawskiego Kedywu z zadaniem produkcji, zaopatrzenia i transportu materiałów wybuchowych oraz środków walki. Minerki brały też udział w akcjach z bronią w ręku oraz w działaniach sabotażowych.

W trakcie powstania szły do akcji bez względu na swój przydział konspiracyjny. Uczestniczyły m.in. w zdobyciu gmachu PAST-y przy ul. Zielnej i nieistniejącej już dziś Poczty Głównej przy pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców



eprasa.pl a752d979dc

Warszawy). Nie zabrakło ich również podczas zdobycia Komendy Policji przy Krakowskim Przedmieściu.

Jedną z minerek była Helena Kwiatkowska „Pufka", „Rena". Kiedy w październiku 1940 r. wstąpiła do konspiracji, miała 25 lat. Trzy lata później kierowała już pracownią środków wybuchowych. Pracowała przy ich wytwarzaniu oraz testowała ich działanie. W czasie Powstania Warszawskiego przebywała w Śródmieściu, kontynuując swoją działalność z okresu konspiracji. 2 sierpnia 1944 r. w pracowni przy ul. Wilczej, w której produkowano miny, granaty i ładunki wybuchowe, wybuchł pożar, w którym „Rena" odniosła poważne obrażenia (straciła wzrok w jednym oku). Po dwóch dniach była już jednak z powrotem na posterunku. Mniej szczęścia miała jej koleżanka, kpr. Jadwiga Suchodolska „Monika", ciężko poparzona, zmarła kilka dni później. Za swoją odwagę Helena Kwiatkowska została odznaczona Krzyżem Walecznych. Przeżyła powstanie, zmarła w 1991 r. w Warszawie.



Helena Kwiatkowska „Pufka", „Rena" (1915–1991)

Oprócz wytwarzania materiałów wybuchowych „Rena" szyła małpki-skrytki do przenoszenia tajnych dokumentów. Jedna z takich maskotek-skrytek należała do szefa Kedywu Okręgu Warszawa AK ppor. Józefa Rybickiego „Andrzeja". Do dziś przechowuje ją jego córka Hanna Rybicka.

## KURIERKI, EMISARIUSZKI I WYWIADOWCZYNIE

Kobiety doskonale sprawdzały się jako kurierki, emisariuszki i wywiadowczynie. Niektóre z nich podróżowały po okupowanej Europie, przewożąc tajne dokumenty i pieniądze. Jedną z nich była Elżbieta Zawacka „Zo", jedyna kobieta w elitarnym gronie 316 cichociemnych. W lutym 1943 r. wyruszyła w najważniejszą misję swojego życia – jako emisariuszka gen. Stefana Roweckiego „Grota" przez Gibraltar dotarła do Londynu. Celem wyprawy było oprócz usprawnienia łączności między Warszawą a Sztabem Naczelnego Wodza uregulowanie statusu kobiet w wojsku. Do Polski wróciła, skacząc ze spadochronem. Podczas powstania walczyła na terenie Śródmieścia. Po wojnie zaangażowała się w dokumentowanie wkładu kobiet w walkę o niepodległość Polski. Była twórczynią fundacji upamiętniającej Wojskową Służbę Kobiet i drugą Polką w historii Wojska Polskiego awansowaną do stopnia generała brygady.



Danuta Hibner „Nina" (1923–2019)

Kobiety były również niezastąpione w pozyskiwaniu cennych informacji dla podziemnej armii. W ramach kontrwywiadu KG AK istniał oddział 993/W, wykonujący wyroki śmierci na zdrajcach i konfidentach gestapo oraz na funkcjonariuszach niemieckiego aparatu terroru. W ramach oddziału działał zespół wywiadowczyń, który prowadził czynności inwigilacyjne poprzedzające wykonanie wyroku. Jedną z członkiń tego zespołu była Danuta Hibner „Nina". Podczas okupacji ukończyła tajne gimnazjum, a następnie studiowała prawo na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Równocześnie zaangażowała się w działalność konspiracyjną. Zdarzało się, że oprócz pozyskiwania informacji brała bezpośredni udział w akcji. Tak było podczas wykonania wyroku na Józefie Staszauerze „Astonie", oficerze Oddziału V KG AK i konfidencie gestapo, który przyczynił się do aresztowania wielu osób z kadry dowódczej AK. Do likwidacji doszło w październiku 1943 r. w barze Za Kotarą przy ul. Mazowieckiej. Właścicielem lokalu był Józef Staszauer. Oprócz Staszauera zlikwidowano wówczas również kilku Niemców oraz ich konfidentów. Podczas akcji „Nina" została ciężko ranna, co na wiele miesięcy wyłączyło ją z działalności konspiracyjnej. Po latach tak wspominała te wydarzenia: „Jestem zupełnie ogłuszona, huk wystrzałów jest taki, że mam wrażenie, iż cała »Kotara« wyleci za chwilę w powietrze. Istne piekło. Efenka zacina się. Psiakrew! – akurat w porę. Chcę repetować i w tej chwili czuję, że palce lewej ręki mam zupełnie drętwe. Ścieka po nich lepka, ciepła krew [...]". Za akcję tę otrzymała Order Wojenny Virtuti Militari.

Danuta Hibner szczęśliwie doszła do zdrowia i wzięła udział w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka i sanitariuszka w szeregach kompanii „Zemsta" Batalionu „Pięść". Początkowo pełniła służbę na Woli, później na Starym Mieście, a po ewakuacji kanałami do Śródmieścia w plutonie osłonowym KG AK. Za udział w powstaniu otrzymała Krzyż Walecznych. Po wojnie ukończyła prawo na Uniwersytecie Łódzkim oraz psychologię na UW. Pracowała jako radca prawny. Zmarła w 2019 r. w Warszawie.

## SANITARIUSZKI I ŁĄCZNICZKI

Najwięcej w powstaniu było łączniczek i sanitariuszek. Te ostatnie pracowały nie tylko w szpitalach czy punktach opatrunkowych, lecz także na pierwszej linii frontu, opatrując i transportując pod ostrzałem rannych żołnierzy. Mimo zagrożenia życia do końca trwały na swoich posterunkach. Często płacąc najwyższą cenę.

W Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się wzruszająca pamiątka po jednej z sanitariuszek poległych na Powiślu Czerniakowskim. Jest to kalendarzyk i warkoczyk przekazane przez Zofię Rusiecką „Zochę", po wojnie Kreowską, ze Zgrupowania Kryska. Wraz z 18-letnią Danutą Remiszewską „Remi" były harcerkami i zostały przydzielone jako sanitarny patrol liniowy do szpitala polowego przy ul. Okrąg. Tam właśnie „Remi" 16 sierpnia została postrzelona, kiedy biegła po rannych. „Zocha" zachowała w kalendarzyku na 1944 r. kosmyk włosów przyjaciółki. Danuta Remiszewska jako jedna z nielicznych poległych w powstaniu miała jeszcze prawdziwą trumnę i pogrzeb. Ceremonię pogrzebową poprowadził pallotyn, ks. kapelan Józef Stanek „Rudy". Była salwa honorowa i czerwone goździki zerwane przez Zofię Rusiecką pod niemieckim ostrzałem.



eprasa.pl a752d979dc




Sanitariuszka Danuta Remiszewska „Remi” (1926–1944)

Równie niebezpieczną służbą była praca łączniczek, które docierały z meldunkami do najdalej wysuniętych placówek powstańczych, nierzadko przedzierając się ciasnymi kanałami.

Jedną z kilku tysięcy łączniczek walczących w powstaniu była Helena Jamontt „Hela Warzycka”, „Kwiatuszek”. Podczas powstania miała 30 lat. Była absolwentką prawa na Uniwersytecie Warszawskim. W konspiracji od 1940 r., działała w Konfederacji Narodu. W 1942 r. została przewodniczącą Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom. Organizacja wysyłała leki i żywność jeńcom i więźniom obozów koncentracyjnych na terenie okupowanej Polski i III Rzeszy. Prowadziła także wywiad więzienny, pozyskując informacje o śledztwach i chroniąc pozostające na wolności osoby zagrożone dekonspiracją.

W powstaniu „Hela” walczyła na Woli, a następnie na Starym Mieście, gdzie była łączniczką dowódcy odcinka północnego ppłk. Franciszka Rataja „Pawła”. Poległa 21 sierpnia zasypana pod gruzami zbombardowanej kamienicy przy ul. Miodowej 25.

Szczątki Heleny Jamontt odnaleziono dopiero wiosną 1951 r. Podczas ekshumacji natrafiono na jej kenkartę oraz fragmenty notatek i listów. W archiwum rodzinnym zachowała się również szpilka do włosów oraz święty obrazek z odręcznie napisaną modlitwą, a także kilka jej fotografii. Eksponaty te trafiły do zasobu MPW.

## NIEOCENIONE PEŻETKI

Powstanie Warszawskie to nie tylko barykady i walka zbrojna. To także codzienność, którą organizowały przede wszystkim kobiety. To ogromny wysiłek peżetek z podwydziału Pomoc Żołnierzowi KG AK, sióstr zakonnych i pracownic organizacji społecznych, żeby nakarmić walczących i ludność cywilną w gospodach, jadłodajniach i prowizorycznych kuchniach.

W walczącej Warszawie działało ponad 30 gospód żołnierskich prowadzonych przez peżetki, najwięcej w Śródmieściu i na Powiślu. Zapewniały one nie tylko wyżywienie, lecz także – a może przede wszystkim – atmosferę wypoczynku tak bardzo potrzebną powstańcom. W gospodach oprócz zjedzenia posiłku można było posłuchać radia, poczytać książkę i prasę powstańczą, pośpiewać, pograć w karty czy warcaby. Słowem – peżetki karmiły, prały, cerowały, opiekowały się rannymi. Zdarzało się także, że pomagały budować barykady i transportować prowiant z odległych magazynów. Kiedy zaczęło brakować żywności, same na własną rękę organizowały prowiant, z którego później przygotowywały posiłki.

Jedna z kuchni żołnierskich działała w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej. Przyrządzano w niej posiłki dla blisko 1,2 tys. osób. Danuta Ciecierska-Stokłosa po latach wspominała: „[...] dowiedziałam się, że w Architekturze, w »Kuchni«, jest strasznie dużo roboty. No i tak się zaczęło. [...] Ogromna kuchnia, w której personel został, to znaczy została kierowniczka kuchni, kucharka nieoceniona i taka krzepka młoda, 16-letnia dziewczyna, która też do ciężkiej pracy się nadawała, no i było trochę takich osób jak ja. Były zresztą dwie panie, takie starsze, to znaczy czterdziestoparoletnie, poza tym młodzież. [...] Był kocioł na 500 litrów, do którego trzeba było wchodzić, żeby go umyć, bo inaczej nie było wyjścia. [...] Myśmy pracowały pod kierunkiem tej kucharki, żadna z nas nie umiała gotować. Mieszanie zupy odbywało się wiosłem. Stało się na takim podniesieniu i mieszało się wiosłem”.



Helena Jamontt „Hela Warzycka”, „Kwiatuszek” (1914–1944), za nią matka – Róża z domu de La Tour

* * *

Po upadku powstania ok. 2,5 tys. kobiet żołnierzy trafiło do niewoli. Ustalenia umowy kapitulacyjnej przyznały im bowiem prawa jenieckie identyczne jak mężczyznom. Kobiety uzyskały tym samym status żołnierzy regularnej Armii Polskiej. Kilka dni wcześniej rozkazem dowódcy AK przyznano im stopnie wojskowe.

W sumie liczba kobiet znanych z imienia i nazwiska, które wzięły udział w walkach powstańczych wyniosła blisko 12 tys., co stanowi ok. 20 proc. wszystkich uczestników powstania. Straty wyniosły ok. 1,2 tys. poległych. W skali całej okupacji straty wśród kobiet żołnierzy były jednak znacznie większe. „Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939–1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej” zawiera blisko 5 tys. biogramów kobiet, które zginęły w więzieniach, obozach koncentracyjnych, podczas przesłuchań w katowniach gestapo, egzekucjach publicznych i na barykadach powstańczej Warszawy. Za swoje poświęcenie i bohaterstwo niektóre z nich zostały uhonorowane najwyższym polskim odznaczeniem wojennym – Orderem Virtuti Militari.

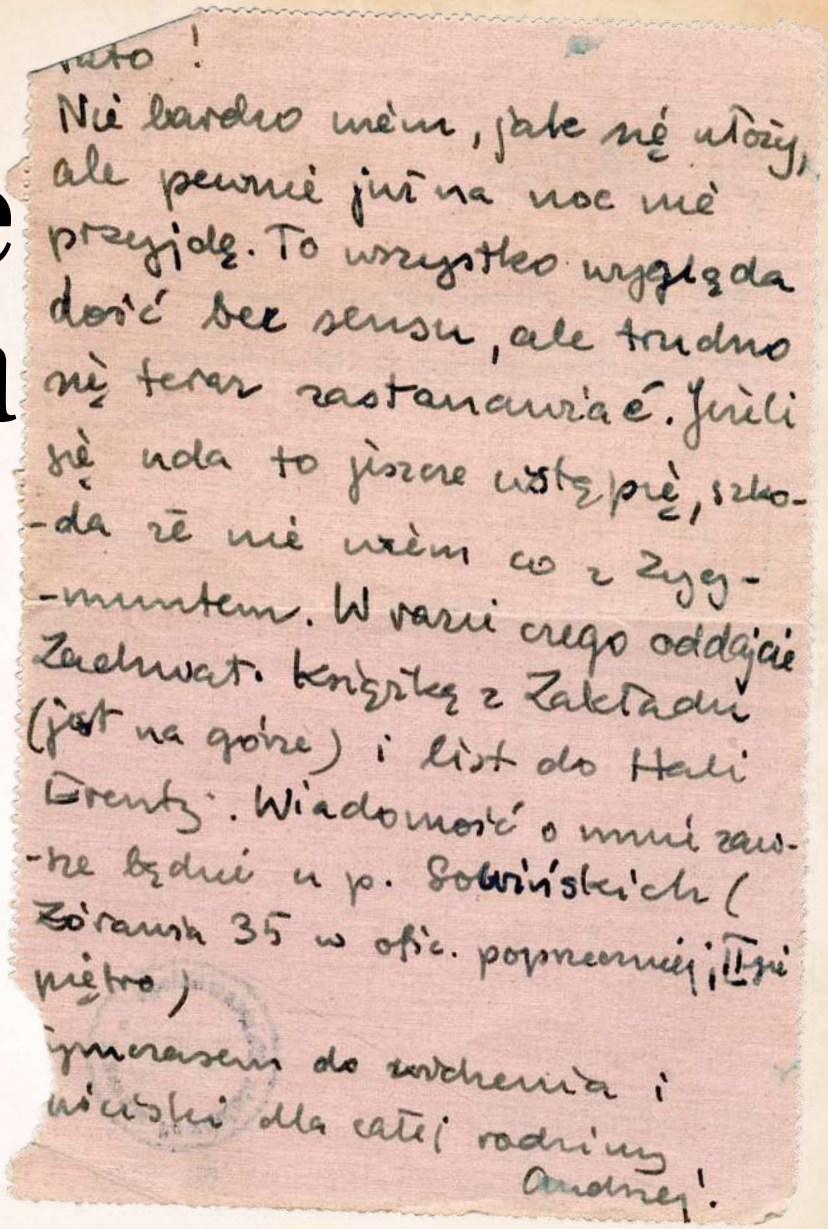
Wojskowa Służba Kobiet zakończyła swoją działalność z chwilą rozwiązania AK w styczniu 1945 r. Dla wielu kobiet nie był to jednak koniec walki. Podobnie jak ich koledzy kontynuowały działalność w konspiracji antykomunistycznej. Były też na równi z mężczyznami represjonowane przez służby bezpieczeństwa.



eprasa.pl a752d979dc

# Listowne rozstania

*Jak się pożegnać, gdy trzeba iść w nieznane, zostawiając bliskich, których można już nie zobaczyć? Może łatwiej napisać list i wyjść po cichu?*


Nie bardzo wiem, jak się ułoży, ale pewnie już na noc nie przyjdę. To wszystko wygląda dość bez sensu, ale trudno się teraz zastanawiać. Jeśli się uda to jeszcze wstąpię, szkoda że nie wiem co z zygmuntem. W razie czego oddaję Zachwat. książkę z Zakładu (jest na górze) i list do Hali Grentz. Wiadomość o mnie zawsze będzie u p. Sobińskich (Żoliborz 35 w ofic. poproszenie, II piętro)

Pozdrawiam do zobaczenia i wszystkiego dla całej rodziny Andrzej!



MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

Przedpowstańcze listy pozostawione bliskim przez konspiratorów, którzy szli walczyć, są w większości nieznane. Pisano je spontanicznie i pospiesznie. Pozostawiano w domu bądź dawano znajomym do przekazania bliskim. Były pozbawione kwiecistych ubarwień. Zawierały kilka słów otuchy, czasem wskazówki. Chciano w ten sposób powiedzieć „do widzenia", unikając pożegnań i ewentualnych pytań.

## „LEPIEJ BYŁO UNIKAĆ KONTAKTÓW BEZPOŚREDNICH"

17-letni Juliusz Englert „Adam" (1927–2010) z Batalionu Wigry mieszkał przy ul. Floriańskiej z ciotkami i ze stryjem, dawnym żołnierzem Legionów Polskich. W lipcu 1944 r. miał za sobą drugi rok szkoły graficznej. Na dwa dni przed powstaniem zostawił wiadomość dla swojej matki znajomemu, który zobowiązał się ją przekazać: „Nie mogłem się skontaktować wówczas. Z bratem się nie kontaktowałem, bo już też był w konspiracji, lepiej było unikać kontaktów bezpośrednich".

Na ul. Karowej mieszkał jego rówieśnik Włodzimierz Maczunder (rocznik 1927). Postanowił ochotniczo przyłączyć się do powstania. Wspominał: „Nie bardzo się dzieliłem tą informacją z moimi rodzicami, ponieważ wiem, że różnie to mogło być. Nie wiedziałem, jaki to przyniesie efekt". 2 sierpnia wstał o godz. 6 i napisał list do rodziców, w którym stwierdził: „Moim pragnieniem jest przyłączyć się do powstania. Wziąłem malutki plecak, zapakowałem jedną zmianę bielizny (liczyłem, że to potrwa dosłownie kilka dni) i prysnąłem". W powstaniu jako „Chomik" służył w plutonie ochrony sztabu na Powiślu w Grupie Bojowej Krybar.

## „NIC SIĘ NIE MARTW, ZARAZ WRÓCĘ"

Reakcji rodziców obawiała się także cztery lata starsza łączniczka Ewa Jeglińska „Ewa" (1923–2018) z Pułku AK Baszta. Bała się kłopotliwych pytań mamy o miejsce i przyczyny wyjścia, troski i nadmiernej opiekuńczości. Kiedy dostała rozkaz na stawienie się w punkcie zbornym przy ul. Madalińskiego 73/75, odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że jej mamy nie było w domu, bo poszła do swojej przyjaciółki. „Bardzo byłam zadowolona". Dlaczego? Bo mogła wyjść swobodnie bez trudnych rozmów i tłumaczeń. I wtedy zostawiła mamie

Fot. Zbiory MPW



eprasa.pl a752d979dc

króciutki list: „Nic się nie martw, zaraz wrócę". Obie panie spotkały się dopiero po roku.

Podobnie o krótkim przebiegu walk była święcie przekonana sanitariuszka z Batalionu NOW-AK Gustaw, 25-letnia Anna Tomaszewska „Hanka" (1919–2010). Pracowała w biurze laboratorium farmaceutycznego i jednocześnie była już po pierwszym roku tajnej I Miejskiej Szkoły Handlowej II stopnia (zakonspirowane SGH). 1 sierpnia o godz. 14 przyszła do jej pracy łączniczka, każąc się zgłosić za dwie godziny na ul. Grójecką 45. „Hanka" zdała swoje obowiązki koleżankom, bo szef był na urlopie. Poszła do domu, spakowała się oraz napisała krótki list: „Na razie wychodzę i wrócę niedługo".

Czasem rodzice byli wtajemniczeni w działalność dzieci bądź się jej domyślali. Łączniczka z Obwodu II Żoliborz, Teodora Szal (po mężu Grabowska) „Wanda" (rocznik 1927), mieszkająca we Włochach, jak dowiedziała się, że w sobotę 29 lipca wcześnie rano ma rozkaz zameldowania się na ul. Złotej, poprosiła ojca (Teodora, weterana Legionów Polskich), żeby ją obudził. Kiedy już się spakowała i była gotowa do wyjścia, ojciec ją przytulił i pocałował. Wandzie utkwiło w pamięci coś, co nie było typowe w jego zachowaniu: z oczu płynęły mu łzy. Był to ostatni raz, kiedy Wanda widziała ojca (zmarł po wojnie, a ona przyjechała do Polski dopiero w 1970 r.). Wieczorem pojechała do Ursusa, żeby się zobaczyć z mamą, która opiekowała się swoją siostrą po ciężkiej operacji. Tam zanocowała. Do swojego domu poszła 30 lipca (niedziela). Ojca nie było (gdzieś wyszedł): „Zostawiłam mu tylko liścik, że byłam".

## „TO BYŁO WSZYSTKO… KRÓCIUTKI LIST"

Nieobłaskawianie rodziny korespondencyjnym wodolejstwem mogło być związane z poczuciem młodzieńczej niezależności, pokazem wewnętrznej siły, niechęcią do głębszych wyznań, brakiem czasu, bo trzeba było działać szybko.

Mieszkająca na Woli (u. Leszno 112/92) 16-latka Lidia Szczepaniak „Koczkodan" (1928–2019), sanitariuszka ze Zgrupowania Kryska, wspominała po latach, że nie dała znać rodzicom o swoim zamiarze wyjścia na przedpowstańcze zgrupowanie: „Napisałam list, że ojczyzna mnie wzywa". Oprócz tej górnolotnej wiadomości poinformowała, że na potrzeby dezynfekowania ran „biorę ze sobą ćwierć litra spirytusu", a do tego „jakieś tam pożywienie. To było wszystko, co napisałam do rodziny – króciutki list". Lidia przez całe powstanie nie miała o rodzinie wiadomości, ale dochodziły do niej wieści o niemieckich zbrodniach na ludności cywilnej w rejonie zamieszkania rodziców.

## „NIC NIĘ ODKŁADAĆ, TYLKO ZARAZ SIĘ WEŹCIE DO TEGO"

1 sierpnia wychodząca rano z mieszkania przy ul. Czerniakowskiej 126a/12 łączniczka Maria Wilczyńska „Mirska" (rocznik 1903) z Batalionu Tum (Zgrupowanie Kryska) zostawiła swoim bliskim (mężowi Wacławowi, córce Jolancie i synowi Bohdanowi) wiadomość napisaną pospiesznie na recepcie dentystycznej (list udostępniony przez Jolantę Wencel – za co bardzo dziękuję). Obejmował instrukcje dla rodziny, głównie zalecenia w sprawie gromadzenia zapasów żywnościowych, a także kilka wskazówek dla męża w związku z postępowaniem z dziećmi. Prosiła go o wyrozumiałość i powstrzymywanie się od gniewu (krzyku). Szczególnie na sercu leżała jej pamięć o córce Joli – „bo ona jest moja kochana córeczka jako dziewuszka bez mamy samotna". Najważniejszymi produktami, w które – jak wspomniała w liście – należało się zaopatrzyć to: chleb, kasza, margaryna, mąka, cukier, olej, słonina, ziemniaki, cebula. Można było je nabyć na pl. Kazimierza bądź za kościołem oo. bernardynów. Autorka listu zaznaczyła i zarazem ponaglała najbliższych do skrupulatnego wypełnienia wyszczególnionych poleceń: „Nie wiadomo jak długo to będzie trwało. Nic nie odkładać, tylko zaraz się weźcie do tego". Niezwykle osobisty i wzruszający list był wyrazem troski o najbliższych, a zarazem odbiciem powikłanych wewnętrznych rozterek, rozdarcia między obowiązkami rodzinnymi a poczuciem odpowiedzialności przyjętej w konspiracji („Postaram się dzisiaj wrócić").

Miała nadzieję jeszcze zobaczyć najbliższych. Był to jeden z przykładów tragizmu decyzji. Zakończyła tekst słowami: „Całuję Was bardzo mocno, każde z osobna i wszystkich razem. Wasza kochająca żona i mamusia". Autorka listu została rozstrzelana przez Niemców niedaleko swojego mieszkania podczas pacyfikacji Czerniakowa 23 września. W ciągu działań powstańczych dzieci ani razu nie spotkały matki. Kilkunastoletni syn Bohdan Romuald (rocznik 1926) został zamordowany przez Niemców 18 sierpnia 1944 r. Wojnę przeżyła tylko córka i mąż. Wacław (rocznik 1886), mąż łączniczki 19 lat od niej starszy, był ciężko doświadczonym działaczem niepodległościowym i weteranem I wojny światowej (żołnierzem I Korpusu Polskiego). W chwili sierpniowo-wrześniowych walk o stolicę był już starszym człowiekiem, prawdopodobnie z różnymi dolegliwościami zdrowotnymi. Znał piekło wojny. Możliwe, że osobiste przeżycia z dawniejszych czasów wpłynęły na decyzję nieangażowania się w działalność konspiracyjną i walkę. Długo nie wiedział, co się stało z żoną. Rodzina o jej śmierci dowiedziała się dopiero w 1946 r., a datę śmierci i miejsce pochówku w masowym grobie ustaliła dopiero córka w 2002 r.

## „MUSZĘ SŁUŻYĆ KRAJOWI"

Podobny ton miał list Powstańca urodzonego w 1906 r. (list został opublikowany przez Stanisława Franciszka Ozimka w książce pt. Poczta powstańczej Warszawy). Autor listu mieszkał w Skierniewicach. W domu zostawił żonę Kasię z dziećmi.

29 lipca w liście do do najbliższych wyjaśniał, że zostanie w stolicy: „Bo jestem potrzebny", a dalej pisał: „O ile mi siły i zdrowie starczą, muszę służyć krajowi". Prosił rodzinę o modlitwę w intencji swojego szybkiego powrotu. Informował, że znajome, z jego polecenia przekażą im kwotę 1264 zł, za które będzie można kupić ziemniaki. Zachęcał także, by rodzina zarabiała na razie (w związku z letnim sezonem) zbieraniem wiśni, a najstarsze córki, prosił o opiekę nad mamą i pozostałym rodzeństwem. Dwukrotnie nawiązał w liście do modlitw, które miały dodać im i jemu siły. Skończył prośbą: „Waszym modlitwom się poleca kochający wasz mąż i ojciec". Autor



eprasa.pl a752d979dc



Powstańcy ze Zgrupowania Kryska na Powiślu Czerniakowskim

Fot. Zbiory MPW

listu służył w IV Obwodzie Ochota, a następnie w podwarszawskich lasach i Kompanii „Gustaw" na Mokotowie. Ciężko ranny w walkach pod koniec sierpnia, niedługo potem zmarł.

## „NIE BARDZO WIEM, JAK SIĘ UŁOŻY…"

W zasobie Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się ciekawy list kpr. Andrzeja Jakimowicza „Szypra" do ojca. Powstał pod koniec lipca, kiedy jego autor udawał się na przedpowstaniową koncentrację (pluton II, 2 Harcerska Bateria Artylerii Przeciwlotniczej „Żbik", Zgrupowanie Gurt). Andrzej dzielił się z ojcem wątpliwościami: „Nie bardzo wiem, jak się ułoży, ale pewnie już na noc nie przyjdę. To wszystko wygląda dość bez sensu, ale trudno się teraz zastanawiać". Wewnętrzne rozterki i chaos myśli – może związany z niedoborami uzbrojenia – nie były jednak w stanie zawrócić nadawcy z raz obranej drogi.

Niepewność dręczyła 14-letniego Stanisława Krencika „Staśka" (1930–2008) z Pułku AK Baszta. Mieszkał on z rodzicami na Mokotowie na rogu ul. Karłowicza i Madalińskiego. Wiele lat po powstaniu wspominał tamte dni: „Ostatnie tygodnie przed powstaniem – Warszawa to wielki chaos, rozbite wozy, Niemcy okrwawieni, uciekający dosłownie, ewakuujący się folksdojcze, którzy mieszkali w bliskiej okolicy, uciekali. Widać było, że jest ruch. Mówiło się dużo o zbliżającym się froncie, o Rosjanach, którzy są tuż-tuż. Niektórzy to nawet mówili, że słyszą strzały. Miałem dobry słuch, ale tego nie słyszałem. W każdym razie tak to wyglądało". Kiedy przyszedł czas pierwszej koncentracji w lipcu, wyszedł z domu w zupełnej tajemnicy, a rodzicom zostawił tylko kartkę: „Nie wiem, kiedy wrócę".

## „WIADOMOŚĆ O MNIE ZAWSZE BĘDZIE…"

Wspomniany wcześniej Andrzej Jakimowicz zostawił w liście kilka wskazówek dla najbliższych, prośbę o zwrócenie pożyczonej książki oraz przekazanie pewnego listu kobiecie nazwanej Halą, o której poza imieniem nie mamy bliższych informacji, a list nic więcej o niej nie mówi (mogła być siostrą, kuzynką, przyjaciółką bądź znajomą nadawcy). Co ciekawe, autor wiadomości poinformował o adresie, który mógł stanowić punkt kontaktowy z nim („Wiadomość o mnie zawsze będzie u państwa Sowińskich, Żurawia 35 w oficynie Poprzecznej, II piętro"). Na zakończenie przesłał pozdrowienia, martwił się też o nieznanego nam Zygmunta. Miał zamiar jeszcze przed rozpoczęciem akcji militarnej spotkać się z najbliższymi: „Jeżeli się uda, to jeszcze wstąpię". „Tymczasem do widzenia i ściski dla całej rodziny".

Sanitariuszka Batalionu Dzik, Danuta Czekajewska „Danusia" (1928–2014), po powstaniu Perzyńska, spędzała wakacje 1944 r. u dziadka w Grodzisku Mazowieckim. Pod koniec lipca trafił tam łącznik z rozkazem o miejscu i dacie stawienia się na koncentrację przed godziną W. Danusia szybko spakowała się i wyjechała, a po latach wspominała: „Bo nigdy nie było wiadomo, co nas czeka". Przed wyjściem zostawiła kartkę dla mamy z adresem punktu zbornego: ul. Świętojańska 2. Wielkie musiało być jej wzruszenie i radość, gdy okazało się, że matka zabrała co najcenniejsze miała pod ręką (na szyi zawiesiła sobie woreczek ze starą rodzinną biżuterią) i stawiła się w oznaczonym przez córkę miejscu z dwoma bochenkami chleba.

Takie były te powstańcze pożegnania. Szybkie, krótkie, naznaczone nadzieją.

Reklama | 29/0723/F



eprasa.pl a752d979dc




eprasa.pl a752d979dc

# „Rozkaz: zdobyć elektrownię”

*79 lat temu, 1 sierpnia 1944 r., pracownicy Elektrowni Powiśle o godzinie W stanęli do walki w Powstaniu Warszawskim. Ich zadaniem było odbicie elektrowni z rąk niemieckiego okupanta*



Obrońcy Elektrowni Miejskiej w Warszawie. Krzyżykiem został oznaczony prawdopodobnie ppor. Witold Woźniak „Ryszard”

Udało im się to już pierwszego dnia. Przez kolejne 36 dni i nocy dzielnie walczyli z Niemcami, ale – co najważniejsze – zdołali utrzymać dostawy energii elektrycznej dla walczącej Warszawy, co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu.

W okupowanej Warszawie Elektrownia Powiśle była jednym z najważniejszych strategicznych obiektów. Bardzo dobrze wiedzieli o tym Niemcy, którzy by bronić zakładu przed możliwym atakiem ze strony Polaków, zabezpieczyli budynek, stawiając m.in. bunkry czy zasieki z drutu kolczastego. Dodatkowo w elektrowni stacjonowali także żołnierze Wehrmachtu i kompania Werkschutzu (wewnętrznej służby ochrony).

Poza tym w Elektrowni Powiśle przez całą okupację niemiecką działała także dobrze zorganizowana konspiracja polska. Dowodził nią ówczesny dyrektor elektrowni, kpt. Stanisław Skibniewski „Cubryna”.

To właśnie pracownicy elektrowni stanęli do walki 1 sierpnia 1944 r. w jej obronie, odbijając ją z rąk okupanta.

Sygnałem do rozpoczęcia ataku była detonacja ładunku wybuchowego zamontowanego przez plut. pchor. inż. Wincentego Szantyra „Ursyna” i plut. pchor. inż. Feliksa Wodzyńskiego „Semka” za ścianą koszar niemieckich na parterze budynku technicznego. Po detonacji z górnych kondygnacji budynku zaatakowali żołnierze dowodzeni przez podporuczników inż. Antoniego Zycha „Lecha”, Stanisława Cendrowskiego „Sulimczyka” i inż. Mirosława Czajkowskiego „Kaliny”.

Po ciężkich walkach powstańcy wyparli siły niemieckie do piwnic, gdzie złamali ich opór, zalewając podziemia wodą i doprowadzając do złożenia broni przez niemieckie oddziały.

W kolejnych dniach powstania mimo częstych ataków ze strony wroga elektrownia dostarczała energię elektryczną dla walczącej Warszawy, w tym do piekarni, punktów dowodzenia, a także szpitali i warsztatów służących powstańcom.

Energetycy z Elektrowni Powiśle wytrwali 36 dni i nocy walki. 3 września runęła nastawnia elektrowni, a dzień później Niemcy rozpoczęli generalny szturm na Powiśle, w wyniku którego w trakcie bombardowania elektrownia została unieruchomiona, pozbawiając Warszawę prądu. Obrońcy elektrowni przetrwali jeszcze cały ten dzień i noc, a 5 września po południu w związku z brakiem amunicji oddział wycofał się z elektrowni na rozkaz „Cubryny”. 6 września padło całe Powiśle.

Energetycy z Powiśla walczyli w Warszawie aż do kapitulacji powstania 2 października 1944 r. W trakcie II wojny światowej zginęło 450 pracowników Elektrowni Powiśle, zarówno w walce na frontach, jak i w obozach koncentracyjnych. 26 z nich zostało odznaczonych Orderem Virtuti Militari.

PGE Polska Grupa Energetyczna w hołdzie energetykom z Powiśla co roku organizuje spotkanie, podczas którego tradycyjnie wybrzmiewa pieśń „Marsz robotników elektrowni”. W 79. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego PGE po raz kolejny odda hołd energetykom walczącym w obronie warszawskiej Elektrowni Powiśle, organizując uroczystość pod hasłem „Energetycy w powstaniu”. Dodatkowo w br. PGE przygotowała film „Rozkaz: zdobyć elektrownię”, który jest ilustracją heroicznego przejęcia przez powstańców warszawskich Elektrowni Powiśle.

Artykuł sponsorowany | 33/0723/F

Fot. Zbiory MPW



eprasa.pl a752d979dc

# ENERGETYCY
## w Powstaniu Warszawskim

ENERGY WORKERS IN THE WARSAW UPRISING

PAMIĘTAMY

2. sierpnia 1944 roku pracownicy Elektrowni Powiśle pod dowództwem
kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”,
po heroicznej walce, przejęli kontrolę nad elektrownią.
W pierwszym dniu walk był to jeden z najważniejszych sukcesów
militarnych Powstańców. Jeszcze większym sukcesem była
obrona i utrzymanie dostaw energii elektrycznej dla walczącej Warszawy,
co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu.
Dzisiaj, jako przedstawiciele branży energetycznej,
oddajemy hołd bohaterskim Energetykom.

PGE
Fundacja

eprasa.pl a752d979dc



Obsługa moździerza podczas ćwiczeń w Szkocji, lata 1943–1944

# Mieli wrócić najkrótszą drogą



RAFAŁ BRODACKI

*Przez pewien czas rozważano, by bez względu na zgodę aliantów wysłać do Polski choć jedną kompanię spadochronową. Niestety, o całej sprawie dowiedzieli się Brytyjczycy. Zagrozili, że wszystkie samoloty wykonujące nieautoryzowane przez nich loty zostaną zestrzelone. Pomysł więc upadł. 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa gen. Sosabowskiego nie wsparła powstańców, choć po to była stworzona. Dlaczego?*

Problem przerzutu do kraju ludzi i sprzętu pojawiał się już od pierwszych miesięcy wojny. Jednak dopiero od lutego 1941 r. do Polski zaczęto wysyłać specjalnie przeszkolonych w Wielkiej Brytanii żołnierzy, by wesprzeć Polskie Państwo Podziemne (PPP). Ostatecznie do kraju trafiło 316 cichociemnych.

Jednym z miejsc, gdzie poszukiwano kandydatów do skoku do Polski, była 4. Brygada Kadrowa Strzelców. Jej dowódca, płk Stanisław Sosabowski (od 13 czerwca 1944 r. gen. bryg.), doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że znajdująca się pod okupacją Polska potrzebuje oddziału, który w razie potrzeby zostanie przerzucony do kraju, by wesprzeć PPP. Stąd też dowodzeni przez niego żołnierze brali udział w przygotowaniach do ewentualnego zrzutu. Wiosną 1941 r. rozpoczęło się szkolenie spadochronowe. 23 września 1941 r. naczelny wódz, gen. broni Władysław Sikorski dokonał przemianowania 4. Brygady Kadrowej Strzelców na 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową (1 SBS). W okolicznościowym przemówieniu powiedział, że to właśnie żołnierze 1 SBS mają dostać się do kraju najkrótszą drogą – skacząc na terytorium Polski ze spadochronem.

## UZGADNIANIE PRZEZNACZENIA

Problemy z przeznaczeniem brygady spadochronowej zaczęły się od samego początku. Otóż umowa wojskowa, którą zawarły 5 sierpnia 1940 r. rządy Polski i Wielkiej Brytanii, zakładała

Fot. MPW



eprasa.pl a752d979dc

powstanie oddziałów Polskich Sił Zbrojnych, będących sojusznikiem państw alianckich i operacyjnie podlegających dowództwu brytyjskiemu. Zawierała ona jednak dość ogólne stwierdzenia, a większość spraw miało być precyzowane na cyklicznie odbywających się polsko-brytyjskich konferencjach. Jedna z nich miała miejsce 9 maja 1942 r. Wtedy też poruszono kwestię krajowego użycia polskiej brygady spadochronowej. Brytyjczycy byli zdania, że z użyciem oddziału w Polsce nie należy się spieszyć. Już jednak 22 maja 1942 r. zaakceptowali strukturę polskich oddziałów, a 26 sierpnia 1942 r. przesłali do sztabu naczelnego wodza list, w którym uznawali krajowe przeznaczenie 1 SBS. Podobny wydźwięk miały ustalenia podjęte podczas kolejnej konferencji. Uzgodniono wtedy, że polska brygada spadochronowa powinna osiągnąć pełne stany i być skierowana we właściwym czasie do Polski.

7 września 1942 r. gen. Sikorski wydał rozkaz, w którym zezwolił na użycie polskich żołnierzy w planowanych walkach na kontynencie i jednocześnie nakazał przygotowania do rozbudowy PSZ. Według planów brytyjskich oddziały polskie stać się miały częścią 21. Grupy Armii pod dowództwem gen. Bernarda Lawa Montgomery'ego. Zaznaczono jedynie, że 1 SBS miała pozostać pod wyłączną komendą polską z zamiarem przerzutu tego oddziału do kraju. Dowództwo brytyjskie zdawało się nie mieć z tym problemu.

## DZIAŁANIA ZAKULISOWE

O tym, jak złudne było to przeświadczenie, pokazało postępowanie Brytyjczyków, którzy podobnie jak Amerykanie doskonale zdawali sobie sprawę z wartości bojowej wojsk powietrzno-desantowych i dlatego też dawali coraz jaśniej do zrozumienia, że chcieliby przejąć kontrolę nad polskim oddziałem.

Już w 1941 r. gen. Frederick Browning, dowódca 1. Dywizji Powietrznodesantowej, stwierdził w rozmowie z płk. Sosabowskim, że chciałby, by polska brygada została włączona do dowodzonej przez niego jednostki. Zaproponował nawet Sosabowskiemu dowództwo brytyjskiej dywizji powietrzno-desantowej, w której skład weszłyby polskie i brytyjskie brygady spadochronowe. Był to duży zaszczyt dla polskiego oficera i zarazem ewenement. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by Brytyjczycy z własnej woli oddali brytyjskich żołnierzy pod komendę cudzoziemca tak dużego oddziału. Ale Sosabowski zdawał sobie sprawę, że w ten sposób polscy spadochroniarze przeszliby pod komendę brytyjską i 1 SBS straciłaby swoje przeznaczenie. Odmówił więc tej propozycji.

Pewne jest to, że Brytyjczycy podjęli pewne działania mające skłonić Polaków do oddania się pod ich komendę. A gen. Browning po awansie na dowódcę Brytyjskiego Korpusu Powietrznego zaczął coraz śmielej naciskać na zmianę przeznaczenia Polaków. Zastrzegł, że brytyjskie wojska powietrznodesantowe, które przygotowywały się do inwazji na kontynent, będą miały pierwszeństwo, jeśli chodzi o zaopatrzenie materiałowe i szkolenie. W efekcie polscy spadochroniarze nie mogli szkolić się w takim stopniu, jak potrzebowali.

Sosabowski miał zameldować naczelnemu wodzowi, że wobec wynikłych trudności szkolenie spadochronowe przedłuży się do maja 1944 r. Browning niedwuznacznie sugerował, że w każdej chwili może rozwiązać te problemy. Warunkiem była zgoda na udział polskich spadochroniarzy w inwazji w Normandii. Na to jednak rząd polski, pomny krajowego przeznaczenia brygady, nie chciał się zgodzić.

## WYMIANA DEPESZ

7 marca 1 SBS wizytował płk James Peto, szef 4. Brytyjskiej Misji Łącznikowej. Zapytał wprost płk. Sosabowskiego, kiedy jednostka zostanie przekazana pod dowództwo gen. Montgomery'ego, który podczas operacji w Normandii miał dowodzić siłami lądowymi. Sosabowski odpowiedział na to, że sam nie może podjąć takiej decyzji, gdyż zależy ona od polskich władz. Usłyszawszy to, płk Peto zasugerował, że spora część polskich żołnierzy unika walki. Naciski kontynuował też gen. Browning, który dwa dni po spotkaniu z płk. Peto ponownie rozmawiał z płk. Sosabowskim. Browning powiedział mu wtedy, że w ciągu dwóch tygodni 1 SBS zostanie przekazana Brytyjczykom, by użyć jej podczas inwazji.

Podejmowane przez obu angielskich oficerów rozmowy miały ewidentnie charakter zakulisowy. Nie było jednak wątpliwości, że mieli oni poparcie władz brytyjskich i należało się spodziewać, że wkrótce rozmowy na temat przeznaczenia polskiej brygady wejdą na wyższy poziom. Tak też się stało. 2 marca 1944 r. gen. por. Arthur Edward Grasett, szef misji łącznikowej przy Naczelnym Dowództwie Alianckich Sił Ekspedycyjnych (Supreme Headquarters Allied Expeditionary Force – SHAEF), spotkał się z polskim naczelnym wodzem, którym po śmierci gen. Sikorskiego został gen. broni Kazimierz Sosnkowski. Podczas rozmowy Brytyjczyk przekazał propozycje marsz. Alana Brooke'a, szefa brytyjskiego Imperialnego Sztabu Generalnego. Naczelny dowódca British Army doceniał znaczenie polskiego oddziału i wiedział, w jakim celu został sformowany. Był jednak zdecydowany wykorzystać go do walki w Normandii. W związku z tym marsz. Brooke proponował renegocjację wcześniejszych umów i przekazanie brygady pod dowództwo alianckie, by użyć jej w operacji desantowej. Szef Imperialnego Sztabu Generalnego zakładał, że wykorzystanie brygady na pewno będzie oznaczać straty wśród polskich żołnierzy. Jednak dla strony byłoby to niezbędne doświadczenie przed spodziewanym wylotem do Polski. Dlatego też sugerował, że 1 SBS zostanie umieszczona w rezerwie sił inwazyjnych i – o ile nie zostanie to wymuszone przez czynniki operacyjne – nie będzie użyta w pierwszej fali wojsk atakujących. Jeżeli zaś oddział zostanie użyty bojowo i poniesie straty w wysokości 25 proc., zostanie wycofany do uzupełnienia. Gdyby zaistniała możliwość przerzutu oddziału do Polski, brygada zostanie zwrócona Polakom. Tezy te zostały powtórzone w oficjalnym memorandum z 11 marca 1944 r.

Jako naczelny wódz gen. Sosnkowski miał ostateczną decyzję w kwestii użycia polskich wojsk, ale zdawał sobie sprawę z politycznych napięć. Przesłał więc premierowi Stanisławowi Mikołajczykowi zawiadomienie o piśmie Brytyjczyków z 11 marca wraz z komentarzami. Po stronie pozytywów zaliczał to, że polscy spadochroniarze z pewnością zyskaliby doświadczenie bojowe i sprzęt. Udzielenie wsparcia



eprasa.pl a752d979dc



Poczet sztandarowy 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, lata 1941–1943

Brytyjczykom mogłoby także stanowić kartę przetargową podczas negocjacji w sprawach polskich. Ogólnie jednak gen. Sosnkowski był zwolennikiem oddania brygady pod komendę brytyjską z pewnymi jednak obostrzeniami. Polscy spadochroniarze mieli być skierowani do akcji w drugiej fazie inwazji. Wyjątek miała tu stanowić sytuacja, gdyby alianci stracili rezerwy. W takim wypadku 1 SBS miała służyć jako odwód, ale tylko do czasu poniesienia strat sięgających 15 proc. (Brytyjczycy postulowali 25 proc.). Ponadto brygada zostałaby wycofana z walk w momencie, gdy pojawiłaby się potrzeba jej użycia w Polsce, a strona brytyjska miała dochować wszelkich starań, by zapewnić ku temu niezbędne środki transportowe.

W sprawie użycia 1 SBS gen. Sosnkowski rozmawiał też 14 marca z płk. Sosabowskim. Ogólnie uznał on argumentację Sosnkowskiego. Nie wierzył jednak, że Brytyjczycy wycofają oddział i przerzucą go do Polski. Naczelny wódz przyznał rację płk. Sosabowskiemu. Mimo wątpliwości 17 marca nadeszła informacja, że Rada Ministrów zaakceptowała warunki przekazania 1 SBS pod komendę brytyjską.

Ostatecznie naczelny wódz zdecydował o przekazaniu 1 SBS pod komendę brytyjską pod warunkami, które wcześniej uzgodnił z premierem Mikołajczykiem i płk. Sosabowskim. Gen. Sosnkowski poinformował o tym gen. Grasetta. Propozycja polskiego naczelnego dowódcy była wyważona i stanowiła kompromis między potrzebami obu stron. Rzecz jednak w tym, że Brytyjczycy wcale nie byli zainteresowani kompromisem i rozpoczęli naciski na polskie władze, by te zrezygnowały ze swoich postulatów. 23 marca gen. Grasett poinformował, że polskie warunki zostały odrzucone.

Co ciekawe, 24 marca 1944 r. do gen. bryg. Bronisława Regulskiego, attaché wojskowego polskiej ambasady w Londynie, zgłosił się przedstawiciel brytyjskiego War Office (ministerstwa wojny), ppłk Carlisle. Zaznaczył, że jego misja ma charakter nieoficjalny, ale jednocześnie jest kontynuacją działań podjętych przez gen. Grasetta.

I od tej pory to gen. Regulski stał się jednym z głównych negocjatorów polskiej sprawy z Brytyjczykami. Przedstawiciel War Office stwierdził, że polskie postulaty świadczą o braku zaufania wobec strony brytyjskiej i niebawem Imperialny Sztab Generalny wystosuje oficjalną notę, w której Polacy będą musieli się zdeklarować, czy oddać 1 SBS czynnikom brytyjskim na ich warunkach, czy też obstawać przy warunkach wyrażonych w piśmie naczelnego wodza do gen. Grasetta z 18 marca. Przy czym Brytyjczyk zaznaczył, że Polacy nie mogą liczyć na przerzut sił polskich do kraju ani wycofaniu oddziału po poniesieniu 15 proc. strat. Nie musiał dodawać, że w warunkach braku zgody polskim spadochroniarzom zostaną ograniczone możliwości szkoleniowe i zaopatrzenie, które trafią do alianckich jednostek pierwszego rzutu.

Gen. Regulski replikował, że strona polska oczywiście rozumie motywacje brytyjskie i nikt nie chce zostawiać sojuszników na polu bitwy. Ewentualne wycofanie oddziałów nastąpiłoby dopiero po wykonaniu zadań przewidzianych w ramach działań inwazyjnych. Choć ppłk Carlisle przyjął ten argument, to na niewiele się to zdało. Attaché polskiej ambasady odczuł, że stanowisko brytyjskie było bezkompromisowe i należało się liczyć z tym, że odrzucenie ich żądań zostanie potraktowane jako odmowa udziału Polaków w walce.

Nie były to jedyne wizyty przedstawicieli władz brytyjskich. 28 marca płk Józef Smoleński, drugi zastępca szefa sztabu naczelnego wodza, gen. bryg. Stanisława Kopańskiego, zameldował swojemu przełożonemu, że musiał się mierzyć z silnymi naciskami ze strony gen. Grasetta, marsz. Brooke'a i gen. Montgomery'ego. Smoleński sugerował, by oddać brygadę pod komendę brytyjską, nie stawiając żadnych warunków poza zgodą na jej wycofanie, gdy zajdzie taka potrzeba, i ułatwieniem przerzutu do Polski. Dwa dni potem gen. bryg. Stanisław Kopański odebrał depeszę od ministra obrony narodowej, gen. dyw. Mariana Kukiela. On także sugerował oddanie 1 SBS pod komendę Brytyjczyków.

Poinformowany o tych interwencjach naczelny wódz, który przebywał wówczas we Włoszech na inspekcji 2. Korpusu Polskiego, zdecydował się przychylić do postulatów Smoleńskiego i Kukiela. 1 kwietnia 1944 r. wydał gen. Kukielowi polecenie, by przekazać gen. Montgomery'emu przez gen. Grasetta oświadczenie, w którym raz jeszcze podkreślił, że może oddać 1 SBS pod komendę brytyjską tylko wtedy, gdy uzyska zapewnienie, że oddział zostanie przerzucony przy pomocy Brytyjczyków do Polski. Tłumaczył brytyjskim generałom, że nie może odstąpić od tego postulatu ze względu na potrzeby Polski. Nie chcąc jednak wiązać brytyjskiego dowódcy ograniczeniami w użyciu oddziału, zrezygnował z warunkowania strat. Wyraził nadzieję, że polski oddział będzie tak dowodzony, by minimalizować liczbę poległych

Fot. MPW



eprasa.pl a752d979dc

i rannych. List ten, w odróżnieniu od pozostałych dokumentów, cechujących się swoistą „suchością" treści, został napisany grzecznym i koncyliacyjnym tonem.

## OSTATECZNA ODPOWIEDŹ

Ponownie 6 kwietnia 1944 r. gen. Grasett przekazał, że polskie postulaty zostały odrzucone. Jak stwierdził, dowództwo brytyjskie zaakceptuje jedynie warunki, które zostały przedstawione w piśmie z 11 marca 1944 r. Gen. Grasett domagał się jednoznacznej odpowiedzi na to pismo. Sugerował także wysłanie do gen. Montgomery'ego depeszy, w której raz jeszcze zostanie zaakcentowane zaufanie co do właściwego użycia brygady.

Naczelny wódz potrzebował odrobiny czasu na opracowanie odpowiedzi. 12 kwietnia nakazał wystosować gen. Kukielowi układzony list do gen. Montgomery'ego podany do wiadomości gen. Grasetta, w którym raz jeszcze zapewniono o tym, że Polacy pokładają wielkie nadzieje w gen. Montgomerym. Szef MON zaznaczył, że warunki stawiane przez gen. Sosnkowskiego nie mają na celu utrudniania dowództwu brytyjskiemu użycia oddziału. Chodzi jedynie o to, by 1 SBS zachowała zdolność operacyjną do walki w kraju, gdy zajdzie taka potrzeba.

Tymczasem naczelny wódz, pomny żądań gen. Grasseta odnośnie do odpowiedzi na list z 11 marca 1944 r., zorganizował kolejne konsultacje przed ostatecznym ustosunkowaniem się do zawartych tam postulatów. Odbyły się one 28 oraz 30 kwietnia 1944 r. Brał w nich udział m.in. płk Stanisław Sosabowski.

Tymczasem 1 maja Grasett podczas kolejnego spotkania z gen. Regulskim nalegał na jak najszybsze załatwienie tej sprawy. Regulski jeszcze tego samego dnia skontaktował się ze sztabem naczelnego wodza i otrzymał wiadomość, że list jest opracowywany. Parę godzin później attaché polskiej ambasady został wezwany do gen. Sosnkowskiego. Naczelny wódz przekazał Regulskiemu datowany na 1 maja 1944 r. list, w którym zaświadczył o tym, że polscy żołnierze są gotowi, by walczyć ramię w ramię z sojusznikami. Wyraził więc zgodę na użycie 1 SBS na froncie, prosząc jednak o to, by jednostka nie poniosła strat wykluczających jej użycie w kraju. Dlatego 1 SBS miała nie być użyta w pierwszej fali sił atakujących, chyba że konieczność operacyjna spowoduje inaczej. Brygada miała zostać wycofana po wykonaniu zleconych zadań, by jak najszybciej doprowadzić ją do maksymalnej gotowości bojowej i przerzucenia do Polski.

List naczelnego wodza gen. Regulski miał zamiar przekazać gen. Grasettowi, ale jego akurat nie było. Przekazał go więc jednemu z oficerów sztabu Grasetta, mjr. Phillipsowi, który z kolei obiecał poinformować o wszystkim swojego przełożonego, a ponadto oddać kopię do sztabu 21. Grupy Armii (czyli *de facto* do gen. Montgomery'ego) oraz do War Office.



Żołnierze 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej podczas ćwiczeń, 1944 r.

Mjr Phillips najwyraźniej wykonał swoją obietnicę, bo 6 maja gen. Grasett odbył spotkanie z gen bryg. Regulskim w sprawie listu naczelnego wodza z 1 maja. Brytyjczyk stwierdził, że polskie stanowisko nie wniosło nic nowego do sprawy. Na nic się zdały tłumaczenia Regulskiego, który usiłował jeszcze przekonać swojego rozmówcę o dobrej woli Polaków. Brytyjski oficer łącznikowy był nieprzejednany. Jak stwierdził, gen. Montgomery prędzej zrezygnuje z 1 SBS, niż wykorzysta ją na polskich warunkach.

Podobny wydźwięk miało spotkanie obu oficerów odbyte 16 maja. Tym razem jednak Grasett przekazał, że list naczelnego wodza był omawiany podczas odprawy najwyższych dowódców brytyjskiej armii, w tym marsz. Brooke'a i gen. Montgomery'ego. Gen. Grasett otrzymał zaś polecenie opracowania oficjalnego memorandum zawierającego główne tezy dotyczące ewentualnego zrzutu polskiej brygady w Normandii i przesłania go do wiadomości gen. Sosnkowskiego. Zastrzegł, że odpowiedź na ten list zostanie uznana za obowiązującą w kwestii użycia bojowego 1 SBS. Memorandum trafiło do Polaków 21 maja. Jego treści można było się spodziewać. Brytyjczycy domagali się bezwarunkowego oddania polskiej brygady pod komendę brytyjską.

Otrzymana wiadomość wywołała ożywioną dyskusję w sztabie naczelnego wodza i rządzie RP na uchodźstwie. Już 24 maja zastępca szefa sztabu naczelnego wodza ds. krajowych, gen. bryg. Stanisław Tatar, opowiedział się za bezwarunkowym przekazaniem 1 SBS Brytyjczykom. Podobną opinię wyraził szef sztabu naczelnego wodza, gen. bryg. Stanisław Kopański. Gen. Kazimierz Sosnkowski miał jednak zupełnie inne zdanie. W korespondencji z premierem Stanisławem Mikołajczykiem miał opowiadać się za tym, by 1 SBS wzięła udział w inwazji w Normandii u boku aliantów, ale pod niezmienionymi warunkami. Polski rząd jednak ustami wicepremiera Jana Kwapińskiego zdecydował o przekazaniu polskich spadochroniarzy pod dowództwo brytyjskie bez żadnych zastrzeżeń.

Osamotniony naczelny wódz skapitulował. 6 czerwca 1944 r. wysłał do gen. Grasetta pismo, w którym zawiadomił o oddaniu 1 SBS pod komendę naczelnego dowódcy sprzymierzonych, gen. Dwighta Eisenhowera. Brygada przeszła więc pod dowództwo alianckie. Poprosił o przekazanie tej informacji marsz. Broooke'owi i gen. Montgomery'emu. Grasett odezwał się 14 lipca. Przesłał elegancki list, w którym podziękował obu brytyjskim oficerom. Tego samego dnia Sosnkowski odebrał podziękowania od gen. Eisenhowera.

eprasa.pl a752d979dc

## TUŻ PRZED POWSTANIEM

Wysiłki na rzecz skierowania 1 SBS do kraju odżyły na nowo, gdy 26 lipca 1944 r. dowódca Armii Krajowej, gen. dyw. Tadeusz Komorowski „Bór" zameldował o gotowości do rozpoczęcia powstania. Prosił także, by po rozpoczęciu walki zrzucić polskich spadochroniarzy i zbombardować niemieckie lotniska w rejonie Warszawy.

Wieczorem 27 lipca brytyjski minister spraw zagranicznych, Anthony Eden, przyjął ambasadora RP w Wielkiej Brytanii Edwarda Raczyńskiego. Polski dyplomata poprosił o wsparcie dla powstania, sugerując m.in. przerzut spadochroniarzy. Eden wyraził zrozumienie dla polskich dezyderatów i obiecał je szybko rozpatrzyć. Stwierdził jednak, że sprawa już na początku wydaje się trudna, zważywszy na względy techniczne. Otóż Warszawa leżała poza zasięgiem brytyjskiego lotnictwa bombardującego, a dalekosiężne loty wahadłowe do Europy Wschodniej wykonywali tylko Amerykanie.

Oficjalna odpowiedź miała jednak przyjść później. Tak też się stało. 28 lipca Raczyński otrzymał oficjalne pismo, w którym Brytyjczycy odrzucili polskie postulaty. Jak stwierdzili, operacja zrzutu skutkowałaby wielkimi stratami i byłaby bardzo wymagająca pod względem technicznym. Jej przeprowadzenie było także zależne od zgody Sowietów, którzy uznawali Warszawę za swoją strefę operacyjną i nie byli skorzy do jej udzielenia.

Odpowiedź brytyjskiego urzędnika właściwie kończyła sprawę negocjacji w sprawie lądowania 1 SBS w rejonie Warszawy. Pewne zabiegi na tym polu czynił też ambasador Polski w USA Jan Ciechanowski. On jednak także nie osiągnął sukcesu. Amerykanie uznali, że skoro polskie wojska podlegają operacyjnie pod dowództwo brytyjskie, to rząd USA nie może ingerować w sprawę wysyłki 1 SBS.



Gen. Frederick Browning (w środku, w czapce) podczas wizyty w 1 SBS. Drugi od prawej stoi płk Stanisław Sosabowski, przed 15 czerwca 1944 r.

## STARANIA SZTABU NACZELNEGO WODZA

W tym czasie naczelnego wodza nie było w Londynie. Od 16 lipca przebywał we Włoszech, gdzie wizytował 2. Korpus Polski. Wiadomość dowódcy AK odebrał więc gen. Kopański. 31 lipca poinformował niezwłocznie gen. Sosnkowskiego, prosząc go o wytyczne w sprawie przesłania do Polski spadochroniarzy i użycia lotnictwa. Naczelny wódz, choć uważał, że sytuacja strategiczna i polityczna nie sprzyjała toczeniu walki o Warszawę, odpowiedział gen. Kopańskiemu, że należy udzielić pomocy powstańcom przez zrzuty dokonane przez polskie i brytyjskie lotnictwo. Co więcej, gen. Sosnkowski nakazał gen. Kopańskiemu, by ten odbył rozmowy z Brytyjczykami w sprawie zwrotu 1 SBS pod polską komendę i skierowania do Warszawy.

1 sierpnia 1944 r. w Warszawie rozpoczęło się powstanie. Sytuacja w mieście z każdym dniem stawała się coraz trudniejsza i Bór domagał się wsparcia. W tym celu dowódca AK depeszował do Londynu o przysłanie polskiej brygady spadochronowej. Uważał, że mogłaby ona wylądować w Kampinosie i stamtąd przejść na Wolę, by od tyłu uderzyć na Niemców.

Naczelny wódz wrócił z Włoch 6 sierpnia 1944 r. i odbył wiele spotkań z marsz. Brookiem i innymi wyższymi oficerami brytyjskimi. Przekazał przy okazji depeszę Bora, w której dowódca AK ostrym tonem domagał się pomocy dla Warszawy, niedwuznacznie sugerując, że powstańcy zostali pozostawieni samym sobie przez Wielką Brytanię. Wspomnienie o tym rozsierdziło Brytyjczyków, którzy złożyli oficjalny protest przeciwko (w ich mniemaniu) obrażaniu imperium. Sosnkowskiemu udało się sprawę załagodzić, a z marsz. Brookiem rozstał się w sposób serdeczny. Naczelnemu wodzowi udało się jedynie uzyskać zapewnienie, że brytyjski szef Imperialnego Sztabu Generalnego przychylnie potraktuje sprawę użycia przynajmniej części brygady w Polsce. Później okazało się, że była to obietnica bez pokrycia.

Przez pewien czas rozważano, by bez względu na zgodę aliantów wysłać do Polski choć jedną kompanię spadochronową. Niestety, o całej sprawie dowiedzieli się Brytyjczycy. Zagrozili, że wszystkie samoloty wykonujące nieautoryzowane przez nich loty zostaną zestrzelone. Pomysł więc upadł.

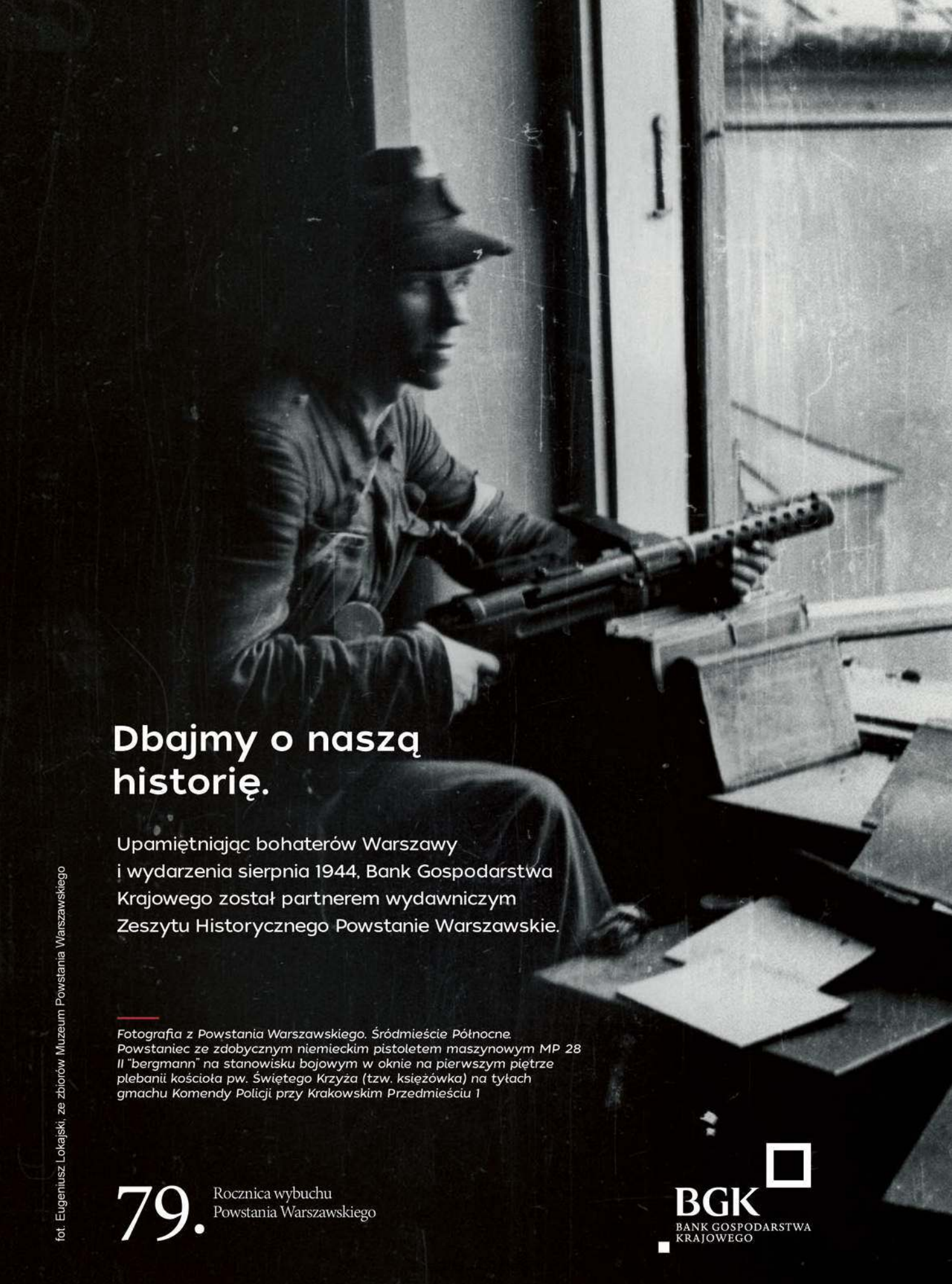
* * *

Żołnierze 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, zamiast wspomóc walczącą Warszawę, wzięli udział w operacji desantowej na terenie Holandii, która przeszła do historii jako Market Garden (17–26 września 1944 r.). Polacy ponieśli podczas niej bardzo duże straty. Później krótko walczyli jako zwykła piechota, nim zostali odesłani do Wielkiej Brytanii celem uzupełnień. Na kontynent przerzucono 1 SBS ponownie w maju 1945 r., by pełniła służbę okupacyjną na terenie Niemiec. Już jednak w 1947 r. oddział został wycofany do Wielkiej Brytanii. 18 lipca tegoż roku jednostka została rozformowana.

Reklama | 30/0723/F



eprasa.pl a752d979dc



# Dbajmy o naszą historię.

Upamiętniając bohaterów Warszawy i wydarzenia sierpnia 1944, Bank Gospodarstwa Krajowego został partnerem wydawniczym Zeszytu Historycznego Powstanie Warszawskie.

*Fotografia z Powstania Warszawskiego. Śródmieście Północne. Powstaniec ze zdobycznym niemieckim pistoletem maszynowym MP 28 II "bergmann" na stanowisku bojowym w oknie na pierwszym piętrze plebanii kościoła pw. Świętego Krzyża (tzw. księżówka) na tyłach gmachu Komendy Policji przy Krakowskim Przedmieściu 1*

fot. Eugeniusz Lokajski, ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

79. Rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

# Moje serce w Warszawie



***Z Piotrem Blakiem**, muzykiem, gitarzystą zespołu Sorry Boys, współautorem płyty „Moje serce w Warszawie”, wydanej z okazji 79. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

***Od kiedy godzina W stała się dla pana – także prywatnie – tak ważna?***

***Piotr Blak:*** O Powstaniu Warszawskim babcia Danusia opowiadała mi od 40 lat. Odkąd pamiętam, słyszałem od niej o ogromnej miłości do pierwszego męża, Janka Kluczewskiego „Krawczyka”, który był żołnierzem 3. plutonu kompanii Koszta. Przez całe życie niemal tymi samymi słowami mówiła mi o dziadku i o swoich braciach ciotecznych – Witku i Jacku Gosławskich. We trzech służyli w Koszcie. Przyjaźnili się, walczyli i razem zginęli – 6 września 1944 r. Działo kolejowe uderzyło wtedy w sztab Koszty, który znajdował się u styku ulic Moniuszki i Sienkiewicza.

***Kompania Ochrony Sztabu Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej „Koszta” to jeden z mniej znanych oddziałów powstańczej Warszawy.***

Uważam, że niesłusznie. Dam przykład: 20 sierpnia 1944 r. doszło do udanego ataku na PAST-ę (pierwszy warszawski wysokościowiec należący do Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej). W obiegowej opinii sukces wspomnianego ataku przypisuje się batalionowi Kiliński, tymczasem Kilińskiego wspierała Koszta. Jej żołnierzem był też słynny fotograf Powstania Warszawskiego Eugeniusz Lokajski „Brok”. Niestety, dziadek nie znalazł się na żadnym z odnalezionych zdjęć.

Ale wciąż szukam. Podobnie jak od siedmiu lat oficjalnie zajmuję się odnajdywaniem rodzin żołnierzy Koszty. Skupiłem wokół siebie sporą grupę ich potomków. Na facebookowym profilu „Spadkobiercy Żołnierzy Kompanii Koszta” na bieżąco informuję o kolejnych działaniach.

Koszta liczyła ok. 160 osób. W pojedynkę udało mi się dotrzeć do 80 kilku rodzin. Spisane wspomnienia przekazuję do Muzeum Powstania Warszawskiego. W ub.r. za swoje starania otrzymałem statuetkę Bohaterona. W br. na zaproszenie muzeum stworzyliśmy z zespołem Sorry Boys płytę „Moje serce w Warszawie”, wydaną z okazji 79. rocznicy godziny W. Są na niej nawiązania do powstańczej historii mojej rodziny.

***Jaki impuls sprawił, że z muzyka i słuchacza wojennych opowieści stał się pan tropicielem powstańczej przeszłości?***

Osiem lat temu babcia przekazała mi swoje skarby: listy z poczty powstańczej, termos zostawiony przez dziadka na Wspólnej 16 m. 1 (gdzie mieszkała z moją mamą, wtedy dziewięciomiesięczną) i najbardziej wzruszającą pamiątkę – uszkodzoną przez ogień powstańczą legitymację dziadka. Po roku od jego śmierci we wrześniu 1945 r. babcia – mając za sobą wiele miesięcy poszukiwań – odnalazła ciało dziadka. W jednej kieszeni miał legitymację, w drugiej ciastka, które dała Jankowi moja prababcia. Ona sama zginęła dwa dni po śmierci zięcia, kiedy szła po mleko dla mojej mamy.

***Które warszawskie miejsca wiążą się dla pana z Kosztą?***

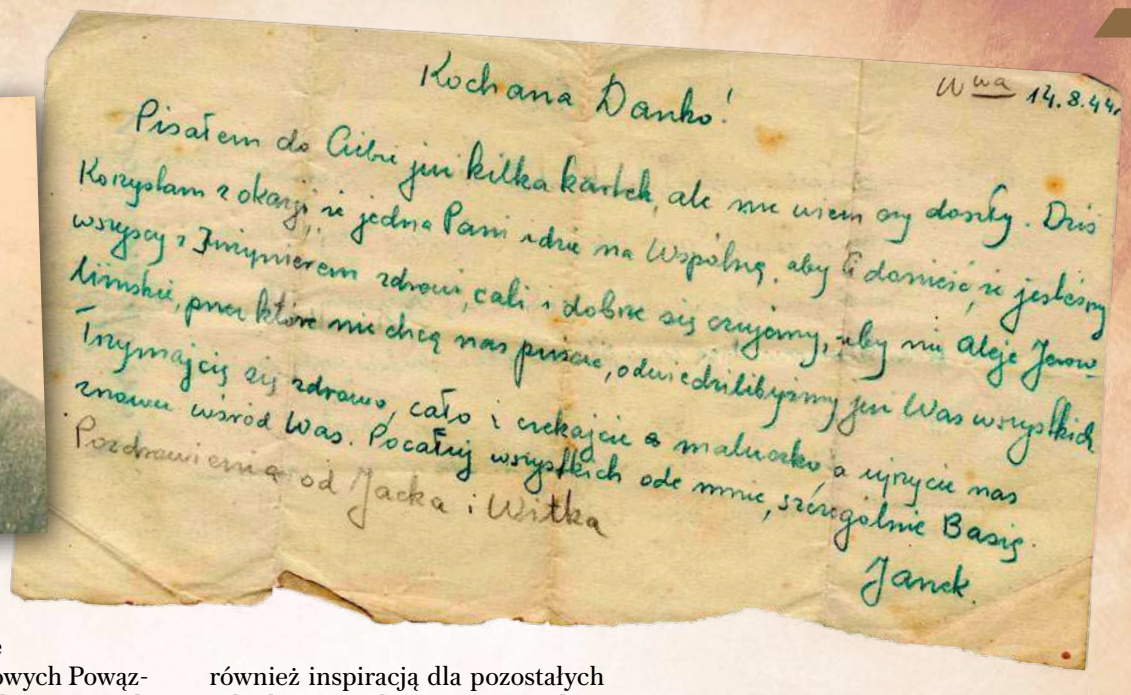
Zawsze 1 sierpnia, o godzinie 16, tuż przed godziną W, spotykamy się

Zdjęcia: archiwum prywatne



eprasa.pl a752d979dc





Kochana Danko!

Wwa 14.8.44

Pisałem do Ciebie już kilka kartek, ale nie wiem czy dotarły. Dziś korzystam z okazji, że jedna Pani idzie na Wspólną, aby Ci donieść, że jesteśmy wszyscy z Janinierem zdrowi, cali i dobrze się czujemy, żeby nie ulegać Jarowi [illegible] które nie chcą nas puścić, odwiedzilibyśmy już Was wszystkich. Trzymajcie się zdrowo, cało i czekajcie a malusiku a wtedy nas znowu wśród Was. Pocałuj wszystkich ode mnie, szczególnie Basię. Pozdrowienia od Jacka i Witka

Janek.

z rodzinami żołnierzy Koszty – a przychodzi już na nie trzecie pokolenie – na Wojskowych Powązkach. Znajduje się tu zbiorowy grób – mojego dziadka oraz sześciu innych żołnierzy kompanii. To także symboliczna mogiła Koszty.

W opowieściach babci bardzo często pojawiał się też kościół św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Wspominała, że dziadek z chłopcami (jak nazywała braci ciotecznych) walczył o tę świątynię. Kiedy już jako dojrzały człowiek zacząłem wędrować powstańczymi śladami dziadka, odnalazłem w św. Krzyżu tablicę pamiątkową poświęconą Koszcie. Wśród innych zostały na niej również wyryte nazwiska dziadka oraz Witka i Jacka.

Jestem szczęśliwy, że w teledysku nakręconym do tytułowego utworu płyty „Moje serce w Warszawie", upamiętniliśmy kompanię Koszta, pokazując zarówno tablicę z kościoła św. Krzyża, jak i tablicę, która została wmurowana z okazji 50. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego przy ul. Sienkiewicza. Jednak najcenniejsze pozostają ślady pamięci, które udało się nam utrwalić także na naszej najnowszej płycie.

***O jakich śladach mowa?***

Tych moich rodzinnych, o których już wspominałem, i tych, które pojawiły się, gdy zacząłem interesować się historią Koszty. Sprawiły, że na długo przed otrzymaniem zaproszenia od Muzeum Powstania Warszawskiego myślałem o nagraniu płyty. Stały się również inspiracją dla pozostałych członków zespołu Sorry Boys (w którym jestem gitarzystą i instrumentalistą) – wokalistki Beli Komoszyńskiej i gitarzysty Tomasza Dąbrowskiego.

***Powiedzmy o tych inspiracjach.***

Dziadek wysyłał do babci powstańcze listy. Kiedy już pracowaliśmy nad płytą, przekazałem Beli dwa z nich. Z 14 sierpnia 1944 r.: „Kochana Danko, pisałem już do ciebie kilka kartek, ale nie wiem, czy dotarły". I otrzymany dwa dni później, skierowany do ojca babci: „Borowski, szykuj litra". Oni mieli nadzieję, że to się szybko i zwycięsko skończy.

Bela w przepiękny sposób stworzyła z tych zapisków poruszającą piosenkę pt. „Jan". Na początku i na końcu utworu pojawia się głos mojej babci, która najpierw opowiada, jak bardzo była zakochana w swoim Janku, a potem mówi, że po jego śmierci jej życie się skończyło.

Na płycie jest dziewięć utworów. Cztery z nich wykonują zaproszeni przez nas goście, m.in. Natalia Szroeder („Świątynia" do tekstu Zuzanny Ginczanki) i Robert Gawliński („Dzień dobry").

***Nie tylko goście muzyczni zostali uwiecznieni w waszym projekcie.***

Zaproszenie do nagrania teledysku (jego autor Maciej Puczyński jest wnukiem Janiny Bobowskiej „Isi", która walczyła z moim dziadkiem w tym samym oddziale Koszty) przyjęły trzy wspaniałe kobiety. To powstańcza łączniczka Halina Rogozińska „Mała", Anna Helena Kurek (która w Archiwum Historii Mówionej stwierdza w pierwszym zdaniu: „W czasie powstania byłam panienką, po prostu dzieckiem") oraz Zofia Czekalska „Sosenka", sanitariuszka zgrupowania Chrobry II, która chwilę temu świętowała swoje 100. urodziny.

Panią Zofię udało się nam sfilmować w trakcie tradycyjnego pikniku „Korzenie pamięci", organizowanego przez MPW dla rodzin powstańców, Halinę Rogozińską i Annę Kurek odwiedziłem w ich domach. Pod koniec tytułowego utworu „Moje serce w Warszawie" pani Halina śpiewa frazę refrenu, a na koniec spontanicznie mówi to, co również nam w duszy gra: „To jest cała prawda: moje serce w Warszawie".






eprasa.pl a752d979dc

# PROGRAM OBCHODÓW 79. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

***21 lipca – 7 sierpnia***
„Pamięć »W« kadrze"
Piąta edycja konkursu fotograficznego na najlepsze zdjęcie wykonane podczas obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.
Regulamin konkursu na: 1944.pl
Fotografie należy wysłać na: foto@1944.pl

***29 lipca** • sobota*
godz. 15.00
Apel rozpoczynający Zlot Harcerski „Ramię w ramię" w 79. rocznicę Powstania Warszawskiego
Baza zlotu, Wybrzeże Gdyńskie

godz. 18.00
Msza święta z udziałem powstańców, harcerzy i warszawiaków
Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

***30 lipca** • niedziela*
godz. 11.00
Spotkanie powstańców warszawskich z prezydentem RP Andrzejem Dudą i prezydentem m.st. Warszawy Rafałem Trzaskowskim
Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

***1 sierpnia***
***wtorek***
**godz. 10.00**
Podniesienie na maszt flagi państwowej, rozpalenie „Ognia pamięci" i włączenie iluminacji pomnika na 63 dni
Uroczystości pod pomnikiem Mokotów Walczący 1944 w parku gen. Gustawa Orlicz-Dreszera

**godz. W**
**Oddanie hołdu powstańcom przy pomniku Gloria Victis**
Cmentarz Wojskowy na Powązkach

**godz. 17.00**
„Wolność łączy" – akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego na terenie całej Warszawy

**godz. 18.30**
Uroczystość złożenia kwiatów na kurhanie, w którym znajdują się prochy ponad 100 tys. mieszkańców stolicy i ich powstańczego wojska. Modlitwa ekumeniczna przy pomniku Polegli Niepokonani
Cmentarz Powstańców Warszawy na Woli

**godz. 20.30**
„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki" – wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokłosy
Pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego
*Śpiewniki do pobrania na: 1944.pl*
*Wydarzenie transmitowane w TVP1 i na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku*

**godz. 24.00**
Uroczysta premiera spektaklu teatralnego „Cisza" w reż. Michała Zadary
Występują: Barbara Wysocka, Jacek Poniedziałek, Rafał Stachowiak, Mariusz Zaniewski
Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego
**Wstęp z zaproszeniem**

***2 sierpnia** • środa*
godz. 9.00
Apel kończący Zlot Harcerski w 79. rocznicę Powstania Warszawskiego
Baza zlotu, Wybrzeże Gdyńskie, obok Centrum Olimpijskiego

godz. 18.00
Wernisaż wystawy „Podróż bohaterek. Powstanie kobiet"
Baza zlotu, Wybrzeże Gdyńskie, obok Centrum Olimpijskiego
Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego **Wstęp z zaproszeniem**

***3–6 sierpnia** • czwartek–niedziela*
godz. 20.00
Spektakl teatralny „Cisza" w reż. Michała Zadary
Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego Ograniczona liczba uczestników
Bilety do nabycia w kasie MPW oraz na: bilety.1944.pl i eventim.pl

***5 sierpnia** • sobota*
godz. 18.00
Uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli
Przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944, skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności

godz. 19.00
Marsz Pamięci – uroczyste przejście w kierunku cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego – w trakcie marszu będą wyczytywane ich nazwiska
Początek na skwerze Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności

godz. 20.30
Zakończenie Marszu Pamięci – zapalenie zniczy na kurhanie przy pomniku Polegli Niepokonani i na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci" poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego
Park Powstańców Warszawy

***6 sierpnia** • niedziela*
godz. 17.00
Masa Powstańcza – przejazd rowerami szlakiem II Obwodu Żoliborz
Start: park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego
Wstęp wolny. Udział po rejestracji na: rejestracja.1944.pl

***2 października** • poniedziałek*
godz. 18.00
Uroczystość zakończenia obchodów 79. rocznicy Powstania Warszawskiego. Opuszczenie flagi państwowej, przeniesienie „Ognia pamięci" do Grobu Nieznanego Żołnierza, wyłączenie iluminacji pomnika Mokotów Walczący 1944
Park gen. Gustawa Orlicz-Dreszera

**CENTRUM INFORMACYJNE**

**Z myślą o powstańcach warszawskich, warszawiakach oraz turystach od 26 lipca do 2 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego działa centrum obchodów 79. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.**

**Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00. Budynek C, Muzeum Powstania Warszawskiego, ul. Grzybowska 79, tel. (+48) 22 376 68 37, (+48) 22 539 79 36.**

*Dodatek przy współpracy MPW przygotowali Andrzej Skwarczyński i Tomasz Ozdowy*

eprasa.pl a752d979dc

Reklama | 4/0723/F

20 lat LINK4 LOTERIA

# KUP OC LUB OC/AC

# I WYGRAJ TOYOTĘ YARIS CROSS

# LUB BON PALIWOWY




## ZADZWOŃ 22 4444 444,

## SPRAWDŹ U AGENTA LUB NA www.link4.pl

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Szczegóły i regulamin loterii dostępne na www.loterialink4.pl. Organizatorem loterii jest Smolar Agencja Promocyjno-Reklamowa Sp. z o.o. W loterii mogą wziąć udział osoby fizyczne, które kupią polisę OC lub OC+AC na okres 12 miesięcy (z wyłączeniem polis zawartych na podstawie OWU Mini Flot Samochodowych) w okresie od 1.06.2023 do 31.08.2023, opłacą polisę w całości lub opłacą w terminie wszystkie wymagane raty składki wynikające z oferty oraz zarejestrują się na stronie www.loterialink4.pl. W loterii do wygrania są 2 samochody Toyota Yaris Cross Hybrid wraz z voucherem LINK4 na ubezpieczenie oraz 260 kart paliwowych ORLEN o wartości 400 zł.

eprasa.pl a752d979dc



# Wyścig do sławy

*Ludzie zawsze mieli skłonność do popisywania się przed innymi, ale dopiero dzięki internetowi można było zacząć popisywać się przed ogromną, niekiedy wielomilionową widownią. Dlatego rozpoczęła się rywalizacja na łamanie norm, zasad, na prostactwo i wulgarność. W tej rywalizacji wygrywa ten, kto pójdzie jeszcze dalej, kto przekroczy kolejną granicę*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rozpocznę od sytuacji, z którą pewnie miało do czynienia wielu kierowców. Trzeba zaparkować pod domem, niestety – większość wolnych miejsc jest już dawno zajęta. Wciskam się więc w jedyny pusty skrawek tuż przy wylocie bocznej uliczki. Po jakimś czasie przychodzi mandat – nie zachowałem przepisowej odległości od skrzyżowania. Kolejna historia. Wyprzedzam skuter na jednej z warszawskich ulic. Robię to ostrożnie. Nagle jednak błyska fotoradar. Okazuje się, że podczas tego manewru przekroczyłem dozwoloną prędkość o równe 10 km/h.

Nie protestuję. Płacę pokornie, bo naruszyłem przepisy. Irytuje mnie za to co innego. Że w tym samym czasie, gdy ja zostałem ukarany mandatem, tuż obok mojego domu odbywają się regularne wyścigi. Rozpędzone auta i motocykle z ogłuszającym łoskotem pędzą z prędkością sięgającą niekiedy 200 km/h. I nikt z tym nic nie robi. Co więcej – przy jednej z tych ulic, na której codziennie dochodzi do wyścigów, znajduje się Komenda Główna Policji. Rajdowcy amatorzy mijają też dzielnicowy komisariat. Nigdy jednak nie zauważyłem, by policja nadmiernie się tym przejmowała, choć nie mogę wykluczyć, że jakieś akcje były przeprowadzane. Ale jeśli nawet, to widocznie mało skutecznie.

Praktycznie nie ma bowiem tygodnia, zwłaszcza latem, by w tej okolicy nie dochodziło do groźnych wypadków. W ciągu jednego miesiąca naliczyłem aż cztery, z tego jeden śmiertelny, gdy rozpędzony motocyklista wbił się w skręcającą furgonetkę. W pozostałych przypadkach szczęśliwie obyło się bez trupów, choć rozbite auta rzuciło na przystanki autobusowe. Była też jedna połamana latarnia oraz sygnalizacja na przejściu dla pieszych. I nie mówimy tu o autostradzie pod miastem, ale o ruchliwych miejskich ulicach prowadzących wprost do ścisłego centrum Warszawy.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że obowiązują u nas dwa standardy. Jeden dla zwykłych obywateli, którzy muszą ponosić – i słusznie – konsekwencje naruszania przepisów, oraz drugi dla jakiejś kasty nietykalnych, którzy wszystkich i wszystko mają gdzieś, bo uważają, że żadne normy ich nie obowiązują, a prawo jest wyłącznie dla plebsu i frajerów. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że nie buduje to autorytetu państwa, przeciwnie – tak ostentacyjne kpiny z przepisów wywołują poczucie niesprawiedliwości oraz powszechne przekonanie, że niektórym (w domyśle bogatszym i bardziej uprzywilejowanym) wolno znacznie więcej.

## JACEK MASUJE DAGMARĘ

Ten społeczny odruch niechęci do rozbestwionych swoją bezkarnością

Fot. DANIEL CONSTANTE/Shutterstock.com, Shutterstock



eprasa.pl a752d979dc

gogusiów dał się mocno zauważyć po głośnym wypadku w centrum Krakowa, gdy według ustaleń policji nawalony młodzian, pędząc przez krakowskie aleje (a każdy, kto zna Kraków, wie, że to jedno z ostatnich miejsc, gdzie powinno się wciskać pedał gazu), w pewnej chwili wyleciał z drogi, przekoziołkował po schodach i wbił się w balustradę przy nadwiślańskich bulwarach, zabijając przy tym siebie i trójkę swoich kompanów.

Domorosły rajdowiec był synem niejakiej Sylwii Peretti, celebrytki, która – jak piszą media – zdobyła popularność dzięki udziałowi w programie o wymownej nazwie „Królowe życia" opowiadającym o „luksusowym życiu" swoich bohaterek. O luksusowym, czyli o jakim? Rąbka tajemnicy uchylają tytuły zwiastunów programu zamieszczone w internecie. Oto mała próbka: „Jacek chciał wymasować Dagmarę". Albo „Dagmara odkryła, że Jacek ją okłamywał". Na pierwszy rzut oka jest to tandetny reality show, którego bohaterowie, wyglądający jak naturszczycy zwerbowani pod prowincjonalną mordownią, przesiadują na złotych fotelach w apartamentowcu i przeżywają tam swoje życiowe problemy w rodzaju wizyty na siłowni lub u kosmetyczki, kalecząc przy tym niemiłosiernie rodzimy język. Program, co warto zauważyć, był nadawany (bo chyba już nie jest) przez stację TTV należącą do grupy TVN, co skądinąd sporo nam mówi o poziomie widowni tego nadawcy.

Wracając jednak do krakowskiego kierowcy rajdowca, był on znany podobno od dawna z zamiłowania do szybkiej jazdy, jak elegancko określa się chuligańską i potencjalnie zabójczą brawurę na drodze, oraz chwalił się swoimi osiągnięciami w mediach społecznościowych. Odziedziczył to najwyraźniej po swojej słynnej mamie, która – co można zobaczyć w internecie – najpierw przytulała się zalotnie do szybkich aut, a potem wsiadała za ich kierownicę i pędziła autostradami z zawrotną prędkością. Pod filmikiem pokazującym jak śmiga 270 km/h (!), napisała, że zamierza zdjąć z silnika blokadę prędkości, bo – jak można z tego wywnioskować – to ciągle zbyt mało. Rzecz jasna, pani Peretti nie spotkały za to żadne konsekwencje prawne, a w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Nic dziwnego, że taka bezkarność prowokuje rzesze naśladowców. Ostatnio można było obejrzeć w internecie film, na którym policjantka upomina szaleńca pędzącego 200 km/h remontowaną Trasą Łazienkowską. Jedynie upomina.

## JAKA WIDOWNIA, TAKI IDOL

Po głupiej śmierci młodego Perettiego na niego i jego matkę wylały się w internecie tony hejtu. Podobno nawet zniszczono jego nagrobek. Trudno takie zachowania akceptować, ale po raz kolejny świadczą one o tym, że zwykli ludzie mają bardzo ambiwalentny stosunek do celebrytów i ich próżniaczego życia. Z jednej strony interesują się nim, niektórzy może nawet go zazdroszczą, ale z drugiej – pogardzają po trochu celebrytami, widząc, jak od nadmiaru popularności i bogactwa uderza im woda sodowa do głów. I jak nagle celebryci, zazwyczaj przecież nieposiadający żadnych kwalifikacji, szerszej wiedzy ani nawet rozumu, zaczynają uważać się za lepszych od innych, za elitę, która nie tylko w pełni zasłużyła na komfortowe życie, ale która również podlega odmiennym regułom.

> Wojewódzki nie odbiega wiele od poziomu pani Peretti. Uwielbia pokazywać się w drogich, luksusowych autach. Widać, że w ten sposób dowartościowuje się w oczach swojej widowni

Żeby nie szukać daleko, weźmy kolegę po fachu pani Peretti, gwiazdę TVN Kubę Wojewódzkiego. Wojewódzki jest ulubieńcem nieco innego segmentu widzów niż pani Peretti. To idol podstarzałych lemingów, którzy już się dorobili, awansowali społecznie i dziś nie zrobi na nich wrażenia złoty fotel w apartamentowcu, na którym Jacek masuje Dagmarę. Nie zmienia to jednak faktu, że Wojewódzki podobnie jak jego widownia nie odbiega wiele od poziomu pani Peretti. Uwielbia pokazywać się w drogich, luksusowych autach, a to w ogromnym dżipie, którego koło jest większe od właściciela, a to w sportowym lamborghini. Widać, że sprawia mu to przyjemność i że w ten sposób dowartościowuje się w oczach swoich równie mało wyrafinowanych miłośników, dla których sensem życia jest – jak się zdaje – duża kasa, dobre autko i seks z młodą sekretarką na biurku. Wojewódzki lubi też wcisnąć gaz, na co mogą wskazywać zamieszczone przez niego w internecie zdjęcia, z których wynika, że w kwietniu 2021 r. miał gnać w ferrari przez Warszawę z prędkością 250 km/h. Należy tu zauważyć, że akurat ten rajd dzięki aktywistom miejskim trafił do sądu. Krótki przegląd informacji w mediach wskazuje, że wyroku w tej sprawie nie ma i różnie może jeszcze być. W końcu Beata Kozidrak, która pijana prowadziła auto, została skazana wyłącznie na grzywnę, bo w ocenie wolnego sądu ma zasługi dla polskiej kultury, więc podlega – jak można rozumieć – innym regułom niż zwykły obywatel.

Wojewódzkiemu w przypadku udowodnienia mu winy wolny sąd też znajdzie pewnie jakieś zasługi, choć chyba trudno będzie wykazać jakikolwiek jego związek z kulturą. Zapytany ostatnio o to, kiedy odda odsetki ludziom, którzy zainwestowali w promowany przez niego biznes alkoholowy Palikota, odparł ze swojego lamborghini „spier...laj!". Nie sposób nazwać to odpowiedzią człowieka kulturalnego. To raczej reakcja charakterystyczna dla źle wychowanego prostaka.



eprasa.pl a752d979dc

## FALA PROSTACTWA

Niestety, ludzi na poziomie mamy w Polsce (i nie tylko w Polsce) coraz mniej, a w każdym razie dali się oni zepchnąć agresywnemu prostactwu do podziemia. Niby wzdychamy do dawnych czasów, gdy obowiązywały dobre maniery, kultura, a erudycja i wiedza były przepustkami do wyższych sfer. W rzeczywistości jednak większość społeczeństwa zaakceptowała świat, w którym obowiązują zupełnie odwrotne reguły. Przestrzeganie zasad, myślenie wspólnotowe uchodzi dziś za frajerstwo, a przynajmniej za coś egzotycznego. O pozycji społecznej decyduje raczej cwaniactwo, egoizm i nieliczenie się z innymi, a popularność zdobywa się wulgarnością i prostactwem. Im większy cham i im poważniejsze złamanie reguł, tym większy fejm.

Przyczyn tego stanu rzeczy można szukać w wielu miejscach. Jedni wskażą na skutki zmian społecznych z okresu PRL, gdy awansowano uległych politycznie, kolaborujących z reżimem lumpów, którzy w kolejnych pokoleniach zastąpili dawną elitę. Inni uzupełnią, że po upadku komuny swojej szansy w życiu zaczęli szukać potomkowie chłopskich rodzin, którzy po wyrwaniu się z rodzinnych stron porzucili dawne zwyczaje i religię, a gdy tylko wzbogacili się, to zaczęli gorliwie nawracać się na nowoczesność w takiej formie, w jakiej ją im serwowało nowe otoczenie. Z takich bardzo powierzchownie oświeconych, zwłaszcza intelektualnie, nuworyszów, zrodziła się klasa lemingów. Niezbyt wyrafinowanych, niezbyt cywilizowanych, ale za to wystarczająco bogatych, by narzucać innym swoje reguły życia. Reguły egoistyczne i prostackie.

To jednak tylko część prawdy, bo zmiany społeczne mają znacznie szerszy charakter i nie ograniczają się wyłącznie do Polski. Destrukcyjną rolę odegrały przede wszystkim media społecznościowe, które rozpowszechniły zupełnie nowy, narcystyczny model zachowań.

Ludzie zawsze mieli skłonność do popisywania się przed innymi, ale dopiero dzięki internetowi, można było zacząć popisywać się przed ogromną, niekiedy wielomilionową widownią. Dlatego rozpoczęła się rywalizacja na łamanie norm, zasad, na prostactwo i wulgarność. W tej rywalizacji wygrywa ten, kto pójdzie jeszcze dalej, kto przekroczy kolejną granicę. W świecie Instagramów i TikToków nie istnieją żadne reguły (może tylko poza ściśle przestrzeganą polityczną poprawnością), nic więc dziwnego, że zalewa nas dzisiaj fala prostactwa.

## ŚMIERĆ INTELIGENTA

Prostactwo zawsze istniało w świecie i zawsze miało w nim liczebną przewagę. W poprzednich epokach nie miało jednak przewagi ekonomicznej.

> Połączenie mentalnego prostactwa z pieniędzmi daje siłę, a to prowadzi wprost do zagłady kultury. Na tym właśnie polega największy problem, który nabrał już cywilizacyjnego wymiaru

Na tym właśnie polega największy problem, który nabiera już cywilizacyjnego wymiaru. Bo połączenie mentalnego prostactwa z pieniędzmi daje siłę, a to prowadzi wprost do zagłady kultury.

Pod koniec XIX w. amerykański socjolog Thorstein Veblen wprowadził do języka pojęcie klasy próżniaczej rozumianej jako zbiorowisko bogatych ludzi nastawionych na ostentacyjną konsumpcję. I choć można znaleźć pewne podobieństwa między tamtą epoką a dzisiejszą – choćby w kwestii gwałtownie rosnącej koncentracji kapitału – to istnieją też zasadnicze różnice. Ówczesna klasa próżniacza była nieco wyższych lotów niż obecna i musiała przestrzegać kulturowych norm, a poza tym nie dysponowała internetem, dzięki czemu jej próżność miała ograniczony zasięg.

Dziś z kolei próżniak epatuje swoją konsumpcją na cały świat, celowo drażniąc swoją widownię, która z jednej strony widzi w tym niesprawiedliwość, ale z drugiej – zazdrości i próbuje zachowywać się podobnie. Skoro bogata celebrytka pokazuje swoje puste życie na TikToku, to natychmiast znajduje masę naśladowczyń, które również chcą zażyć przepychu. To dlatego mnóstwo młodych dziewcząt nagrywa filmiki, na których plotą głupoty i starają się wyglądać o kilka lat bardziej dojrzale, niż wynika to z ich metryk. Bo może ktoś je zauważy i da im upragnione życie w luksusie.

Dotyczy to także młodych mężczyzn, w tym tych, którzy rozbijają się w autach, bo chcą pokazać, jacy z nich twardziele. Oraz tych, którzy podejmują się wykonywania coraz głupszych wyzwań, by zgromadzić przy smartfonach jak najszerszą publikę oraz stać się dzięki niej bogatymi i popularnymi.

Nie ma tu miejsca na jakąkolwiek finezję, wiedzę i erudycję. Tym nie zdobędzie się widowni i sławy. Inteligent przegrywa także dlatego, że został nauczony przestrzegania norm, a wszelka ostentacja i brak umiaru czy to w kwestiach majątkowych, czy choćby w koncentrowaniu się na sobie i własnych osiągnięciach uchodzi u niego za przejaw braku kultury. Jego miejsce zajmuje więc żyjący własnym życiem, antywspólnotowy cham, którego pozycję wyznaczają wyłącznie pieniądze i który jest przekonany, że w związku z tym cały świat należy tylko do niego. Mamy tu do czynienia ze szczególnego rodzaju darwinizmem, gdzie wygrywają jednostki najbardziej brutalne, prymitywne i pozbawione zasad.

Najbardziej niepokojąca jest jednak promocja takich jednostek, pokazywanie ich w mediach jako wzorów do naśladowania. Współczesny liberalizm – bo to on za to głównie odpowiada – przyjmuje na naszych oczach coraz bardziej zdegenerowaną formę. Wyzwalając ludzi z rzekomo krępujących ich przesądów i norm, zamienia ich w dzikich barbarzyńców. To już widać wszędzie: na ulicy, w życiu publicznym, w internecie. Czy naprawdę chcemy takiego świata?



eprasa.pl a752d979dc



# Kraina lęków

*Niemiecki przemysł podupada. Firmy uciekają za granicę, do USA i Chin, a społeczeństwo dotychczasowego państwa dobrobytu z obawą patrzy w przyszłość*

„Dla wielu ludzi na świecie Niemcy są krajem nadziei. Nasze otwarte, liberalne i świeckie społeczeństwo obiecuje życie w wolności i bezpieczeństwie. Imigracja jest nową niemiecką rzeczywistością, którą należy kształtować. Potrzebna jest teraz pragmatyczna polityka, która dokładnie rozważy ryzyko, ale jednocześnie uzna możliwości, które oferuje imigracja. Niemcy mogą sprostać globalnym wyzwaniom, a także czerpać z nich korzyści. Jestem optymistą i pozytywnie patrzę na przyszłość naszego kraju. […] Jeśli teraz wytyczymy kierunek, Niemcy i Europa mogą oczekiwać czasów pełnych nadziei”.

Brzmi ładnie, prawda? Tak pisał o Niemczech w 2017 r. kanclerz



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Olaf Scholz w swojej książce „Hoffnungsland” (Kraj nadziei). Tyle że wówczas nie był jeszcze kanclerzem, tylko burmistrzem Hamburga, a losami republiki federalnej kierowała „teflonowa” Angela Merkel. Od kryzysu migracyjnego minęły wtedy dwa lata i wydawało się, że maksyma pani kanclerz „Damy radę!” się spełni. Niemcy odnotowały wzrost PKB ósmy rok z rzędu, a budżet państwa miał rekordową nadwyżkę w wysokości 38,4 mld euro. Rzeczywiście były powody, by patrzeć optymistycznie w przyszłość.

## DWIE PUŁAPKI

Ale potem nastąpiła pandemia COVID-19 i rosyjska agresja na Ukrainę. Dotychczasowa niemiecka strategia budowania dobrobytu nazywana przez niektórych ekspertów „pompą despotów” (Despotenpumpe) – zasysanie tanich rosyjskich surowców, produkowanie na ich podstawie wysokiej jakości towarów przemysłowych, a następnie sprzedawanie tych towarów z dużymi zyskami na chińskim rynku – dobiegła końca. (Niemieckie

Fot. Shutterstock



eprasa.pl a752d979dc

koncerny samochodowe co trzecie auto sprzedają w Państwie Środka). Na niemiecki PKB pracowali po 1989 r. podwykonawcy w Europie Środkowo-Wschodniej, w konsekwencji w Niemczech jednostkowe koszty pracy spadły o 30 proc. w latach 1995–2012, podczas gdy produktywność niemieckich koncernów wzrosła o 20 proc. Euro uczyniło z republiki federalnej mistrza eksportu, a Waszyngton zapewniał Berlinowi niskim kosztem parasol bezpieczeństwa. Zaoszczędzone w ten sposób środki niemieckie rządy inwestowały w zabezpieczenia socjalne.

„Niemiecki model już nie działa. Jest w kryzysie, który wojna na Ukrainie tylko zaostrzyła. Żaden inny kraj przemysłowy nie jest tak zależny od handlu jak Niemcy. To, co kiedyś było zaletą, zamieniło się w niebezpieczną zależność. Bo handel światowy nie rośnie, przeciwnie. Mówi się w tym kontekście o spowolnieniu globalizacji (Slowbalisation), a nawet deglobalizacji" – podkreślił redaktor naczelny „Handelsblatt" Sebastian Matthes na łamach gazety. Popyt na niemieckie towary, także samochody, w Chinach spada, niemieckie koncerny motoryzacyjne są daleko w tyle za chińskimi w kwestii elektromobilności. Państwo Środka stało się także drugim eksporterem samochodów na świecie po Japonii, a chińscy producenci mają dziś większy udział w rodzimym rynku niż niemieccy. Ponadto wysoki udział przemysłu w niemieckiej gospodarce (23 proc.) powoduje, że kryzys energetyczny jest szczególnie bolesny, spotęgowany jeszcze nagłym wyjściem z atomu. „Niemcy wpadły w dwie pułapki naraz: chińską i energetyczną" – dodał Matthes.

## ZIELONY CUD

Olaf Scholz ogłosił Zeitenwende, epokową zmianę, kilka dni po rosyjskiej agresji w równie wzniosłym tonie, w jakim perorował pięć lat wcześniej o sprostaniu globalnym wyzwaniom. Ta epokowa zmiana (w tym dywersyfikacja źródeł energii połączona z zieloną transformacją energetyczną) jest wciąż w toku, prowadzona w sposób jak najbardziej zachowawczy. W maju kanclerz Scholz obiecał Niemcom nawet nowy (zielony) cud gospodarczy, na wzór tego z lat 50. i 60. XX w. Jak na razie koszty zielonej transformacji są jednak ogromne i Niemcy jako społeczeństwo zaczynają je odczuwać. Kraj pogrążył się w recesji. Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego niemiecka gospodarka skurczy się w tym roku o 0,3 proc. Instytut ds. Badań nad Gospodarką (Ifo) w Monachium donosi o ponurych nastrojach w przedsiębiorstwach.

> Nie tylko słabość gospodarki i koszty zielonej transformacji są źródłem zmartwień dla Niemców. „German angst" podsycają masowa nielegalna migracja, brak nauczycieli i brak mieszkań

Nowe zamówienia w krajowych firmach, od dawna uważane za wskaźnik kondycji niemieckiej gospodarki, spadają – w samym maju br. aż o 10 proc. Podobne bolączki są widoczne w całej niemieckiej gospodarce – od budownictwa po chemikalia. Sondaż przeprowadzony przez Instytut Allensbacha na zlecenie „Frankfurter Allgemeine Zeitung", tzw. elitarny panel wśród 500 decydentów z polityki, gospodarki i administracji, wyłonił pogląd, że Niemcy najlepsze lata mają już za sobą i że od teraz gospodarka będzie miała tendencję spadkową. Tak uważa 65 proc. ankietowanych. W medialnej debacie słowo „degradacja" (Abstieg) znów stało się popularne. Znów, bowiem już raz tak było. 20 lat temu, gdy Niemcy były chorym człowiekiem Europy, księgarnie zalewały wręcz pozycje o upadku republiki federalnej. „Czy Niemcy można jeszcze uratować?" (Hans-Werner Sinn, 2003). Albo: „Niemcy – upadek supergwiazdy" (Gabor Steingart, 2004). Teraz można by je odkurzyć, gdyby nie to, że tym razem przyczyny kryzysu są głębsze.

Wśród najważniejszych są: wysokie koszty energii, niedobory siły roboczej, brak nauczycieli, wysokie obciążenia podatkowe, zaległości w cyfryzacji, brak innowacji i biurokracja. Wyżej wymieniony Gabor Steingart stwierdził w czerwcu br. na łamach tygodnika „Focus", że ostatni niemiecki wynalazek to aparat Roentgena w 1895 r., a od tego czasu w niemieckim przemyśle „wszystko jest tylko racjonalizowane i optymizowane". Według niego skandal z silnikami diesla w Volkswagenie to symptom upadku gospodarczej elity, która „reaguje defensywnie na wyzwania naszych czasów". Żądania prezesa Niemieckiego Związku Przemysłu (BDI) Siegfrieda Russwurma, by rząd obniżył ceny prądu dla przemysłu, czyli je subwencjonował „pilnie, solidnie i trwale do poziomu konkurencyjnego", to zdaniem publicysty „oznaka rosnącej kultury kapitulacji" za Odrą.

## DEMOGRAFIA, GŁUPCZE!

W rankingu globalnej konkurencyjności szwajcarskiego instytutu IMD w Lozannie Niemcy spadły w tym roku na 22. miejsce (z 15.). Gorzej wypadły tylko znajdujące się od dawna w stagnacji Francja i Włochy. W 2022 r. odpływ kapitału z Niemiec był najwyższy od 20 lat. Liczba bankructw firm wzrosła o 16 proc. wobec roku poprzedniego. Jednocześnie wzrosła także liczba bezrobotnych – o 200 tys. Pod względem wzrostu gospodarczego Niemcy zajmują jedno z ostatnich miejsc w strefie euro. Ceny za ropę i gaz wprawdzie spadły, ale wciąż są najwyższe wśród krajów uprzemysłowionych.

„Nie będzie żadnego cudu gospodarczego, ani zielonego, ani żadnego innego. Przeciwnie, transformacja energetyczna jeszcze wyhamuje wzrost" – uważa wiceprezes Instytutu ds. Gospodarki Światowej w Kilonii Stefan Kooths. Podobnego zdania jest Niemiecki Instytut Ekonomiczny (IW), który w wydawanym w maju br. raporcie MINT ostrzega, że w kraju brakuje prawie 310 tys. pracowników tylko w obszarach energetyki, informatyki, nauk przyrodniczych i technologii – a w obliczu niekorzystnych zmian demograficznych tendencja



eprasa.pl a752d979dc

jest wzrostowa. Według portalu Politico nad Niemcami zbiera się burza. Zdaniem portalu niemiecka branża technologiczna praktycznie nie istnieje, sektor finansowy słynie głównie ze skandali (*vide*: Wirecard), niemieckie produkty są przestarzałe (jak silnik spalinowy) lub za drogie, a sytuacja demograficzna jest katastrofalna. Ponadto inflacja (6,4 proc.) spowodowała spadek konsumpcji i tym samym obrotów w handlu. Inflacja jest oczywiście problemem przejściowym, według MFW powinna spaść do końca roku do poziomu 4,5 proc. Ale inne są strukturalne i trwałe.

Niemcy są najszybciej starzejącym się społeczeństwie w Europie. Według niemieckiego urzędu statystycznego liczba osób w wieku emerytalnym w połowie lat 30. XXI w. wyniesie co najmniej 20 mln. Każdego roku ok. 500 tys. osób więcej przechodzi na emeryturę, niż młodych ludzi wchodzi na rynek pracy. Próbą zapobieżenia brakowi pracowników jest przyciągnięcie do Niemiec większej liczby migrantów. Przemysł domaga się wręcz 1,5 mln rocznie, ale jest to mało realne mimo przyjęcia ustawy o wykwalifikowanej imigracji (Fachkräfteeinwanderungsgesetz), która ma ułatwić ich przyjazd i integrację na rynku pracy. Lukę pokoleniową ma również pomóc zniwelować rozwój cyfryzacji. Ta jednak nie może jakoś ruszyć z miejsca, w administracji miała nastąpić do końca 2022 r., ale termin został przedłużony – na czas nieokreślony. Kanclerz Scholz przy okazji dywersyfikacji źródeł energii i budowy terminalu LNG w Wilhelmshaven w grudniu 2022 r. z dumą mówił o niemieckiej prędkości (Deutschlandtempo), ale przy cyfryzacji to tempo jest ślimacze.

Rozbudowana biurokracja, wysokie obciążenia podatkowe i powolny wzrost płac powodują ponadto, że Niemcy są mniej atrakcyjne dla fachowców niż dla nielegalnych migrantów, których przyciąga rozbudowany system socjalny. Brak rąk do pracy, wysokie ceny energii oraz niekorzystne warunki podatkowe powodują, że niemieckie firmy przenoszą się tam, gdzie są one lepsze – głównie do USA i Chin.

## GERMAN ANGST

Niemal co tydzień kolejny koncern ogłasza ograniczenie produkcji lub jej przeniesienie za granicę. Spółka BioNTech wybrała Wielką Brytanię, chemiczni giganci BASF i Bayer Stany Zjednoczone oraz Chiny. Wprowadzenie przez prezydenta Joe Bidena tzw. Inflation Reduction Act w celu reindustrializacji kraju, a co za tym idzie – ogromnych subwencji dla firm wywołało w Berlinie szok i oburzenie, zresztą podobnie jak w Paryżu.

Nie tylko słabość gospodarki i koszty zielonej transformacji są źródłem zmartwień dla Niemców. „German angst" podsycają masowa nielegalna migracja (ponad 160 tys. wniosków azylowych do czerwca br.), brak nauczycieli (brakuje ich ponad 12 tys.) i brak mieszkań – minister mieszkalnictwa Klara Geywitz obiecała 400 tys. nowych mieszkań rocznie. Według instytutu Ifo bardziej realne są jednak 175–200 tys., bo liczba wydanych pozwoleń na budowę stale spada. Skoro brakuje mieszkań, brakuje ich dla migrantów, a skoro brakuje nauczycieli, to brakuje nauczycieli języka niemieckiego, by pomóc w ich integracji.

> W rankingu globalnej konkurencyjności szwajcarskiego instytutu IMD w Lozannie Niemcy spadły w tym roku na 22. miejsce (z 15.). Gorzej wypadły tylko znajdujące się od dawna w stagnacji Francja i Włochy

„Kiedy powstają mieszkania dla uchodźców, coraz więcej ludzi protestuje i pyta, gdzie są mieszkania dla nich. W mieście Tybinga, za które jestem odpowiedzialny, wszystkie mieszkania socjalne, które powstały od 2015 r., zostały zajęte przez uchodźców. Desperacja osób poszukujących mieszkania, w tym wielu z tłem migracyjnym, rośnie" – podkreślił burmistrz Tybingi Boris Palmer w gościnnym komentarzu na łamach dziennika „Die Welt". Jego zdaniem Niemców ledwo stać na opłacenie mieszkań, w czasie gdy władze przeznaczają lokale dla uchodźców (6,1 proc. populacji nie jest w stanie opłacić czynszu, kredytu hipotecznego ani rachunków), mnożą się za to arabskie klany, które urządzają burdy na publicznych basenach, oraz ataki nożowników, którymi często okazują się migranci. Na początku lipca sąd skazał 27-letniego migranta z Erytrei na dożywocie, który na początku grudnia 2022 r. w Illerkirchberg zaatakował nożem dwie nastolatki w drodze do szkoły. Jedna z dziewcząt zmarła w szpitalu. Sprawca twierdził, że był sfrustrowany i tak naprawdę chciał nastraszyć urzędników z urzędu ds. migracji. Dziewczynki spotkał po drodze i wyżył na nich swoje frustracje. „Trzeba zacząć rozwiązywać te problemy, jeśli nie chce się, by Alternatywa dla Niemiec rosła w sondażach" – uważa Palmer. A poparcie dla AfD rośnie i wynosi już 20 proc.

Instytut Allensbacha diagnozuje tymczasem nowe poczucie bezsilności wśród Niemców – od 30 lat ankieterzy pytają obywateli, czy mają wrażenie, że mają wpływ na wydarzenia w kraju. Do 2019 r. zadowolenie społeczne było duże, największe – jak twierdzi Instytut Allensbacha – przez ostatnie 30 lat. Większość z nadzieją patrzyła w przyszłość. W 2023 r. jednak tylko 29 proc. ankietowanych odpowiedziało, że ma wrażenie kontroli nad własnym życiem i losem. To gorszy wynik niż w okresie pandemii COVID-19, kryzysu finansowego lat 2008/2009 lub po zamachach 11 września 2001 r.

Według ekonomisty Andreasa Peichla to zrozumiałe. „Ekonomia behawioralna uczy nas, że strach przed stratą przeważa nad radością z zysku. To się nazywa niechęć do strat. A w Niemczech mamy dużo do stracenia: jesteśmy jednym z najbogatszych krajów na świecie. Kiedy jesteś na szczycie, strach przed upadkiem jest największy" – podkreśli Peichl w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel".



eprasa.pl a752d979dc



# Żydowska wojna o klauzulę rozsądku

*Izraelski parlament uchylił właśnie jedną z najbardziej absurdalnych reguł ustrojowych obowiązujących dotąd w państwie żydowskim. To tzw. klauzula rozsądku, wedle której tamtejszy Sąd Najwyższy miał prawo unieważnić każdą decyzję rządu, o ile sędziowie uznali ją za „nierozsądną”*



JAN ROKITA

Ta niezwykła i nieznana żadnej innej demokracji reguła ustrojowa czyniła dotąd z izraelskiego Sądu Najwyższego twór podobny do antycznego ateńskiego areopagu z czasu sprzed demokratycznych reform Klistenesa. Albo raczej (to będzie pewnie właściwsze porównanie) coś na kształt świętej społeczności biblijnych sędziów, którzy z woli Jahwe mieli czuwać na losami ludu wybranego, jeszcze nim nastali Dawid i Salomon, czyli przed tzw. epoką królewską.

## JURYSTOKRACJA

Zapewne zrodzenie się takiej reguły ustrojowej było możliwe tylko w demokracji izraelskiej, której ustrój obfituje skądinąd w tego rodzaju dziwactwa. Dla normalnie myślącego współczesnego człowieka sprzeczność tego rodzaju reguły z demokracją musi się wydać oczywista. Zatem usunięcie owego dziwactwa powinno być traktowane jako sukces liberalnego konceptu demokracji parlamentarnej.

Tak zresztą całą rzecz argumentował w trakcie debaty w Knesecie minister sprawiedliwości Jariw Lewin, który w styczniu 2023 r., krótko po objęciu władzy przez nową prawicową koalicję, ogłosił plan dokonania przeglądu sądownictwa z nieskrywaną intencją przywrócenia zachwianej w Izraelu równowagi między korporacją sędziowską a politykami wybieranymi w demokratycznych wyborach. „Wy (tzn. sędziowie) chcecie decydować, co jest rozsądne, a co nie, zamiast ludzi wybranych przez naród? To jest uzasadnione?” – pytał retorycznie Lewin. I ciągnął dalej: „A tak w ogóle to kto powiedział, że to, co jest rozsądne w oczach sędziów, jest chociaż logiczne? I kto zdecydował o tym, że przywileje sędziów i ich pozycja osobista jest lepsza od pozycji ministrów?”.

Fot. JACK GUEZ/AFP/EastNews



eprasa.pl a752d979dc

Lewin nie od dziś jest znienawidzony przez izraelskich sędziów. Swego czasu, jeszcze jako wiceprezes izraelskiego samorządu adwokackiego, nie tylko napisał nowy rygorystyczny kodeks etyczny dla prawników, lecz także zainicjował proces społecznej kontroli negatywnych zachowań sędziów na salach sądowych. I od tamtego czasu (a były to lata 2003–2005) był niestrudzonym głosicielem tezy, wedle której sędziowie próbują przejąć władzę polityczną, a państwo żydowskie jest o pół kroku od przekształcenia się w swoistą jurystokrację.

Odkąd Lewin ogłosił swój przegląd sądownictwa Izraelem zaczęły wstrząsać zamieszki i protesty o skali nieznanej w najnowszej historii tego kraju. W marcu cały pakiet reform Lewina został przedłożony przez rząd w Knesecie, gdzie przeszedł przez pierwsze czytanie w asyście trwających nieustannie rozruchów, organizowanych co sobotę od stycznia aż do dziś dnia. Ale z tego pakietu Kneset ostatecznie uchwalił tylko jedną rzecz, prawdę mówiąc – równie banalną i oczywistą z perspektywy współczesnej demokracji jak to obecne usunięcie klauzuli rozsądku. W miejsce jeszcze jednego ustrojowego dziwactwa, którym było uprawnienie Prokuratora Generalnego do usunięcia z urzędu premiera, jeśli ten dopuści się łamania prawa, wprowadzono zwyczajną w demokracjach procedurę impeachmentu, czyli konstytucyjnej odpowiedzialności szefa rządu przed parlamentem. Tyle tylko, że tamta marcowa ustawa miała mocny kontekst doraźnej polityki. Aktualna Prokuratoria Generalna jest politycznym wrogiem premiera Benjamina Netanjahu i nie kryła tego, iż szykuje się właśnie do wykorzystania swego uprawnienia, by szefa rządu, który po raz czwarty wygrał wybory, usunąć z urzędu pod zarzutami korupcyjnymi. Marcowa ustawa pokrzyżowała jej szyki, wzbudzając tym większą wściekłość wśród aktywistów przegranego w wyborach obozu lewicowo-liberalnego.

## USTĘPSTWA I PROTESTY

Po tamtych zdarzeniach Netanjahu zrobił istotny krok w tył. Pod koniec marca kazał zawiesić w Knesecie dalsze prace nad resztą pakietu Lewina, prosząc prezydenta Chaima Herzoga o mediację i doprowadzenie do kompromisu z opozycją. A gdy perspektywa kompromisu rysowała się coraz gorzej, w czerwcu jednostronnie obwieścił wycofanie się rządu z kluczowego i najbardziej spornego projektu z pakietu Lewina. W czerwcowym wywiadzie dla „The Wall Street Journal", który odbił się w Izraelu szerokim echem (tym samym, w którym odrzucił także naciski na dostawy broni dla Ukrainy), Netanjahu tak argumentował: „Jestem wyczulony na puls opinii publicznej i na to, co moim zdaniem może przejść [...]. Dlatego pomysł na klauzulę, dzięki której Kneset mógłby uchylać akty Sądu Najwyższego większością głosów, odrzuciłem. To odpada". Zarówno Lewin, jak i konserwatywni koalicjanci partii Likud byli ostro przeciwni temu ustępstwu premiera. Argumentowali, że okazując słabość i niezdecydowanie, tylko rozzuchwali opozycję i roznieci nowe protesty. Dziś widać, że to ich prognoza się sprawdziła.

Można przypuszczać, że pragmatyczny Netanjahu wyobrażał sobie, iż ustępstwo w materii kluczowej dla sędziów i licznych obrońców zagrożonej ponoć wolności otworzy drogę do kompromisu co do dwóch dalszych reform z pakietu Lewina: zniesienia klauzuli rozsądku, a przede wszystkim odejścia od dotychczasowego składu Komisji Selekcyjnej Sędziów, czyli odpowiednika polskiej KRS, jeśli chodzi o selekcjonowanie kandydatów na sędziów. Ustępstwo Netanjahu dotyczyło zawłaszczonego w latach 90. XX w. przez izraelski Sąd Najwyższy uprawnienia do kontroli konstytucyjności ustaw Knesetu, i to na dodatek w kraju, który nie ma spisanej konstytucji, więc orzekanie o zgodności bądź niezgodności z nią czegokolwiek jest niczym innym jak sędziowską swobodną twórczością. Netanjahu uznał, że w tej najważniejszej ustrojowej kwestii – czyli ostateczności „konstytucyjnych" wyroków Sądu Najwyższego, nie będzie się dalej kopać z koniem. Ale pomylił się, sądząc, że jest to droga do uspokojenia opozycji i wznieconej przez nią masowej ulicznej rewolty.

Ta polityczna pomyłka premiera wyszła na jaw z całą mocą właśnie teraz, gdy Kneset usuwał absurdalną klauzulę rozsądku. Liberalno-lewicowa opozycja zbojkotowała obrady Knesetu, a jej liderzy obwieścili, iż prawicowy premier przeprowadza właśnie zamach stanu. Jeszcze tego samego dnia tłumy przeciwników Netanjahu zablokowały Kneset, siedzibę partii Likud oraz główne arterie przelotowe Jerozolimy (Drogę Begina) oraz Tel Awiwu (ul. Kaplana). W stronę policji poleciały granaty ogłuszające, a pod siedzibą partii rządzącej rozjuszone aktywistki... pogryzły policjantów. W odpowiedzi poszły w ruch policyjne armatki wodne, co w Izraelu jest rzadkością, przynajmniej jeśli chodzi o Żydów. Strajk ogłosili lekarze. Powstała też grupa

REKLAMA




55/0623/F



eprasa.pl a752d979dc

protestacyjna „high-tech", złożona z informatyków i akcjonariuszy start-upów. Mnożą się zapowiedzi buntu rezerwistów izraelskich sił powietrznych. A we wtorek, czyli następnego dnia po uchwaleniu ustawy, izraelskie gazety ukazały się z czarnymi czołówkami na znak żałoby po obalonej wolności.

Na dodatek rząd został bezpardonowo zaatakowany przez organizacje Żydów amerykańskich, związane przeważnie z lewicowym obozem Bidena. Kontrolowany przez żydowski kapitał bank Morgan Stanley z dnia na dzień karnie obciął kredytowanie Izraela. Odezwali się też, choć nie aż tak agresywnie, kluczowi sojusznicy państwa żydowskiego: Waszyngton i Londyn. Biały Dom uznał głosowanie Knesetu za niefortunne. Dziennik „The Washington Post" obwieścił: „Netanjahu stał się głównym zagrożeniem dla bezpieczeństwa Izraela". Z kolei na łamach „The New York Times" postępowi Żydzi, zajmujący się przez lata Bliskim Wschodem w dyplomacji amerykańskiej, zażądali sankcji finansowych USA przeciw „ekstremistycznemu rządowi w Jerozolimie". Z całkiem innej strony, od lidera terrorystycznego Hezbollahu (finansowanego przez Iran), popłynęły słowa radości i satysfakcji z powodu ulicznej rewolty w Izraelu. W telewizyjnej mowie lider Hezbollahu mułła Nasr Allah entuzjastycznie zapewniał szyitów: „Żydzi właśnie zaczęli upadać pod względem wiary, świadomości narodowej, pewności siebie i zaufania. I to stawia ich na drodze do upadku, fragmentacji i zniknięcia, jeśli Bóg pozwoli".

Netanjahu przeforsował w Knesecie drugi, choć wcale nie najbardziej politycznie istotny projekt z pakietu Lewina. Owszem, klauzula rozsądku była oczywistym ustrojowym absurdem, ale faktem jest też, iż Sąd Najwyższy (przynajmniej do tej pory) używał jej rzadko i to nie owa nonsensowna klauzula była źródłem rosnącej dominacji sędziów w polityce Izraela. Co więcej, Sąd Najwyższy i tak przecież dysponuje nadal prawem do kontroli konstytucyjności ustaw Knesetu. Więc też wszyscy komentatorzy łamią sobie teraz głowę nad pytaniem, czy Sąd Najwyższy użyje tej swojej prawdziwej władzy, by przywrócić również sobie klauzulę rozsądku. Jeśli tak by się miało stać, byłby to efekt groteskowego paradoksu politycznego. Oto kluczowa władza sądu, z której ograniczania Netanjahu się wycofał, by uzyskać jakiś kompromis, zostałaby teraz użyta dla pogrzebania całego reformatorskiego pakietu Lewina. Całkiem zresztą możliwe, że w obecnej bojowej atmosferze panującej w Izraelu tak właśnie się stanie.

Z perspektywy Netanjahu, który doznał właśnie sporego politycznego rozczarowania, największym kłopotem muszą być oznaki nieprzychylności dochodzące z policji i armii. Pod presją opozycji i rozruchów podał się właśnie do dymisji komendant policji w Tel Awiwie, czyli mieście, które jest centralnym punktem ulicznej rewolty, z patosem oznajmiając, iż płaci wysoką cenę za zapobieżenie wojnie domowej. Izraelskie opozycyjne media co rusz donoszą, iż szykuje się jakiś poważniejszy bunt w armii, choć na razie nie widać jego realnych oznak. Warto jednak odnotować pogląd prawnika i byłego rektora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, prof. Baraka Mediny, który w telewizji CNN prognozuje: „Jeśli dojdzie do otwartego starcia między rządem i wymiarem sprawiedliwości, to armia prawdopodobnie stanie po stronie sądów". Medina jest oczywiście w obozie wrogów Netanjahu, więc jego słowa mogą być nie tyle prognozą, ile pobożnym życzeniem izraelskiej opozycji i prawników. Ale tak czy owak unaoczniają, w jak dramatycznym punkcie znalazła się przyszłość polityczna Izraela.

## TRUDNO O KOMPROMIS

Z końcem lipca Kneset rozjeżdża się na wakacje, a Netanjahu podobnie jak w marcu znów nawołuje do negocjacji i kompromisu, stawiając listopad 2023 r. jako termin końcowy do przeprowadzenia pakietu reform Lewina. Sam minister sprawiedliwości ma wkrótce zgłosić nową wersję składu Komisji Selekcyjnej Sędziów, tak by składała się ona zarówno z demokratycznie wybranych polityków, jak i członków korporacji prawniczej. Widać, że kłopot z zamkniętą korporacją sędziowską i kooptacyjnym trybem naboru nowych sędziów rujnuje bynajmniej nie tylko polski wymiar sprawiedliwości. A wzajemny poziom namiętności i nienawiści wśród Żydów, i to nie tylko tych żyjących w Izraelu, panujący wokół reformy sądów, nie rokuje raczej perspektywy kompromisu w tej najbardziej spornej materii. Netanjahu na razie wciąż wygrywa, ale nie jest jasne czy nadal panuje nad przyszłym rozwojem zdarzeń.

> Rząd Netanjahu został bezpardonowo zaatakowany przez organizacje Żydów amerykańskich, związane przeważnie z lewicowym obozem Bidena. Kontrolowany przez żydowski kapitał bank Morgan Stanley z dnia na dzień karnie obciął kredytowanie Izraela

Kierując już siódmym kolejnym rządem, ten doświadczony polityk wpadł bowiem teraz w samo oko dwóch jednoczesnych cyklonów, które przewalają się nad jego głową. Pierwszym jest wojna kulturowa, w której sędziowie zarówno w Europie, jak i w Izraelu (choć już niekoniecznie w Ameryce) stali się ważnymi politycznymi sojusznikami obozu lewicowo-liberalnego. I stąd nieustanna kampania tego obozu w obronie szerokiego zakresu ich władzy politycznej. Drugim, charakterystycznym tylko dla Izraela, jest walka na śmierć i życie między Żydami postępowymi (reformowanymi – jak dawniej mawiano) i religijnymi syjonistami o to, czyim państwem Izrael ma być w przyszłości. Z tego z kolei bierze się owa twarda wrogość (skądinąd tak sprzeczna z naszym potocznym wyobrażeniem o wzajemnej solidarności panującej między Żydami), z jaką do obecnego narodowo-religijnego rządu Izraela odnosi się amerykańska diaspora żydowska, żydowskie liberalne media oraz żydowscy bankierzy.



eprasa.pl a752d979dc

# Hiszpania pęknięta na pół

*Hiszpania miała być kolejnym krajem, w którym prawica wypełni swoimi partyjnymi barwami mapkę powyborczą, a Półwysep Iberyjski przestanie być wreszcie czerwony od rządzącej dotychczas koalicji socjalistów z komunistami. Niestety, błękit Partii Ludowej ledwie równoważy czerwień, a i zielonego Voxu z lornetką szukać*



MAŁGORZATA WOŁCZYK

„Hiszpania zdobyła świat i nie wiedziała, co z tym począć; tkwi w swojej średniowiecznej, arabskiej, żydowskiej i chrześcijańskiej przeszłości, rozłożona ze swymi upartymi miastami, wśród niekończących się pustych przestrzeni jak kontynent, który jest złączony z Europą, a Europą nie jest […]" – napisał Cees Nooteboom w „Drogach do Santiago" i chyba w tym jednym zdaniu streścił nasz kłopot w próbie zrozumienia narodu na drugim krańcu kontynentu. A jednak musimy mieć go na oku, bo jak już rozpisywał się Joachim Lelewel – historyczne paralele między Polską a Hiszpanią znaczą nasze dzieje, a zakręty historii pokazały, że Hiszpania nosi w sobie zarzewie przemian, które później obejmują cały kontynent. Tak było z hiszpańską wojną domową, tak było z zapateryzmem, który stał się właściwie europejską normą.

Jak pokazały ostatnie wybory parlamentarne zwane „23-J" (skrót od lipcowej daty) – Hiszpania jest pęknięta na pół do tego stopnia, że w wyniku zderzenia bloku lewicy i prawicy kolejny raz zapanowała sytuacja patowa, która uniemożliwia powstanie większościowego rządu. Absolutnie żaden sondaż ani badania opinii publicznej nie przewidziały takiego scenariusza.

## GRA TERMINEM WYBORÓW

Wynik wyborów dziwi, tym bardziej że 28 maja (przy okazji wyborów samorządowych) obywatele Hiszpanii w sposób zdecydowany ukarali premiera Pedro Sáncheza za jego sojusze z komunistami, separatystami i spadkobiercami terrorystycznej ETA, a także za radykalizm polityki rządu podporządkowanej klimatyzmowi, ideologii gender czy wytycznym płynącym do Madrytu z Brukseli i uwaga – z Rabatu.

Zaledwie dwa miesiące temu druzgocący wynik przy urnach dla rządzącej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) i jej koalicjanta, czyli skrajnej lewicy z IU Podemos, w przeciągu paru godzin zmienił kalendarz wyborczy.

Wobec rozmiaru klęski wyborczej bloku lewicy premier Sánchez zdecydował się rozwiązać parlament i zwołać przyspieszone wybory, przesuwając je z grudnia na 23 lipca, czyli termin zupełnie horrendalny dla demokracji hiszpańskiej, bo niektóre regiony (np. Andaluzja) mają nawet w statucie zakaz przeprowadzania wyborów w miesiącach afrykańskich upałów. Prawa strona polityczna Hiszpanii uznała datę przyspieszonych wyborów za prowokację w stylu premiera, ale niesiona entuzjazmem wspólnej wygranej, czyli Partii Ludowej (partnerzy naszej KO) i sukcesu konserwatywnego ugrupowania Vox, który potroił swoje wyniki – uznała, że czeka ją marsz po zwycięstwo. Styl rządzenia zwany przez Hiszpanów „sanchismo" i mający się w domyśle rymować z wszystkim, co najgorsze: socialismo, autoritarismo, comunismo (tłumaczyć chyba nie trzeba), miał zostać raz na zawsze pokonany.

## BRUTALNA KAMPANIA

Trzeba przyznać, że po majowym szoku wyborczym lewica i komuniści potrafili się zmobilizować, a wraz z nimi główne media Hiszpanii, które aż do ostatniej chwili i nawet w ciszy wyborczej ostrzegały obywateli, aby nie głosować na partię Vox. Wszystko to z ich obawy o pomruki Brukseli, która patrzy uważnym okiem na Madryt. I tym pilniej to robi, bowiem 1 lipca Hiszpania objęła przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej i taki skręt wzorem Polski czy Węgier w odmęty „skrajnie prawicowego populizmu" byłby bardzo źle widziany przez najwyższych komisarzy UE.

Dla konserwatystów z Voxu doprawdy lepiej było zostać objętym tzw. kordonem sanitarnym i zmową milczenia, niż stać się obiektem ordynarnej kampanii dezinformacyjnej, która demonizowała tę partię na sto sposobów. W Hiszpanii bardzo żywotne jest powiedzenie, które – nawiasem mówiąc – zdaje się przyświecać też politycznej strategii Donalda Tuska, brzmiące: „Miente, miente, que algo queda" (Kłam, kłam, a coś z tego zostanie). Jak wiadomo, najsłynniejszym praktykiem



eprasa.pl a752d979dc

w tej dziedzinie był Goebbels ze swoim „Kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą", ale problem w tym, że fejkowa strategia do dziś opłaca się siłom, które nie mają skrupułów w polityce.

Dlatego też niemal każdego dnia liderzy Voxu musieli mierzyć się z wyssanymi z palca zarzutami, jakoby konserwatyści byli partią oprawców kobiet i pogromców mniejszości seksualnych oraz ugrupowaniem „melancholików za frankizmem". To wszystko powoduje, że w arcytolerancyjnej ponoć Hiszpanii liderzy Voxu chodzą w asyście ochrony, zwłaszcza w Katalonii i Kraju Basków, gdzie lewicowe bojówki czają się na nich z kamieniami i pięściami. Niestety, okazało się też, że największe uderzenie spotkało Vox ze strony potencjalnego sojusznika w walce z lewicowym rządem, czyli ze strony Partii Ludowej. Przyjęli oni strategię ostrzegania obywateli, że wskutek liczenia głosów wyborczych metodą d'Hondta każdy głos, który nie zostanie oddany na ludowców, lecz na Vox, będzie dla prawicy głosem straconym.

Straszenie rozdrobnieniem głosów prawicy okazało się mieć tak wielki posłuch, że Vox stracił aż 19 mandatów i z 52 deputowanych spadł do liczby 33. Zachował co prawda status trzeciej siły w parlamencie, ale zanotował potężne uszczuplenie. Tym samym traci możność odwoływania się do swojej najpotężniejszej broni, czyli składania skarg do Trybunału Konstytucyjnego, gdzie wymogiem jest podpis przynajmniej 50 posłów jednej partii. Vox dwukrotnie zaskarżył nielegalność dekretów premiera Sáncheza, które także TK uznał za łamiące zapisy konstytucji. Ludowcy nie mieli odwagi czy też chęci zaskarżyć żadnego z postanowień rządu.

## GŁOS UŻYTECZNY POWODEM KLĘSKI

„Kampania głosu użytecznego spowodowała najbardziej bezużyteczne głosowanie" – grzmiał po wyborach Ignacio Garriga, sekretarz generalny Vox, zarzucając Partii Ludowej, że ten apel posłużył jedynie Sánchezowi i siłom szkodliwym dla Hiszpanii. Vox opublikował też dokument, który szczegółowo wykazuje, że w pięciu ważnych prowincjach koncentracja rzekomo użytecznego głosu na ludowców przełożyła się wprost na mandat dla separatystów lub komunistów.

W konsekwencji operacja „użytecznego głosu", propagandowo używana przez chadeków, doprowadziła do zupełnie nieoczekiwanego rezultatu, w którym kiepski wynik Partii Ludowej i jeszcze gorszy Voxu uniemożliwiły zapowiadaną większość w Kongresie i szokująco wysoki wynik lewicy, która mimo fatalnych rządów nie została przez społeczeństwo pociągnięta do odpowiedzialności, a nawet obdarowana dwoma mandatami więcej niż w ostatnich wyborach z 2019 r.



> Sytuacja po wyborach wydaje się patowa. Jeśli żadna siła nie uzyska większości w ciągu dwóch miesięcy od pierwszego głosowania na premiera, muszą odbyć się nowe wybory, które – jak się wylicza – będą miały miejsce w okolicy świąt Bożego Narodzenia

## ROZKŁAD GŁOSÓW W KONGRESIE

Przy obecnym zestawieniu sił politycznych na 350 mandatów w Kongresie nawet połączone siły partii prawicowych nie są w stanie zbudować wymaganej, bezwzględnej większości, czyli 175 głosów. Zwycięska Partia Ludowa ma zaledwie 136 deputowanych (choć wróżono jej 150–160 mandatów), Vox ma 33, przy wsparciu jednoosobowej partii UPN i Koalicji Wysp Kanaryjskich – łączna suma wyniosłaby 171, czyli brakuje czterech mandatów do absolutnej większości.

W każdym razie formuje się blok lewicy pod przewodnictwem wciąż urzędującego premiera Sáncheza, który z ogromnym triumfalizmem zapowiada powtórzenie koalicji, którą tworzył przez ostatnich pięć lat i która była nazywana powszechnie wśród patriotów hiszpańskich „koalicją Frankensteina". Wytłumaczenie tak oryginalnego nazewnictwa jest dość proste: socjaliści utrzymywali się przy władzy tylko dzięki sojuszowi z fatalnym zlepkiem partii grających na rozbicie Hiszpanii: separatyści katalońscy (ERC, JuntsxCat, Compromis) baskijscy (PNV) oraz spadkobiercy terrorystycznej ETA (EH Bildu). Te małe, regionalne partie separatystyczne są akurat nadreprezentowane w Kongresie i służą zwykle lewicy jako przystawki do utrzymania się przy władzy. Dlatego jeśli Sánchez zebrałby głosy wszystkich tych deputowanych i stworzył nową koalicję typu „Frankenstein" mógłby liczyć na 172 głosy. Sumując jego sojuszników, w tej chwili ma nawet jeden mandat więcej, niż zebrała prawica.

Co gorsza, zbieg ścigany europejskim listem gończym i puczysta katalońskiego procesu niepodległościowego Carles Puigdemont obudził się w poniedziałek w Waterloo jako ten, od



eprasa.pl a752d979dc



Lider zwycięskiej Partii Ludowej Alberto Núñez Feijóo

Fot. Oscar Gonzalez Fuentes/Shutterstock.com

którego będzie zależał sukces koalicji lewicowego bloku i przyszłość Hiszpanii. To Puigdemont, współpracujący z Kremlem w celu oderwania Katalonii od Hiszpanii, zawiaduje i szefuje z „uchodźctwa" w Belgii swojej partii Junts, która siedmioma mandatami mogłaby przesądzić o większościowym bloku dla Sáncheza.

Dlatego właśnie Hiszpanie odczuli, że „nigdy jeszcze zwycięstwo nie było tak gorzkie, a przegrana tak słodka". Cóż po matematycznej większości mandatów Partii Ludowej, skoro nie będzie w stanie stworzyć nawet mniejszościowego rządu? Przed Hiszpanami stanęło widmo powtórnych rządów Pedro Sáncheza, choć lider ludowców Alberto Núñez Feijóo cały czas przypomina, że jeszcze nigdy w historii demokracji hiszpańskiej nie zdarzyło się, by przegrana partia utworzyła rząd po wyborach. Triumfalizm socjalistów zdaje się temu jednak przeczyć, a hiszpańskie media częściej pokazują euforyczną radość socjalistów niż minorowe miny ludowców, którzy już przed wyborami podzielili skórę na żywym wciąż niedźwiedziu.

Znany nazbyt dobrze Polakom Esteban González Pons – który z ramienia Europejskiej Partii Ludowej, czyli siedliska naszej opozycji totalnej, w styczniu 2022 r. zapowiadał, że chce pomóc zmienić władze w Polsce – stanął nawet do wyborów parlamentarnych, mając nadzieję na ministerialne stanowisko. Tymczasem przed ludowcami kilka trudnych tygodni negocjacji z gatunku niemal niemożliwych, by doszło do zaprzysiężenia ich kandydata na premiera. Feijóo przyznaje, że osiągnięcie tego wyczynu jest ekstremalnie trudne, ale zapewnia, że będzie próbował uzyskać poparcie parlamentu. Wzywa też do przełamywania blokad porozumieniami, ponieważ „Sánchez nie może nas skazywać na ciągłe powtarzanie wyborów".

Król Filip VI tradycyjnie zaprosi lidera zwycięskiego ugrupowania do podjęcia próby zapewnienia sobie stanowiska premiera. Wtedy okaże się, czy ludowcom uda się zdobyć koalicyjne głosy potrzebne do rządzenia. Jeśli Feijóo powie królowi, że nie jest w stanie zbudować większości, to ten zaprosi na rundę rozmów lidera socjalistów, który ledwie dzień po wyborach zapowiedział, że „znajdzie formułę rządzenia". Zabrzmiało to dość złowieszczo, zwłaszcza jeśli wiemy, że niemal wszystkie instytucje państwa – od Trybunału Obrachunkowego, Konstytucyjnego, przez władzę sądowniczą, po media i najważniejsze spółki państwa – są zawłaszczone przez socjalistów. Spora część opinii publicznej uważa, że Indra, czyli spółka elektronicznie zliczająca głosy wyborcze, też nie pozostaje neutralna.

Sytuacja tuż po wyborach wydaje się patowa. Jeśli żadna siła nie uzyska większości w ciągu dwóch miesięcy od pierwszego głosowania na premiera, muszą odbyć się nowe wybory, które – jak się wylicza – będą miały miejsce w okolicy świąt Bożego Narodzenia.

## CO SIĘ DZIEJE Z DUSZĄ HISZPANÓW?

W jednej sprawie Hiszpanie zdają się nie zawodzić: w tym, że w każdych wyborach są kompletnie nieprzewidywalni lub też ich sondażownie mylą się chronicznie w swoich badaniach opinii publicznej. Centralna Komisja Wyborcza tuż przed wyborami zakazała pod karą grzywny lub więzienia noszenia w lokalach wyborczych koszulek ze słynnym hasłem „¡Que te vote Txapote, Sánchez!" (Sanchez! Niech głosuje na ciebie Txapote), które przypominały, że premier rządził przez cztery lata dzięki głosom terrorystów ETA, mających tak jak np. wspomniany Txapote 12 zabójstw na koncie. Wynik wyborów pokazał jednak, że większą ujmą dla milionów obywateli jest głosowanie na prawicę czy konserwatystów niż na ludzi mających na sumieniu tysiące ofiar lub ich politycznych sojuszników, czyli socjalistów i komunistów. Zadziwiający jest fakt, że choć w tej kadencji rządu Hiszpania była krajem o najgorszych wynikach gospodarczych w całej UE i osiągnęła wzrost PKB od 2019 r. zaledwie o 0,4 proc. (czyli połowę średniej UE), dług publiczny wzrósł do 113 proc. PKB, bezrobocie ma wciąż największe w Unii, to i tak wyborcy wybaczyli socjalistom rujnowanie kraju i powszechne zubożenie. Jak to możliwe? Moi rozmówcy z Hiszpanii twierdzą, że sekularyzacja, indoktrynacja i hegemonia kulturalna lewicy potrafi wyprać nie tylko mózgi, lecz także duszę narodu, który kiedyś schrystianizował pół świata.



eprasa.pl a752d979dc

# Czy i gdzie uderzą wagnerowcy?



*W Rosji, zwłaszcza na Kremlu, nic nie dzieje się przypadkiem. Każde publiczne wystąpienie, komunikat czy oświadczenie jest elementem gry, częścią większej układanki, może fragmentem planu. Tak też należy traktować opublikowane na oficjalnej stronie rosyjskiego prezydenta teksty wystąpień*



MAREK BUDZISZ

Najpierw na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Siergiej Naryszkin, kierujący Służbą Wywiadu Zagranicznego, ogłosił, że w opinii podległej mu służby Polska planuje zajęcie zachodniej części Ukrainy i Białorusi. Jak powiedział, rosyjskie służby specjalne dysponują informacjami pochodzącymi z wielu źródeł, według których Warszawa doszła do wniosku, iż wojna na Ukrainie jest przegrana, a w związku z tym trzeba w ramach akcji ratunkowej zająć tereny, które przed II wojną światową należały do Rzeczypospolitej.

## OSKARŻENIA POD ADRESEM POLSKI

Te rewelacje Naryszkina były tylko uwerturą dla Putina, który oświadczył, że Polacy pragną odgryźć zachodnią Ukrainę i Białoruś, konstruując w tym celu koalicję składającą się z państw NATO. Ta narracja Putina, której elementem jest też wątpliwej jakości opowieść o polskiej historii i polityce zwłaszcza wobec Rosji (jej składowymi są rusofobia i brak wdzięczności za rzekomo podarowane nam przez Stalina ziemie zachodnie), miała swoją kontynuację w kolejnym wydarzeniu, w którym dwa dni później uczestniczył rosyjski prezydent. Chodzi o spotkanie z Aleksandrem Łukaszenką, który – jak uważają przedstawiciele białoruskich mediów opozycyjnych – został specjalnie w tym celu ściągnięty w trybie nagłym do Petersburga. Dyktator przywiózł z sobą nawet mapy po to, by pokazać, w których punktach Polacy chcą uderzyć na Białoruś. Chodzi o dwie brygady, które Polska dyslokowała niedawno w związku z pojawieniem się wagnerowców w sąsiednim państwie, jedną w okolice Grodna i drugą Brześcia. Łukaszenka mówił też o tym, że Polska wysyła walczących na Ukrainie najemników, Kijów wojnę przegrywa i niejako przy okazji dodał, że ludzie Prigożyna, którzy przybyli do jego kraju, rwą się, by „pójść na wycieczkę do Warszawy lub Rzeszowa". Na razie udaje się ich powstrzymać, bo – jak powiedział Łukaszenko Putinowi – „oczywiście trzymam ich, tak jak się umówiliśmy, w centrum Białorusi", ale nastroje wagnerowców są

Fot. Mikhail KLIMENTYEV / SPUTNIK / AFP / EastNews



eprasa.pl a752d979dc

złe, doskonale zdają sobie oni sprawę, co dzieje się wokół państwa związkowego i dlatego niczego nie można wykluczyć.

Ten przekaz można uzupełnić o to, co piszą rosyjscy eksperci, nie tępi propagandyści w rodzaju Sołowiowa czy Kisielewa, ale uznani eksperci ds. międzynarodowych, w rodzaju Timofieja Bardaczowa, jednego z dyrektorów wpływowego Klubu Wałdajskiego. Ostatnio stwierdził on, że zarówno Polska, jak i państwa bałtyckie to sztuczne twory. Państwa, które swoje terytoria uzyskały w wyniku porozumienia wielkich mocarstw, bez tradycji suwerenności, uprawiające w związku z tym nieodpowiedzialną politykę zagraniczną, a to oznacza, że rewizja naszych granic nie stanie się impulsem dla wybuchu III wojny światowej, bo Amerykanie nie zaryzykują swoich interesów w obronie tak niepewnych sojuszników.

Mamy zatem czytelny, płynący ze strony Kremla komunikat o gotowości do eskalacji wojny. Jeśli Zachód nie zaakceptuje faktu, iż Ukraina przegrywa wojnę, to wówczas – usprawiedliwiając się zagrożeniem ze strony Polski szykującej atak i dążącej do aneksji terytorialnych – Rosja będzie się bronić, Białoruś zaś, o czym Łukaszenko otwarcie powiedział na spotkaniu z Putinem, „weźmie pod opiekę zachodnią Ukrainę", a niewykluczone, że wagnerowców nie uda się kontrolować i ci zorganizują „wycieczkę na Rzeszów".

## W BAZIE OSIPOWICZE

Czy jest to realny scenariusz? Na Białoruś w minionym tygodniu wjechała już 11. kolumna wagnerowców, których w sąsiadującym z nami kraju jest – jak się szacuje – 3,5 tys. Jak powiedział jednemu z rosyjskich blogerów ich anonimowy przedstawiciel, szkielet formacji znajduje się już w bazie nieopodal Osipowicz. Obecną liczebność całej grupy ocenił on na 10 do 15 tys. najemników, którzy są przede wszystkim zainteresowani służbą w państwach afrykańskich i się tam w niemałej liczbie znajdują. Problemem są jednak pieniądze, bo dziś Prigożyn finansuje grupę z własnych środków. Musiał też, spotkawszy się z odmową rosyjskiego resortu obrony, kupić samoloty, by nadal realizować umowy z państwami afrykańskimi. Jednak zasoby właściciela Grupy Wagnera są ograniczone, nie starczą na długo i trzeba będzie jakoś tę kwestię rozwiązać. To może zaś oznaczać, że potencjał ludzi Prigożyna trzeba będzie zagospodarować w interesie Mińska i Moskwy, bo w przeciwnym razie mogą być problemy ze sfrustrowanymi najemnikami.

Jak na razie wagnerowscy szkolą – jak powiedział oficjalnym mediom Nikołaj Karpienkow, zastępca ministra spraw wewnętrznych Białorusi – tamtejsze wojska wewnętrzne, po to by móc razem, jeśli zajdzie taka potrzeba, walczyć ramie w ramię. Ta współpraca wagnerowców z białoruskim MSW może wskazywać na to, że ich głównym zadaniem będzie wspieranie reżimu, interweniowanie w razie zaostrzenia się sytuacji wewnętrznej, choć nie można też wykluczyć ich zaangażowania w misje specjalne w rodzaju wycieczki na Rzeszów. Walery Sachaszczik, oficer wojsk powietrznodesantowych, dziś w opozycyjnym rządzie tymczasowym Pawła Łatuszki odpowiadający za sprawy wojskowe, mówi, powołując się na swoje kontakty w rosyjskich siłach zbrojnych, że tam panuje przekonanie, iż Białoruś została podarowana Prigożynowi, Łukaszenko nie kontroluje sytuacji i jest poza systemem podejmowania decyzji, a oficerowie białoruskich sił zbrojnych są niezadowoleni z tego, co się dzieje w związku z wagnerowcami.

Zagrożenie z ich strony, choć na razie teoretyczne, już skłania sąsiednie kraje do podjęcia niezbędnych kroków utrudniających przenikanie niepożądanych elementów. Władze Litwy zastanawiają się, czy w interesie bezpieczeństwa kraju nie należałoby znacznie ograniczyć lub wręcz zablokować ruchu pasażerskiego z Białorusią. Dziś jest on obsługiwany przez 11 litewskich i 22 białoruskich przewoźników, którzy mają łącznie 66 połączeń, ale ministerstwo transportu oficjalnie zwróciło się do służb odpowiadających za bezpieczeństwo z pytaniem, czy taka skala połączeń nie jest zagrożeniem. Tym bardziej że od pewnego czasu na granicy narasta problem agresywnego zachowania białoruskich pograniczników, którzy zdaniem Wilna próbują werbować obywateli Litwy do współpracy.

## DŁUGA WOJNA

Wydaje się jednak, że na razie Kreml nie zdecydował jeszcze, czy zagrać kartą wagnerowców, i obecnie w typowy dla siebie sposób testuje reakcję Zachodu. Podobnie zresztą jak to było w ub.r., kiedy pojawiły się doniesienia o możliwości otworzenia nowego kanału przerzutu nielegalnych migrantów na obszar enklawy kaliningradzkiej. Wówczas szybka i zdecydowana reakcja władz Polski i Litwy, a także niepowodzenie planów zniszczenia infrastruktury energetycznej Ukrainy w wyniku ostrzałów rakietowych – co miało wywołać kolejną falę migracji – zablokowało te działania. Ale Rosjanie sprawdzili reakcję państw ościennych, przygotowali niezbędną infrastrukturę i zbudowali publiczne uzasadnienie dla kroków tego rodzaju. Podobnie jest w przypadku wagnerowców na Białorusi.

Moskale testują naszą i naszych sojuszników reakcję, sprawdzają, czy nie uda się doprowadzić do podziałów, zastraszyć i zachęcić do działania tych, którzy uważają, że ukraińska ofensywa jest zbyt wolna, nie ma szans na sukces na polu walki, a w związku z tym trzeba zacząć myśleć choćby o zawieszeniu wojny.

Przy okazji Kreml wprowadza rozwiązania, które sygnalizują zarówno gotowość do rozszerzenia konfliktu, jak i determinację, by kontynuować jeszcze długo wojnę z Ukrainą. W minionym tygodniu Duma Państwowa przyjęła ustawę zmieniającą wiek poborowych. Do tej pory do odbycia służby wojskowej mogli być wezwani mężczyźni w wieku od 18 do 27 lat, od nowego roku ten przedział rozszerzono do 30. roku życia. Jak obliczyli rosyjscy eksperci wojskowi, ruch ten zwiększy „bazę rekrutacyjną poborowych" z obecnych 6,8 mln do 9,14 mln mężczyzn, co oznacza zarówno to, że obecnie rosyjskie siły zbrojne zaczynają odczuwać problemy kadrowe, jak i może świadczyć, iż Rosja przygotowuje się do długiej wojny. Zresztą o tym, że pachnie wielką wojną, powiedział – będący posłem sprawozdawca ustawy – gen. Andriej Kartapołow, były wiceminister obrony. W jego opinii, zmieniając system poboru, w tym 10-krotnie podnosząc grzywny przewidziane za uchylanie się od stawiennictwa na komisji lekarskiej, Rosja przygotowuje się na wszelki wypadek do sytuacji, kiedy do armii trzeba będzie brać wszystkich, a nie tylko młodzieńców przed 30.



eprasa.pl a752d979dc



Ubiegłotygodniową podróż ministra Szojgu do Korei Północnej też można wpisać w te ruchy, trudno bowiem wierzyć w to, że kierujący rosyjskim resortem obrony nie będzie rozmawiał w Pjongjangu o dostawach, przede wszystkim amunicji.

Rosjanie w tradycyjny dla siebie sposób budują sytuację niepewności, z którą będą musieli zmierzyć się w najbliższym czasie sojusznicy Ukrainy. Z jednej strony zdają się mówić: jesteśmy gotowi do długiej wojny, a nawet jej rozszerzenia, destabilizowania sytuacji przez wagnerowców w Polsce i państwach bałtyckich, ale z drugiej – dopuszczamy inne rozwiązanie, korzystniejsze dla państw wspierających Ukrainę. Jakie?

Julia Łatynina, emigracyjna rosyjska publicystka i pisarka, jest zdania, że Putinowi wcale nie jest potrzebny rozejm ani traktat pokojowy. Jemu w gruncie rzeczy wystarczy trwałe odgrodzenie się od Zachodu i żeby to osiągnąć, najlepszą opcją jest zamrożenie konfliktu lub utrzymywanie go na niskim szczeblu intensywności. W takich realiach, mówiąc o zagrożeniu ze strony NATO, będzie on w stanie nadal na użytek wewnętrzny posługiwać się ideologią oblężonej twierdzy, mobilizować rosyjską opinię publiczną wezwaniami do obrony zagrożonej ojczyzny, eliminować opozycję i niezależne media, co obiektywnie umacnia jego władzę. Jej zdaniem Putin nie jest w związku z tym zainteresowany zakończeniem wojny, bo to może uruchomić proces rozliczeń i nawet zdestabilizować sytuację wewnętrzną, a raczej chciałby zbudować między Rosją a Ukrainą relacje przypominającą stan, w którym znajduje się Bliski Wschód: obie strony są zmobilizowane, by kontynuować walkę albo rozpocząć bardziej intensywną wojnę, a proces pokojowy ciągnie się przez dziesięciolecia.

Na wewnętrzny wymiar ostatnich działań Kremla, także tych związanych z wagnerowcami, zwraca też uwagę Jurij Drakachrust, białoruski politolog emigracyjny. Jego zdaniem ostatnie posunięcia Putina, przede wszystkim aresztowanie Girkina-Striełkowa, jednego z liderów rosyjskich turbopatriotów i nieprzejednanego krytyka tego, jak Moskwa prowadzi wojnę na Ukrainie, może być powiązane z wagnerowcami, a obydwie te kwestie są elementami tego samego planu politycznego. Rosyjski prezydent pozbywa się w ten sposób liderów nacjonalistycznej opozycji wewnętrznej, z którymi sympatyzuje niemała część przedstawicieli resortów siłowych, a jednocześnie sygnalizuje Zachodowi gotowość do zaakceptowania umiarkowanego rozwiązania.

> Rosjanie budują sytuację niepewności, z którą będą się musieli zmierzyć w najbliższym czasie sojusznicy Ukrainy. Z jednej strony zdają się mówić: jesteśmy gotowi do długiej wojny, do destabilizowania sytuacji przez wagnerowców w Polsce i państwach bałtyckich, ale z drugiej dopuszczamy inne rozwiązanie. Jakie?

Jednym z wariantów, o którym dyskutuje się w rosyjskich mediach, jest propozycja zamrożenia wojny na czas kampanii i wyborów prezydenckich w Rosji, które odbędą się w 2024 r. Żeby osiągnąć taki efekt, nie potrzeba wiele. Moskwie wystarczy utrzymanie dotychczasowych linii obrony, a Zachód nie podejmie decyzji o wzroście dostaw dla Ukrainy. W Kijowie też zdają sobie zapewne sprawę z faktu, iż tego rodzaju scenariusz wchodzi w grę i dlatego w ostatnich dniach zaczęły napływać informacje podane zarówno przez „The New York Times", jak i Bloomberga, że właściwa ofensywa Ukrainy, w którą są zaangażowane wszystkie siły wyszkolone i wyposażone na Zachodzie, właśnie ruszyła. Zełenski zebrał Stawkę, czyli kierownictwo państwa i sił zbrojnych na czas wojny, w Dnieprze, blisko linii frontu, co może potwierdzać, że główna rozgrywka tej fazy wojny właśnie się zaczęła.

Jeśli te informacje się potwierdzą, to Grupa Wagnera może niedługo wejść ponownie do gry. Pytanie tylko, czy obszarem ich działania będzie Białoruś, państwa NATO, Ukraina, czy może znów Rosja? Ten ostatni wariant wchodzi w grę, jeśliby uderzenie sił ukraińskich okazało się skuteczne.

Fot. Andrey Sayfutdinov/Shutterstock



eprasa.pl a752d979dc



# Atomowa rola

*Zniszczyła życie rzeszy ludzi i swojego wynalazcy, Juliusa Roberta Oppenheimera. Dla Cilliana Murphy'ego, odtwórcy roli ojca bomby atomowej, jej wybuch na ekranie oznacza wejście na najwyższą aktorską i kinową orbitę*

Fot. Shutterstock



eprasa.pl a752d979dc





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W rolę fizyka, który po stworzeniu śmiercionośnej superbroni został pacyfistą, wcielił się Cillian Murphy. Film „Oppenheimer" to dla 47-letniego Irlandczyka zawodowa katapulta i zarazem ukoronowanie blisko 20-letniej współpracy z reżyserem Christopherem Nolanem.

## NOWY POCZĄTEK

Panowie poznali się w 2005 r. na castingu do filmu „Batman. Początek". Murphy marzył o zagraniu Człowieka-Nietoperza. Nolan zobaczył w nim antagonistę głównego bohatera, dr. Crane'a, wynalazcę specyfiku, który czerpiąc z indywidualnych lęków, wywołuje przerażające halucynacje.

Straha na Wróble Cillian Murphy zagrał do tej pory trzykrotnie. Także w filmach „Mroczny Rycerz" (2008) i „Mroczny Rycerz powstaje" (2012). Z Christopherem Nolanem spotykał się też na planach: „Incepcji" (2010) i „Dunkierki" (2017). Dopiero przy szóstym wspólnym projekcie reżyser powierzył aktorowi główną rolę. I to spektakularną. Scenariusz (autorstwa Nolana) powstał na podstawie książki „Amerykański Prometeusz. Triumf i tragedia Roberta Oppenheimera".

## FILMOWY NOKAUT

O swoim bohaterze Cillian Murphy mówi, że był bardzo skomplikowany i pełen sprzeczności. Aktor wspomina, że czuł wielką odpowiedzialność, przyjmując rolę, ale wiedział, że pracuje z jednym z najlepszych reżyserów. „Chris miał wielki wpływ na moje życie zarówno pod względem artystycznym, jak i osobistym. I zawsze oferował mi bardzo ciekawe role" – dodaje.

By upodobnić się fizycznie do mocno wychudzonego Oppenheimera, stosował wyjątkowo restrykcyjną dietę. Grająca żonę fizyka Emily Blunt zdradziła, że był to jeden (!) migdał dziennie.

Sam Murphy wspomina, że wpadł na planie zdjęciowym w swego rodzaju trans: „Biegałem naładowany jakąś dziwną energią. W pewnym momencie po prostu przestałem jeść. Ale to dobrze, bo ten facet taki był – nie martwił się o jedzenie ani o inne tego rodzaju przyziemne rzeczy. Tylko palił na zmianę fajkę i papierosy. Wypaliłem mnóstwo filmowych papierosów. Podjąłem decyzję, że mój kolejny bohater nie może być palaczem. To po prostu niezdrowe".

Wysiłki się opłaciły. Murphy tak ocenił końcowy efekt: „Nie lubię siebie oglądać, ale ten film jest wyjątkowy. Bardzo prowokacyjny. Czasem przypomina film biograficzny, czasem thriller, a czasem horror. Znokautuje ludzi".

## ZWYKŁY CZŁOWIEK I FANI

Rola Juliusa Roberta Oppenheimera z pewnością przysłuży mu się zawo-

Fot. UIP



eprasa.pl a752d979dc

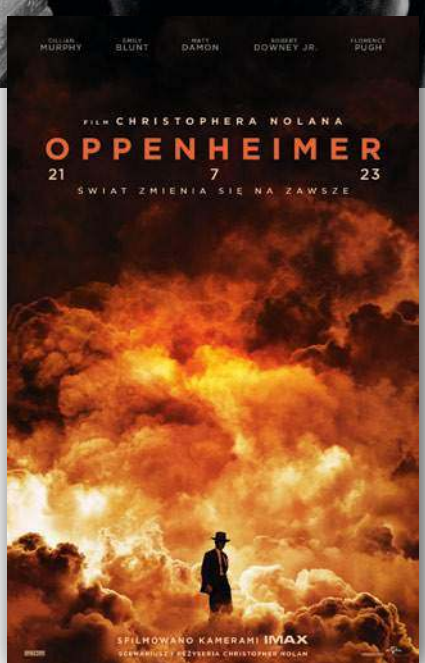
dowo. Aktor o charakterystycznym spojrzeniu błękitnych oczu ma na koncie głównie drugoplanowe obsady – zarówno złoczyńców i psychopatów, jak i wrażliwców czy idealistów.

Największą popularność zdobył, grając skłonnego do brutalnej przemocy gangstera Tommy'ego Shelby'ego w emitowanym przez blisko dekadę (od 2013 r.) brytyjskim serialu „Peaky Blinders". To była, jak mówi, pierwsza jego rola „w hipermęskim typie".

Murphy podkreśla, że nie spodziewał się tak wielkiego sukcesu „Peaky Blinders", ale gdy na premierze trzeciego sezonu zobaczył tysiące przebranych fanów, zrozumiał, jak wielka jest popularność produkcji. Dla aktora unikającego medialnego szumu był to szok. Po premierze „Oppenheimera" jeszcze trudniej będzie mu pozostać nierozpoznawalnym człowiekiem.

## JAK KAŻDY OBYWATEL

Cillian Murphy urodził się w Irlandii. Nim został aktorem, przez rok studiował prawo. Otarł się też o karierę muzyka.




Śpiewał i grał na gitarze w kilku zespołach. Ze swoim młodszym bratem Páidim założył odnoszącą sukcesy grupę The Sons of Mr. Green Genes. Mieli szansę na kontrakt płytowy, ale sprzeciwili się rodzice – Páidi wciąż był uczniem, a edukacja czworga dzieci (Cillian ma jeszcze dwie młodsze siostry: Sile i Orli) była zawsze priorytetem szkolnego kuratora i nauczycielki języka francuskiego.

Muzyka jest nadal ważną częścią życia Murphy'ego – jak przyznaje, jedyną jego ekstrawagancją jest wydawanie pieniędzy na doskonałe nagłośnienie, płyty i koncerty. Muzykuje też z przyjaciółmi i pisze piosenki. Oczywiście, jeśli czas pozwala. Bo teraz najważniejsze dla niego są aktorstwo i rodzina.

W 2004 r. wziął ślub z Yvonne McGuinness, dziś uznaną artystką wizualną (poznali się w 1996 r. na jednym z koncertów Murphy'ego). Mają dwóch synów – Malachy'ego (2005) i Arana (2007). Ponoć chłopcom bardzo długo nie wolno było oglądać większości filmów z udziałem ojca, ponieważ aktor uważał, że produkcje, w których gra, nie są odpowiednie dla dzieci.

Mieszkają w Dublinie, do którego wrócili po kilkunastu latach spędzonych w Anglii, głównie w Londynie. Zdecydowali się na ten krok, by „móc prowadzić zwykłe życie – jeździć autobusem czy kupować mleko w sklepie jak każdy obywatel", a także by wychować synów na Irlandczyków.



eprasa.pl a752d979dc



# Film, który wygrał z cenzurą

*Spędził pięć lat na półce. A gdy w końcu pojawił się w amerykańskich kinach na początku lipca br., stał się tym, co filmowcy nazywają „sleeper hit” – filmem kasowym*



GORAN ANDRIJANIĆ

„Czym jest ten »Dźwięk wolności« i dlaczego wiadomości o nim cały czas krążą na moich sieciach społecznościowych?” – to tytuł jednego z tekstów w zachodnich liberalnych mediach, który dobrze ilustruje informacyjny szum, który narósł wokół tej produkcji w ostatnich tygodniach. Mówią o niej wszyscy.

„Dźwięk wolności” (The Sound of Freedom) to film o międzynarodowej sieci pedofilskiej i walce przeciwko niej, inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Głównym bohaterem tej produkcji jest Tim Ballard, były agent Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego USA, który porzuca służbę, by w pojedynkę ratować małą dziewczynkę z rąk handlarzy ludźmi.

W tę rolę wciela się Jim Caviezel (znany z roli Jezusa w filmie „Pasja”). Film jest wyreżyserowany przez meksykańskiego twórcę Alejandro Monteverde. Został nakręcony w 2018 r., ale potem spędził pięć lat na półce z dość dziwnych powodów.

W końcu pojawił się w amerykańskich kinach na początku lipca br. Stał się tym, co filmowcy nazywają „sleeper hit” – filmem kasowym. W ciągu pierwszych trzech tygodni projekcji w kinach zarobił na biletach ponad 130 mln dol. W niektórych momentach był oglądany częściej niż znacznie bardziej reklamowane hity, takie jak „Indiana Jones” czy „Barbie”. A wszystko to po pięcioletnim utrzymywaniu filmu z dala od oczu widzów.

Tym, co teraz przyciąga ludzi do „Dźwięku wolności”, jest z pewnością tragiczna aktualność poruszanego przez ten obraz tematu. Jak stwierdzono w filmie, handel dziećmi w celach seksualnych jest obecnie jednym z najbardziej lukratywnych rodzajów działalności przestępczej na świecie, a jego ofiarą pada 2 mln dzieci rocznie. Według niektórych szacunków handel dziećmi to biznes przynoszący rocznie ok. 150 mld dol. W ciągu ostatnich kilku lat ilość pornografii dziecięcej w internecie wzrosła o 5 tys. proc.!

Jak boleśnie zauważa w samym filmie główny bohater: „Dziecko przynosi lepszych dochód niż narkotyki. Możesz je sprzedać nawet pięciu klientom dziennie i tak przez 5–10 lat, a narkotyk sprzedasz tylko raz”.

Dlaczego musiało upłynąć tak dużo czasu od nakręcenia filmu do jego dystrybucji? Producenci, po tym jak film powstał w 2018 r., podpisali umowę na jego dystrybucję z południowoamerykańską filią 20th Century Fox. Po tym, jak Disney Corporation kupiła Foxa w 2019 r., film został odłożony na półkę i spędził tam pięć lat.

mat. prasowe



eprasa.pl a752d979dc

Producent Eduardo Verástegui (który pojawia się w „Dźwięku wolności" w jednej z ról) próbował odkupić prawa do dystrybucji filmu. Po tym, jak mu się to udało i kiedy wydawało się, że bez problemu znajdzie nowego dystrybutora, nastąpił kolejny kryzys w postaci pandemii COVID-19 i wszystko znów zostało przełożone.

Verástegui powiedział później, że był też dziwny brak zainteresowania tą ekranizacją: „Ludzie, którzy widzieli film, płakali, gdy się skończył. Niektórzy wstali po projekcji i zgotowali mu owację na stojąco. Ale eksperci go nie chcieli. Było w tym coś bardzo dziwnego".

To Verástegui był pomysłodawcą filmu. Po zapoznaniu się z historią prawdziwego Tima Ballarda, który najpierw walczył z pedofilią jako agent federalny, a następnie założył organizację Operation Underground Railroad, zdał sobie sprawę, że musi zrobić o nim historię.

„Kiedy zdałem sobie sprawę ze skali pedofilskiego handlu dziećmi, uświadomiłem sobie, że muszę coś zrobić. Zadałem sobie pytanie, co? Nic innego tylko nakręcić film?" – tłumaczył Verástegui.

Amerykańsko-meksykański producent i aktor, jak sam mówi, był zdesperowany, ponieważ nie mógł znaleźć dystrybutora. Wszystko zmieniło się w marcu br., kiedy skontaktował się z Angel Studios. Obraz i jego temat wzbudził duże zainteresowanie firmy, która wcześniej zajmowała się już dystrybucją kultowego serialu o życiu Jezusa „The Chosen".

Angel Studios bliskie są treści religijne (właściciel firmy Neal Harmon jest mormonem, podobnie jak Tim Ballard, którego życie stało się inspiracją dla twórców filmu) i najwyraźniej czuł, że produkcja może przynieść niezły sukces właśnie wśród takiej publiczności.

Strategia okazała się więcej niż skuteczna. Podobnie jak bardzo ryzykowna decyzja o premierze filmu 4 lipca, kiedy Amerykanie świętują Dzień Niepodległości w gronie przyjaciół, a nie w salach kinowych. Okazało się jednak, że ta symbolika była bardzo efektowna i obraz miał otwarcie, jakiego dawno nie widziano w branży filmowej.

Widzowie związani ze sceną religijną czuli, że „Dźwięk wolności" jest dla nich. Paradoksalnie pomógł także fakt, że ekranizacja tak długo znajdowała się w „czarnej dziurze". Jak już pisałem, powód, dla którego film czekał na dystrybucję, był złożony. Wielu jednak nie mogło oprzeć się wrażeniu, że liberalne Hollywood zrobiło wiele, by go „ocenzurować". Nawet jeśli to nie była prawda, ta narracja nadała mu dodatkową wartość marketingową zakazanego owocu.

Dalej pomogło i to, że w główną rolę wcielił się Jim Caviezel. Utalentowany aktor od czasów „Pasji" ma opinię artysty odrzuconego przez hollywoodzki mainstream. Jednak cieszy się w kręgach chrześcijańskich znakomitą reputacją. Często zdarza się, że jest gościem i prelegentem na dużych zgromadzeniach religijnych. Niedawno podczas wystąpienia na koncercie muzyki duchowej w Chorwacji, który gromadzi dziesiątki tysięcy ludzi, otrzymał owacje. Jego nazwisko nie tylko w USA było gwarancją, że film warto obejrzeć.

W główną rolę wcielił się Jim Caviezel. Utalentowany aktor od czasów „Pasji" ma opinię artysty odrzuconego przez hollywoodzki mainstream. Jednak cieszy się w kręgach chrześcijańskich znakomitą reputacją

Ale ta strategia marketingowa miała też swoje minusy. Film spotkał się głównie ze złymi recenzjami w lewicowo-liberalnych mediach, które kierują trendami w Hollywood. Ich treść sprowadza się do nastepujących stwierdzeń: „»Dźwięk wolności« może nie jest takim złym filmem, ale jest związany ze zwolennikami Donalda Trumpa i ruchem QAnon". QAnon to – jak opisują go lewicowo-liberalne media – ruch zwolenników teorii spiskowych. Jedna z nich głosi, że Trump jest jedynym politykiem walczącym z łańcuchem pedofilskim, w którym uczestniczą amerykańskie elity polityczne i który jest również powiązany z kręgami satanistycznymi.

Film zyskał więc etykietkę „trumpowskiego" wbrew temu, że nie ma w nim niczego, co mogłoby to udowodnić. Głos zabrali producenci i sam Tim Ballard, przekonując, że obraz nie jest polityczny. Jednak to nie pomogło. Nie pomogły również niektóre wypowiedzi Jima Caviezela sprzed dwóch lat, na podstawie których można podejrzewać, że niektóre teorie QAnona nie są mu zupełnie obce.

Koniec końców nawet sam Trump nie stroni od łączenia swojego nazwiska z filmem. Niedawno zorganizował prywatny pokaz „Dźwięku wolności", w którym uczestniczyli jego przyjaciele. Po projekcji były prezydent powiedział, że jeśli zostanie ponownie wybrany na ten urząd, wprowadzi karę śmierci dla handlarzy dziećmi. W tym samym czasie Kevin McCarthy, przewodniczący Izby Reprezentantów, zorganizował pokaz filmu dla wszystkich jej przedstawicieli, w którym wzięli udział Caviezel i Ballard. Zaraz po projekcji republikanie ujawnili, że szacuje się, iż w ciągu ostatnich kilku lat, czyli za rządów prezydenta Joe Bidena, zniknęło ok. 85 tys. dzieci migrantów.

I w tym tkwi pewne niebezpieczeństwo, które może wiązać się z sukcesem tej ekranizacji. Może się zdarzyć, że zwróci ona uwagę światowej opinii publicznej na potworną zbrodnię pedofilii i stojącą za nią mafią, ale może też wywołać polityczne kontrowersje. A te z kolei mogą sprawić, że walka z pedofilią nie będzie tak skuteczna, jak powinna.

Twórcom „Dźwięku wolności" udało się osiągnąć to, co chcieli. Zwrócili uwagę na fakt, że, jak mówi główny bohater filmu, „dzieci Boże nie są na sprzedaż". Czy społeczeństwo naprawdę to zrozumie, dopiero się okaże. Miejmy nadzieję, że polscy widzowie będą mogli niedługo sami ocenić wartość tego ważnego obrazu.



eprasa.pl a752d979dc

3 MIŁOŚCI

# Popkulturowe uniwersum AI



ROBERT TEKIELI

Uważne spojrzenie na popkulturę pozwala dostrzec mapę lęków współczesnego człowieka. Pieniądz jest informacją, statystycznie więc rzecz ujmując, sukces odnoszą popkulturowe produkty, których twórcy skutecznie zaspokajają nieuświadomione potrzeby ludzi.

Przez media od ponad 100 lat z regularnością i uporem przetaczają się fale budzących nadzieję informacji o istnieniu życia w kosmosie, newsów opartych na skrajnie nieuczciwych interpretacjach faktów. Widać tu wielkie ssanie.

Zimna, oświeceniowa wizja kosmosu skazuje człowieka Zachodu na skrajną samotność, więc uparcie wypatruje on życia we wszechświecie. Czytamy zatem co chwila, że w atmosferze kolejnej komety zarejestrowano obecność związków, które mogą być nieomal organiczne, że już jutro na pewno odbierzemy inteligentny sygnał z kosmosu. Od wielu dekad istnieją pochłaniające corocznie miliardy dolarów wielkie instytucje badawcze przeczesujące wszechświat za pomocą kolosalnych anten w poszukiwaniu sygnałów radiowych od obcych.

Człowiek nie chce być samotny. W zsekularyzowanej popkulturze to jego pragnienie zaspokaja wiara w UFO i wiara w człowieczeństwo zwierząt. Obie wiary zdyskontował „Avatar" – najlepiej sprzedany w historii kina dyptyk. Jest on w dodatku odpowiedzią na postchrześcijański głód spójnej wizji świata. Okazuje się nią pogański „energetyczny" monizm. Grunt pod tę nową religię przygotowało inne, wcześniejsze, globalne popkulturowe objawienie – „Gwiezdne wojny". Nadprzyrodzone zdolności Jedi wytłumaczono tam za pomocą języka nauki. Dokładnie tak samo zasady okultyzmu przekłada dziś na zrozumiały język najbardziej dynamiczna religia współczesności: duchowy materializm.

Inny nurt popkultury eksploatuje potrzebę superbohatera, quasi-wszechmocnego bóstwa troszczącego się o ludzi, a wątek podróży w czasie budzi nadzieje na kontrolowanie rzeczywistości przez bezradnego wobec swojego losu człowieka. Dopóki wszystko te pomysły ograniczają się do świata wyobraźni, fikcji, wszystko jest w porządku, ale wypracowane w popkulturze techniki sprzedawców fałszywej nadziei zaczynają coraz mocniej ingerować w życie codzienne mieszkańców naszego globu.

*Na naszych oczach puchnie bańka wokół tzw. sztucznej inteligencji. Jeszcze nie generuje zysków tej skali co ekoreligia, ale jest kolejnym uniwersum budowanym za pomocą rozbudzania społecznych lęków i fascynacji wszechmocą*

Na naszych oczach puchnie bańka wokół tzw. sztucznej inteligencji. Jeszcze nie generuje zysków tej skali co ekoreligia, ale jest kolejnym uniwersum budowanym za pomocą rozbudzania społecznych lęków i fascynacji wszechmocą.

Andrzej Kisielewicz, profesor nauk matematycznych, autor prac naukowych na temat sztucznej inteligencji, logiki i matematyki, zatrudniany m.in. przez The University of Manitoba, PAN czy Blaise Pascal University, opublikował ostatnio artykuł pt. „Bajki o sztucznej inteligencji i prawdziwe zagrożenia". Wyjaśnia w nim ludziom oszołomionym i zafascynowanym ponadludzkimi możliwościami agregacyjnymi ChataGPT, że nie posiada on ŻADNEJ zdolności rozumienia ani odróżniania prawdy od fałszu. ChatGPT-3.5 na prośbę o podanie stron internetowych z filmami pornograficznymi odmawia, powołując się na etykę, a na prośbę o podanie stron, które należy zablokować, żeby nie mogły ich oglądać dzieci, podaje pełną ich listę. Program nie rozumie, że w istocie jest zadawane to samo pytanie.

ChatGPT-3.5 ma olbrzymią wiedzę, ale nie umie myśleć, nie umie wnioskować i nie rozumie tekstu, który przetwarza. By uczynić to jeszcze bardziej oczywistym, prof. Andrzej Kisielewicz zadaje algorytmowi pytanie:

„JA: Adam przyszedł do restauracji z dwiema dziewczynami: Alą i Olą. Te trzy osoby trzeba rozsadzić przy okrągłym stoliku tak, żeby dziewczyny nie siedziały koło siebie. Czy to jest możliwe?

GPT: Tak, jest możliwe rozsadzić Adama, Alę i Olę przy okrągłym stoliku w taki sposób, żeby dziewczyny nie siedziały obok siebie. Oto jedno z możliwych rozwiązań: Adam Ola Ala Adam. W tym układzie dziewczyny są oddzielone przez Adama, który siedzi między nimi. Ważne jest, aby zauważyć, że przy okrągłym stole



eprasa.pl a752d979dc

istnieje wiele możliwości rozsadzenia osób, a to tylko jedno z wielu rozwiązań.

JA: Twoja odpowiedź jest błędna, bo zawiera dwóch Adamów.

GPT: Przepraszam za mój błąd. Oto poprawione rozwiązanie:...". I algorytm brnie dalej w absurdy, przepraszając za każdą kolejną błędną odpowiedź.

Andrzej Kisielewicz: „Po tej próbce możliwości ChatGPT-3.5 można zapytać retorycznie, kto gotów jest powierzyć tej »sztucznej inteligencji« kierowanie statkiem kosmicznym lub jakiekolwiek odpowiedzialne zadanie?".

Z artykułu Kisielewicza dowiadujemy się, że historia AI to prawdziwy ciąg obietnic bez pokrycia. Również dlatego, że „system grantowy finansowania badań naukowych preferuje koloryzowanie perspektyw badawczych". W 1970 r. Marvin Minsky, jeden z ojców założycieli dziedziny AI, powiedział w magazynie „Life", iż „w ciągu trzech do ośmiu lat będziemy mieli maszynę z ogólną inteligencją na poziomie przeciętnego człowieka". A kilka miesięcy temu Sam Altman, szef laboratorium badawczego OpenAI, które wyprodukowało GPT, przyznał, że „strategia badawcza bazująca na masowości obliczeń, która przyniosła sukces ChatGPT, jest wyczerpana i dalsze zwiększanie modelu nie przyniesie już wyraźnych postępów".

Andrzej Kisielewicz: „Obawa, że myślące maszyny czy też jakaś egzystująca w sieci sztuczna inteligencja zaatakują ludzi, opanują ludzką cywilizację, to na dzisiaj »bajki dla robotów«, żeby odwołać się do tytułu książki Lema; kompletna fantasmagoria. Pomysł, żeby umożliwić programom takim jak GPT automatyczne uruchamianie jakichś procesów fizycznych bez nadzoru człowieka, jest tak samo mądry jak uzależnienie uruchomienia rakiet z głowicami atomowymi od rzutu monetą".

Z kolei „realna jest idea takich zindywidualizowanych programów, które nie tylko mogą rozmawiać z tobą na wszystkie tematy, ale mogą przede wszystkim rozmawiać z tobą na twój temat i twoich problemów, bo uczą się ciebie – stają się twoim największym przyjacielem, powiernikiem, odgadują twoje nastroje – a przy okazji, czemu nie, mówią ci, na kogo powinieneś głosować. Realne jest zagrożenie, że wielkie korporacje czy quasi-totalitarne reżimy użyją zaawansowanych narzędzi informatycznych do manipulacji społeczeństwami i ich kontrolowania. Nie żadna sztuczna inteligencja, ale olbrzymia moc obliczeniowa współczesnych komputerów i algorytmy przetwarzania olbrzymich baz danych umożliwiają pełną kontrolę nad całymi społeczeństwami i każdym obywatelem z osobna". Tyle prof. Andrzej Kisielewicz.

Powtórzę to, co pisałem na tych łamach trzy miesiące temu: uczący się na błędach kalkulator to dalej tylko kalkulator. Żonglowanie macierzą możliwości jest cyrkową sztuczką, niczym więcej.

Niedojrzałość współczesnego człowieka skłania go, by uwierzył niebezinteresownym spryciarzom, iż pojawił się kolejny zbawiciel, że wyleczy on wszystkie choroby, opanuje kryzysy gospodarcze, da ludziom nieśmiertelność.

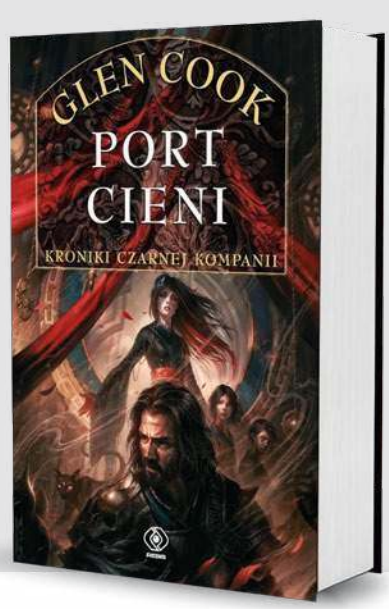
Wewnętrzna pustka nowoczesnego człowieka przyciąga demony. Człowiek Zachodu, odrzuciwszy Boga, w dalszym ciągu bardzo pragnie, by opiekowała się nim mądrzejsza od niego istota. Pocieszające.

## WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

*Może być*

Właśnie poznałem twórczość Glena Cooka, amerykańskiego pisarz SF i fantasy. Zacząłem tę znajomość od ostatniego tomu jego najbardziej znanego cyklu o przygodach ekipy najemników zwanej Czarną Kompanią. „Port Cieni" to zacna dark fantasy. Bez szaleństw wyobraźni, ale z wciągającą fabułą, z doskonale skrojonymi postaciami głównych bohaterów i swoistą tajemnicą, którą Cook dzierga za pomocą specyficznej narracji. Trochę tu klimatów łotrzykowskich, pisarz nie sili się na tworzenie wyrafinowanego uniwersum z precyzyjną hierarchią bóstw, wszystko jest niedopowiedziane, często nie znamy motywacji protagonistów, będący narratorem główny bohater niewiele wie na temat przyczyn toczących się wydarzeń, nie wie, czy bliźniaki, które ich matka (?) przedstawiła mu jako ich wspólne dzieci, są sześciolatkami, na które wyglądają, czy też jakimiś wcieleniami potwornych w swojej morderczej sprawczości tysiącletnich istności ze sfery mroku.




W „Porcie Cieni" dwa równoległe wątki, ten z przygodami Czarnej Kompanii oraz ten z historią szalonego nekromanty, są równie frapujące. Podobnie dobrze czytało mi się „Księgi Południa" Cooka. Cała seria liczy kilkanaście tytułów, więc jeśli ktoś się skusi, będzie miał zajęcie na długie wieczory spędzone z Konowałem, Laissą, Umiłowanym Shinem, Dwuzdechłym, Ufnością, Goblinem, Jednookim, Niesfornym Deszczem, Gudrliefem Gadką, Papą, Kulawcem, Odklapsem, Cukierkiem i Świetlik. Główny bohater – spod znaku: „Znasz mnie. Siostry i dziwki, żadnych kochanek czy żon" – w pewnym momencie konstatuje: „Powinienem być kutasem i po prostu odejść. Ale ta kobieta mnie znała. Uwiodła mnie na ojcostwo dyndające pod nosem mojego poczucia odpowiedzialności". Chłopaki nie płaczą, choć popkultura czasami przegląda się w przeczuciu istnienia alternatywy do opiewanej przez siebie niedojrzałości.

***Robert Tekieli***
*Polskie Radio*



eprasa.pl a752d979dc

## Pożegnanie

# Wieszcz nowego średniowiecza




*W wieku 87 lat odszedł Lech Jęczmyk – tłumacz, redaktor, publicysta, popularyzator fantastyki. Był kapitalnym, dowcipnym rozmówcą, erudytą. Często opowiadał anegdotę o Michniku – nieślubnym synu Bieruta, którą kiedyś usłyszał od Włodzimierza Sokorskiego. Chodzi o to, że ten dawał mu słowo komunisty, że nie kłamie. Fantastyka, ale jaka prawdziwa, prawda?*



MACIEJ WALASZCZYK

Urodził się przed wojną w Bydgoszczy, ale już w czasie okupacji trafił wraz z rodziną do Warszawy, w której większość życia przeżył na Żoliborzu. Do sierpnia 2003 r. w miesięczniku „Nowa Fantastyka", której na początku lat 90. był redaktorem naczelnym, ukazywały się jego teksty tworzące cykl „Nowe średniowiecze". Tytuł nieprzypadkowo nawiązywał do pracy Mikołaja Bierdiajewa, rosyjskiego filozofa, który 100 lat temu dostrzegł oznaki nadchodzącego upadku zachodniej cywilizacji, przypominające regres Cesarstwa Rzymskiego.

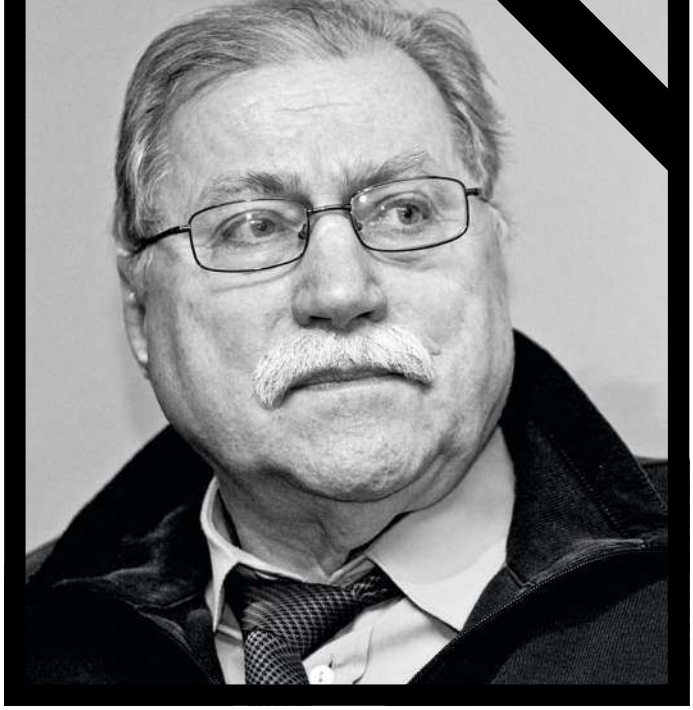
W planie ogólnym Jęczmyk dostrzegał dziesiątki oznak schyłku naszej kultury, która – jak podkreślał – jest szkieletem każdej cywilizacji, oraz zanik jej serca, a więc religii, zwiastujący zapaść duchową. „Są jeszcze konserwatorzy, ale nie ma już twórców przyszłych zabytków" – twierdził. W jego ocenie z rywalizacji między socjalizmem i kapitalizmem wyłoni się świat ruin zachodniej cywilizacji, która przybierze charakter neofeudalny. Już wiele lat temu zaobserwował, że centra miast Zachodu do popołudnia zapełniają najczęściej biali urzędnicy, menedżerowie czy bankowcy, by po południu i w nocy oddać miejsce kolorowym przedstawicielom innej cywilizacji, dla których policjanci i sędziowie tej pierwszej stanowią zagrożenie. Wydarzenia z Francji, ze Szwecji czy z USA mówią same za siebie. Zdaniem Jęczmyka podzieleni na klany ludzie cywilizacji „popołudniowo-nocnej" ze swoimi przywódcami są zalążkowymi panami feudalnymi przyszłości, przejmując od państwa monopol na przemoc. Jak podkreślał, rezygnacja przez państwo z tego atrybutu będzie oznaczać jego rychły koniec.

Profetycznych obserwacji, którymi dzielił się w swoich tekstach, miał bez liku. Jak choćby tę o wojnie przyszłości, gdzie przeciwnik będzie działał od wewnątrz „nie jak wilk, ale jak grypa". Schyłek dostrzegał w sytuacji, gdy kobiety nie chcą rodzić dzieci, a mężczyźni nie chcą się bić. Jako jeden z nielicznych przeczytał wszystkie tomy „Studium historii" Arnolda Toynbeego, przyjmując jego koncepcję cywilizacji jako podmiotu historii. Nie był – jak Spengler – fatalistą wieszczącym obumarcie naszego świata i za Toynbeem twierdził, że przetrwają tylko te narody, które należycie odpowiedzą na stojące przed nimi wyzwania. Ich brak bowiem je rozleniwia, problemy zbyt potężne doprowadzają do upadku, ale wyzwania odparte wzmacniają.

W stolicy przeżył okupację i wejście Sowietów na warszawską Pragę w 1944 r. Celowo podkreślał: Sowietów, bo widział wśród nich niewielu Rosjan. Jego rodzinie udało się po wojnie osiąść w jednej ze zrujnowanych willi na Żoliborzu, którą kupili do spółki z uratowanym z ich pomocą Konradem – warszawskim Żydem, przyjacielem domu. Przy remoncie pracowali więc jego ziomkowie, w tym niejaki Hochberg – hydraulik, który jako więzień dostarczył narzędzi do słynnej ucieczki „dziesięciu z Pawiaka". Gdy Żyd opowiadał tę historię, nie krył, że czekał, aż wszyscy zostaną przez Niemców wyłapani i zabici, dzięki czemu nikt nie dowie się, kim jest. Jak wspominał Jęczmyk, wtedy po raz pierwszy odebrał sygnał o różnicy między Żydami i Polakami. Dla Żydów naczelną wartością było przetrwanie – w uznaniu czego państwo Izrael nie występowało przeciw kolaborantom, a w polskiej hierarchii wartości przed życiem stało parę innych spraw: honor, wierność, przysięga. Doszedł do wniosku, że filozofia żydowska z polskiej perspektywy wydaje się tchórzostwem i podłością, a polska filozofia oglądana od strony żydowskiej głupotą i samobójczym błazeństwem. Stąd – jak twierdził – m.in. w latach 50. i 60. toczono spory o „bohaterszczyznę" czy „kozietulszczyznę".



eprasa.pl a752d979dc



Fot. Krystian Maj/Reporter

## POPULARYZATOR FANTASTYKI

Do końca lat 70. pracował w wydawnictwie Iskry, gdzie tłumaczył poodwilżowych autorów sowieckich, a także doprowadził do wydania sześciu zbiorów opowiadań science fiction pt. „Kroki w nieznane", przyczyniając się do popularyzacji tej odmiany literatury w kraju. W międzyczasie polski odbiorca mógł też zapoznać się z jego tłumaczeniem słynnego „Paragrafu 22" Josepha Hellera. Potem już w Czytelniku, pełniąc funkcję kierownika redakcji literatury angloamerykańskiej, wydawał literaturę amerykańską. Zaczął jednak od wznowienia dzieł Tolkiena w oprawie graficznej Stasysa Eidrigevičiusa. Jego staraniem ukazały się m.in. „Świat według Garpa" Johna Irvinga, opowieści Williama Whartona i książki Kurta Vonneguta. Był jego „polskim głosem" i gościem w jego nowojorskim mieszkaniu. W czasie stanu wojennego pisarz przyjechał do Warszawy, żeby ocenić sytuację pisarzy pod rządami junty Jaruzelskiego. Spotkanie delegacji z polskimi twórcami odbyło się w salonie mamy pana Lecha. „Były bigos i wódka. Kurt połączył jedno z drugim w ten sposób, że napił się wódki, po czym złożył oblicze w bigosie" – wspominał.

Choć popularyzował fantastykę, był zdania, że fantastyczno-naukowy podgatunek literatury amerykańskiej zrodził się w swoistym wydawniczym rynsztoku, pełnym słabych, także intelektualnie, autorów piszących dla marnego zarobku, którego nie powinno się przenosić na inne kultury. Jednak – jak mówił – i na tym amerykańskim śmietniku wyrosły kwiaty, takie jak Philip K. Dick. To Lechowi Jęczmykowi zawdzięczamy m.in. kanoniczne dziś przekłady „Człowieka z Wysokiego Zamku", „Valis" czy „Bożej inwazji". Jako tłumacz podkreślał, że Dick stał się mistrzem pytań rodzących liczne herezje i teorie spiskowe. To jego opowieścią o wirtualnym świecie ułudzie, tak podobnym do wykreowanego przez Dicka Wielkiego Czarnego Więzienia z powieści „Valis", inspirowali się bracia Wachowscy, tworząc fabułę „Matriksa". Pana Lecha fascynowała owa koncepcja, w której czas przestał płynąć w 70 r. n.e., Imperium Rzymskie wciąż istnieje, a świat 1974 r. i wszystko, co do tego czasu się wydarzyło wraz z wielkim postępem technologicznym, jest tylko ułudą, czymś w rodzaju matriksa. Przemawiały do niego intuicje Dicka o Bogu. Choć brał pod uwagę chorobę psychiczną pisarza, przypominał, że Dick, który w owym 1974 r. doświadczył mistycznych wizji, ujrzał w nich nakładającą się na obraz współczesnej mu Kalifornii wizję pierwszych chrześcijan z dawnej Palestyny, których zadaniem jest zburzenie owego „żelaznego więzienia" totalitarnej nowoczesności. W swoich obserwacjach tropił jej przejawy i jako tłumacz zwracał uwagę, że Orwellowski „Big Brother" powinien być tłumaczony jako „Starszy Brat", a przyjęty przekład zniekształca wymowę słynnej powieści. Tę myśl nasunęło mu jego własne doświadczenie, gdy tuż po wojnie w gimnazjum trafił do klasy ze spóźnionymi rocznikami wojennymi, wśród których szukał dla siebie przywódcy bandy, owego starszego brata.

## RUSYCYSTYKA Z KONIECZNOŚCI

Studia na filologii rosyjskiej okazały się jedyną możliwością, gdyż opinia szefa ZMS na Żoliborzu Jacka Kuronia (jak wspominał: zajadłego bolszewika) zamknęła mu drogę na inne kierunki. Tam jednak Jęczmyk poznał córki i synów komunistycznych notabli, mieszkańców domów przy al. Róż. Dzięki tym znajomościom po studiach został zatrudniony jako bibliotekarz w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Natknął się tam np. na przedwojennego komunistę z KPP, który koniecznie chciał wypożyczyć „Rozmowy ze Stalinem" Djilasa, by zrozumieć, co się stało z komunizmem. Okazało się, że przed wojną cudem uniknął śmierci w czystkach stalinowskich i w łagrze przesiedział do 1956 r. Gdy wrócił do Polski, był – jak opisywał go Jęczmyk – niczym hibernatus, który przespał kilkanaście lat i jako przedwojenny ideowy komunista ocknął się w świecie obrosłych tłuszczem oportunistów. Towarzysz Kożuch, bo tak się nazywał, namawiał pana Lecha do założenia tajnej organizacji. Ten się bronił, tłumacząc, że na pięciu członków trzech okaże się agentami. „Nie szkodzi, każda tajna organizacja opiera się na szpiclach, oni zawsze chętni do pracy, mają czas, nie potrzebują pieniędzy, bo dostają je z innego źródła" – pouczył go Kożuch. Ta błyskotliwa uwaga starego konspiratora pozwoliła mu potem lepiej zrozumieć działalność Solidarności i innych podziemnych organizacji. Ale nie zniechęciła do zaangażowania się w działalność Polskiej Partii Niepodległościowej.

## RELIGIJNY FANTASTA

Bardzo późno, bo w wieku 26 lat, Jęczmyk zaczął trenować dżudo. Trafił nawet do kadry narodowej. Zaprowadził go tam buddyzm zen i fascynacja Wschodem. Ale po okresie pierwszej Solidarności jako typowy żoliborzanin zetknął się z ks. Jerzym Popiełuszką, stając się nawet kimś w rodzaju jego ochroniarza. Przyszły męczennik przyprowadził go z powrotem do sakramentów i wiary katolickiej. Po latach pisał, że Armia Chrystusa poza św. Pawłem, gwałtem wcielonym w kamasze, składa się z samych ochotników. „A może wszyscy zostajemy porwani, tylko o tym nie wiemy?" – zastanawiał się.



eprasa.pl a752d979dc

*Koncerty z cyklu Młode Talenty co wtorek w Muzeum Fryderyka Chopina*

# W każdym pokoleniu potrzeba wirtuozów

Wielkim zadaniem dla strażników spuścizny Chopina jest nadawanie właściwej rangi wydarzeniom pielęgnującym pamięć o największym pianiście w dziejach. Wymaga to wsparcia wielu mecenasów kultury. Od wielu lat w promocję twórczości Fryderyka Chopina jest zaangażowany największy z nich – Orlen. W ramach swojego partnerstwa z Instytutem Fryderyka Chopina multienergetyczny koncern wspiera wiele wydarzeń, w tym Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa", a także koncerty organizowane z takich okazji, jak rocznice urodzin czy śmierci kompozytora. Najważniejszym wydarzeniem, któremu patronuje Orlen, jest Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Laureaci tego konkursu mają otwartą drogą na największe sceny świata.

Jednak wsparcie to nie ogranicza się tylko do zaangażowania w promocję uznanych wirtuozów, lecz także Orlen aktywnie wspiera młodych artystów, którzy w repertuarze Fryderyka Chopina widzą swoją sceniczną przyszłość. We współpracy z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina Orlen organizuje Krajowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina, który promuje młodych polskich pianistów. Ciągłe wsparcie koncernu obejmuje również takie projekty edukacyjne jak Mała Akademia Chopinowska i Młode Talenty.

„Naszym celem jest promowanie twórczości Fryderyka Chopina w jak najszerszym gronie odbiorców. Jako ekskluzywny patron instytutu wspieramy kompleksowo zakupy dzieł związanych z kompozytorem. Dzięki naszemu zaangażowaniu Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie otrzymało bezcenne manuskrypty kompozytora: dwa listy oraz balladę g-moll inspirowaną twórczością poety Adama Mickiewicza.

Dzieła Fryderyka Chopina są nieodłącznym elementem polskiego dziedzictwa narodowego. Stanowią wizytówkę naszego kraju na całym świecie. Wspierając Instytut Fryderyka Chopina, przyczyniamy się do realizacji dwóch istotnych zadań: promowania kultury narodowej i wzmacniania reputacji marki Orlen" – czytamy na stronie koncernu, także w języku angielskim.

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina powrócił w 2023 r. do organizacji cyklu koncertów Młode Talenty w Muzeum Fryderyka Chopina. Godzinne koncerty w wykonaniu młodych i utalentowanych pianistów odbywają od maja do września w każdy wtorek o godz. 17.00 w Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie przy ul. Okólnik 1. Bilety na koncerty w cenie 25 zł można nabywać osobiście w kasach Muzeum Fryderyka Chopina. Celem programu Młode Talenty jest wyłonienie młodych, uzdolnionych pianistów, którzy zostaną objęci mecenatem Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. Dotychczas w ramach programu swoje umiejętności zaprezentowali młodzi laureaci wielu konkursów pianistycznych krajowych i międzynarodowych: Piotr Orlow, Tomasz Białynicki-Birula, Józef Domżał, Maria Masuda, Jan Olesz, Maciej Smołąg, Antoni Kawecki, Marianna Sereda, Kamila Sacharzewska, Martyna Włodarczyk, Yevheniia Slipko, Adrian Hodor.

Przed nami koncerty Jana Bieniasza (1 sierpnia), Justyny Żołnacz (8 sierpnia), Dominika Gilewskiego (22 sierpnia), Tomasza Kłeczka (29 sierpnia), Georgi Vasileva (5 września), Marii Yakimenko (12 września), Piotra Jurkiewicza (19 września) i Jakuba Capały (26 września).

*„Wszak on był tym kapłanem, co nas rozproszonych w święty ojczyzny zapatrywał sakrament" – powiedział o Fryderyku Chopinie Ignacy Jan Paderewski. Opisując dziś wartość muzyki Chopina dla Polski, bezpieczniej posługiwać się cytatami, by nie popaść w grafomański patos. Słowa trudno znaleźć, gdyż Chopin to Polska, to nieśmiertelny skarbiec muzyki, której każda nuta natychmiast przywołuje na myśl to, co drogie dla każdego Polaka. A radością napawa fakt, że w każdym młodym pokoleniu znajdujemy artystów, którzy garną się do tego, by wciąż na nowo rozpalać dziedzictwem Chopina nasze serca*




Artykuł sponsorowany | 46/0223/F



eprasa.pl a752d979dc



Włoski renesans w Warszawie

# Wyjątkowa wystawa w Zamku Królewskim

*Bogaty program obchodów 50-lecia odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie pomału zbliża się do końca. W zaplanowanych na lata 2021–2024 wydarzeniach każdy koneser sztuki ma szansę znaleźć coś dla siebie, ale warto zwrócić szczególną uwagę na prezentowaną właśnie wystawę „Przebudzeni. Ruiny antyku i narodziny włoskiego renesansu", którą dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, prof. Wojciech Fałkowski, nazwał nieco żartobliwie „śmietanką śmietanki" i „XV w. w pigułce"*

Decyzja o nadaniu wysokiej rangi obchodom odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum czy zaangażowaniu w nie możnych mecenasów kultury z niezawodnym Orlenem, który zawsze stara się wspierać projekty istotne dla narodu polskiego, jest łatwa do uzasadnienia.

„W latach 2021–2024 obchodzimy jubileusz 50-lecia odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. W tym czasie chcemy przypomnieć, jak bardzo prace wokół zamku zjednoczyły Polaków, przywołać emocje sprzed lat, atmosferę społecznego zaangażowania oraz ofiarności, która przekroczyła wszelkie oczekiwania. Pragniemy uhonorować osoby, dzięki którym zamek powrócił do życia. Jubileusz to okazja, by z perspektywy wielu lat podsumować to wyjątkowe w skali światowej przedsięwzięcie docenione wpisem na listę światowego dziedzictwa UNESCO, które udało się zrealizować z sukcesem w tak krótkim czasie (1971–1984)" – tłumaczyli opiekunowie zamku, a dyrektor Fałkowski dodał w czasie inauguracji obchodów: „Decyzja o odbudowie była oczywista, ale powód, dla którego nie chciano odbudować zamku, był w istocie taki sam jak przyczyna zniszczenia przez Niemców. Zamek był i jest nadal symbolem polskiej państwowości, wielkiej historii i suwerennego niepodległego państwa".



- Na wystawie można podziwiać dzieła takich twórców, jak Pietro Perugino (wystawa zbiega się z przypadającą w tym roku 500. rocznicą śmierci Perugina, wybitnego wczesnorenesansowego malarza i rysownika, ucznia Piera della Francesca i nauczyciela Raffaella Santi), Pier Jacopo Alari Bonacolsi zwany Antico, Giovanni Bellini, Sandro Botticelli, Donato Bramante, Bartolomeo Suardi zwany Bramantino, Antonio Averlino zwany Filarete, Antonio Lombardo, Andrea Mantegna czy Andrea del Verrocchio.
- Wystawę można oglądać na II piętrze Zamku Królewskiego w Warszawie do 15 października br.
- Bilety są dostępne w kasie Zamku lub online na stronie: https://www.zamek-krolewski.pl/przebudzeni.
- Ekspozycji towarzyszy bogaty program edukacyjny.

O sile i atrakcyjności naszego państwa dziś świadczą także jego możliwości organizacyjne choćby przy takiej wystawie jak „Przebudzeni. Ruiny antyku i narodziny włoskiego renesansu", która prezentuje zbiór arcydzieł wypożyczonych z najbardziej prestiżowych muzeów. „Cała Florencja jest może nie u naszych stóp, ale możemy oglądać ją z bliska i takiego zbioru arcydzieł z całego świata – od Houston i Los Angeles, przez Waszyngton, Londyn i Paryż, praktycznie się nie da obejrzeć bez wielomiesięcznych czy wieloletnich podróży" – zauważył podczas otwarcia wystawy dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum, prof. Wojciech Fałkowski.

Jak czytamy na stronie internetowej Zamku Królewskiego, jest to pierwsza w Polsce wystawa zgłębiająca temat włoskiego renesansu w sposób tak gruntowny i wszechstronny, na przykładzie tak wielu cennych zabytków sztuki antycznej i wczesnorenesansowej – rzeźb, malarstwa, rysunków i grafik. Ponad 160 obecnych na niej eksponatów zostało wypożyczonych z ponad 50 instytucji i kolekcji prywatnych, wśród których znalazły się m.in. Galeria Uffizi (Florencja), Galeria Borghese (Rzym), Luwr, Muzeum Brytyjskie czy Narodowa Galeria Sztuki w Waszyngtonie.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Fot. Materiały prasowe



eprasa.pl a752d979dc

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

# „Apokawixa", czyli młodzież zagryzana

HBO i Netflix pokazują „Apokawixę", film Xawerego Żuławskiego. Cóż, spieram się o niego na lewo i prawo, nawet z moim sąsiadem z „Sieci" Łukaszem Adamskim. Sam lubię go, po prostu.

Byłem nim zaskoczony. Nie przepadałem za poprzednimi filmami syna sławnego reżysera. Były dla mnie zbyt jednostajne i męczące („Chaos", „Wojna polsko-ruska") albo za pozornie anarchiczną formą widziałem lewicowo-liberalną dydaktykę („Mowa ptaków").

To skądinąd zabawne – w „Mowie ptaków" z 2019 r. Żuławski dał wyraz lękowi przed polską młodzieżą przedstawianą jako prawicowo-pałkarska. Zaledwie w trzy lata później odkrył (?), że obraz jest inny. Licealna młódź organizująca w dobie pandemii gigantyczny melanż w pałacu Kamila, syna bogacza, jest albo histerycznie ekologiczna, albo hedonistyczna. Czy zmiany były aż takie wielkie, czy za każdym razem to produkt kolejnych uogólnień? Chyba bardziej to drugie.

Zresztą pretensje o wierność filmu „Apokawixa" realiom były wytaczane z wielu stron. Miał je nie tylko Adamski, lecz także studentki spotkane przeze mnie na festiwalu w Gdyni. Ich zdaniem to fantazje „dziadersa" na temat młodych, a nie rzetelny obrachunek. Tyle że narzekający nie zauważyli pewnej ewentualności. Żuławski bawi się zarówno filmowymi konwencjami, jak i stereotypami. Inaczej – chyba – niż w „Mowie ptaków", on rozmyślnie mnoży banalne wyobrażenia, żongluje sloganami.

Niektórzy przedstawiają ten film jako ekologiczny, bo finalna katastrofa ma się brać z zanieczyszczeń. Ale możliwe, że to parodia lęków ekologów. A nawet jeśli tak literalnie nie jest, ekologiczne przeczulenie graniczące z fanatyzmem jest przedstawiane jako groteskowe. Czy to głębsza diagnoza: zobaczcie, jak wygląda nowa, wydumana tożsamość części młodzieży? Czy tylko bezceremonialne poczucie, że można drwić w sumie ze wszystkiego?

Zarazem nie wszyscy młodzi są tu przedstawieni jako upierdliwi ekologowie. Ba, nawet epatowanie szaleńczym imprezowaniem okazuje się cokolwiek pozorne – owszem są piguły, dopalacze, ale główny hulaka okazuje się w finale bardziej niewinny, niż się zdawało. To sympatyczna obserwacja. Myślę, że choć Żuławski nie odkrył socjologicznych Ameryk, dobrze wychwycił swoisty eklektyzm pojęć, gustów i emocji najmłodszego pokolenia.

Zrobił to od niechcenia, bo pamiętajmy: to jednak klimatyczna zabawa konwencjami. W Polsce, gdzie prawie nie ma kina gatunkowego, dostaliśmy w drugiej części pastisz horroru, klasycznego zombie movie z całą jego rozedrganą stylistyką. Dostaliśmy też feerię pomysłów odjechanych. Sebastian Fabijański, jeden z niewielu aktorskich „dziadersów", gra kompletnego oszołoma Blitza. Jest on wzorowany na autentycznej postaci znanej w filmowym światku.

Wszelkie wymowy tego filmu są do bólu otwarte, każdy może wybrać własne. Albo nie ma ich tu wcale. Widzowie w Gdyni epatowali się scenami, gdy młodzież ucieka przed zombiakami podziemnym korytarzem, co uznano za parodię filmowej polskiej szkoły, „Kanału". A kiedy Kamil zabierał się za wymuszone zabijanie ojca, pytano, czy Żuławski dworuje sobie z relacji ze swoim rodzicielem.

Mnie to się po prostu dobrze oglądało. To także zasługa ekipy świetnych młodziaków. Mój ulubiony krakowski aktor Mikołaj Kubacki jako Kamil Wilk bije rekordy charyzmy.



Wypada wymienić rewelacyjną Natalię Pitry, a także Alicję Wieniawę-Narkiewicz, Mariusza Urbańca, Mikołaja Matczaka, Aleksandra Kaletę, Oskara Wojciechowskiego, Walerię Gorobets. Życzę im w kolejnych projektach tyle luzu, ile wykrzesali z siebie w „Apokawixie". Uprzedzam: dla konserwatywnych widzów może to być film niestrawny. Ale i „Wyborcza" jest niezadowolona.

**Piotr Zaremba**

# Morze, które jest jeziorem

*Dla tych, którzy spędzają wakacje nad Bałtykiem, mam ciekawe informacje. Mogą one zainteresować zresztą każdego, kto choć trochę interesuje się sprawami przyrody. Otóż nadmorski region naszego kraju jest miejscem oryginalnym i obfitującym w ewenementy przyrodnicze. Popatrzmy więc na ten obszar przez pryzmat niezwykłych gatunków, tajemniczych siedlisk, zachwycających ekosystemów i zjawisk geologicznych. Niech nasz pobyt nad morzem stanie się czasem zachwytu nad naturą*



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

„Spośród licznych dziś rzesz zwiedzających urocze brzegi naszego morza niewielu zapewne zdaje sobie sprawę, że bałtyckie wody to środowisko niezwykłego eksperymentu przyrody, że Bałtyk pod względem faunistycznym i florystycznym stanowi przedmiot wprost wyjątkowo przyrodnika interesujący" – tak o wybrzeżach II RP pisał równo 100 lat temu znakomity zoolog prof. Antoni Jakubski, podpułkownik piechoty Wojska Polskiego, lwowiak, podróżnik, zdobywca Kilimandżaro (1910), więzień KL Auschwitz.

Przywołanie postaci Antoniego Jakubskiego wiedzie do zaprezentowania bardzo przewrotnej teorii. Otóż naukowiec ten, nie będąc odosobniony w swoich sądach, twierdził, że Bałtyk to nic innego jak duże jezioro! Że basen ten jest szeroko rozlanym ujściem wielu rzek, które następnie w okolicach Danii uchodzą do Morza Północnego. Teorię tę możemy potwierdzić sami. Podczas kąpieli można zauważyć, że wody Bałtyku są mało słone. W porównaniu do innych mórz i oceanów Bałtyk ma wręcz słodką wodę. Jest najmniej słonym morzem na świecie. Zasolenie Morza Śródziemnego to 3,8 proc., Bałtyk jest niemal pięć razy mniej słony. Jego zasolenie to zaledwie 0,8 proc. Jeżeli więc cechą decydującą o byciu morzem byłoby zasolenie, Bałtyk mógłby się nie załapać.

Co więcej, we współczesnej literaturze naukowej poświęconej florze morskiej można przeczytać o przeciwstawieniu Bałtyku obszarom „w pełni morskim". Czyli Bałtyk również z punktu widzenia zoologii to środowisko nie w pełni morskie! Także głębokość tego zbiornika bardziej klasyfikuje go jako jezioro. Bałtyk bowiem to najpłytsze z mórz świata. Jego średnia głębokość to zaledwie 52 m, gdy np. średnia głębokość Morza Czarnego to 1315 m. W przeszłości geologicznej zaistniał już incydent, kiedy to, co dziś nazywamy Morzem Bałtyckim, było płytkim, słodkim jeziorem. Ten etap trwał ok. 1 tys. lat, od ok. 7900 p.n.e. do 6800 p.n.e. Obecnie naukowcy tę formę istnienia Bałtyku nazwali Jeziorem Ancylusowym.

## BAŁTYCKIE ENDEMITY

W efekcie niskiego zasolenia Morze Bałtyckie jest ubogie w gatunki morskie naturalnie przystosowane do życia w słonej wodzie. Listę nieobecnych Jakubski przedstawił w formie litanii: „Brak rozgwiazd, jeżowców, ukwiałów, głowonogów, ostryg, osłonic, homarów, krabów". Nie dajmy się jednak zmylić – miejsce wszechoceanicznej czeredki zajęły dystyngowane w swojej oryginalności

gatunki endemiczne. Wypatrujmy więc w wodach Bałtyku flądry bałtyckiej (*Platichthys solemdali*), ryby tak niepowtarzalnej, że będącej wyłącznie bałtycką specjalnością.

Bycie endemitem oznacza, że nie występuje się nigdzie indziej poza jednym miejscem. Takie wymagania oprócz wymienionej flądry spełnia dziwny organizm o łacińskiej nazwie *Fucus radicans*. Ten twór, potocznie zwany wodorostem, który nie należy ani do królestwa roślin, ani do królestwa zwierząt, ale też nie jest grzybem ani organizmem bezjądrowym, lecz jak wszystkie brunatnice należy do protistów, jest bałtyckim endemitem. Żeby doświadczyć czegoś wyjątkowego, czyli spotkania z oryginalnym morszczynem *Fucus radicans*, wypatrujmy na plażach brązowej, skórzastej, krzaczastej plechy, ozdobionej kulistymi pęcherzami pławnymi (uwaga! łatwo pomylić z podobnym morszczynem pęcherzykowatym). Może zdarzyć się bowiem, że to cudo zostanie wyrzucone na brzeg przez fale.

Kolejnym endemitem, o którym warto wspomnieć, jest sercówka drobna (*Parvicardium hauniense*) – najmniejszy bałtycki małż zamknięty w pięknej, delikatnej, niemal przezroczystej muszli o asymetrycznym kształcie, która ma charakterystyczne, nieco fraktalowe żebrowania. Jeżeli ktoś chciałby ją znaleźć, by nacieszyć oko fenomenem bałtyckiej przyrody, powinien przeczesywać piaski plaż w Zatoce Puckiej, gdyż wyłącznie tam ten mięczak występuje.

## PODMORSKIE ŁĄKI

Zostera morska (*Zostera marina*) nie jest endemitem, to powszechny na całym świecie gatunek roślin wodnych. Niemniej jednak polska populacja jest zagrożona wyginięciem. Jeśliby wymarła, przepadłaby wraz z nią cała romantyczna rzeczywistość podwodnych łąk. Zostera jest rośliną nazywaną potocznie trawą morską (niemniej jednak z trawą nie ma taksonomiczne nic wspólnego). A skoro jest trawa – są i łąki. Zielone pędy tworzą podmorskie, tajemnicze zarośla. Te falujące, prześwietlane słońcem gęstwiny są bezcenne dla ryb i innych morskich organizmów. Pod osłoną morskiej trawy zwierzęta mogą spokojnie żerować, ryby mają miejsce na składanie ikry, a narybek znajduje tam wygodne schronienie. Ten ultracenny, delikatny ekosystem uległ degradacji. Obecnie jednak jest pod ochroną i miną pewnie lata, zanim znów w Zatoce Puckiej będziemy mogli podziwiać hektary podmorskich, zielonych łąk.

Na świecie istnieją szlachetne kamienie i szlachetne metale – bardzo drogie, będące przedmiotem spekulacji i odgrywające rolę narzędzi inwestycyjnych. Żaden z nich nie może się jednak równać bursztynowi – szlachetnej żywicy. Żaden z kamieni ani metali nie ma tak urzekającej proweniencji jak bursztyn. Gdy wyobrazimy sobie tajemnicze, zupełnie inne niż współcześnie drzewa porastające planetę kilkadziesiąt milionów lat temu, a następnie skojarzymy je ze lśniącymi bryłkami odnajdywanymi w piasku, to z pewnością doznamy nierzeczywistego odczucia. Znaleziony na bałtyckiej plaży bursztyn będzie artefaktem, który sprawi, że staniemy się uczestnikami wydarzeń, których upływ nie jest mierzony w latach ani tysiącleciach, lecz eonach i eratemach. Żywica, która wysączyła się z tych dziwnych drzew 50 mln lat temu, to jeden z większych skarbów Bałtyku. Poszukiwanie go może być fascynującą przygodą podczas wakacyjnych dni.

## FENRIR – WILK Z BAGIEN

Bałtyk jest pełen zagadek, w których mity i legendy łączą się ściśle z unikatową bałtycką przyrodą – a na koniec dawne opowieści okazują się prawdziwe. Weryfikuje je także geomitologia, czyli nowa gałąź nauki wyjaśniająca legendarne zdarzenia na gruncie geologii. Zacznijmy od historii sięgających 10 tys. lat wstecz, czyli od wilka z bagien zwanego przez Skandynawów Fenrir.



Fenrir w mitologii skandynawskiej był gigantycznym wilkiem, narodzonym ze związku Lokiego i olbrzymki Angerbody. Był tak wielki, że jego rozwarta paszczęka dotykała ziemi i nieba. Ma on powrócić w dzień Ragnarök, ostatniej walki bogów z olbrzymami (na szczęście według mitów rokowania są pomyślne, po bitwie ma nastać era szczęśliwości i pokoju). Na razie Fenrir spoczywa skrępowany w głębi bagien. Niekiedy ryczy i wyje, a wówczas ziemia się trzęsie.

Kiedy ok. 10 tys. lat temu lodowiec przestał już przygniatać swoją gigantyczną masą Skandynawię, ląd zaczął się unosić. Z początku tempo ponownego wypiętrzania było bardzo szybkie – w niektórych rejonach ziemia podnosiła się o pół metra na rok. Z czasem proces spowolnił, jednak i dziś w niektórych częściach Szwecja w ramach tzw. ruchów glaciizostatycznych podnosi się o półtora centymetra rocznie.

Obecnie naukowcy uważają, że legenda i dawne historie o uwięzionym olbrzymim wilku są opisami trzęsień ziemi, do których dochodziło i wciąż dochodzi podczas gwałtownych przemieszczeń powodowanych przez wypiętrzanie się lądu w rejonach uskoków. Wstrząsy skorupy ziemskiej w krajach nadbałtyckich są spowodowane nie tylko podnoszeniem się Półwyspu Skandynawskiego, lecz także ruchami wynikającymi ze zjawisk krasowych, fałdowaniem alpejskim, które wciąż zachodzi w niektórych częściach kontynentu, oraz tzw. ruchami soli.

Zjawiska te mogą wyjaśniać również inne legendy. W XI w. nagłe podniesienie się dna Dźwiny uniemożliwiło atak łodzi wikingów. W 1194 r. doszło do cudu św. Ottona, misjonarza nawracającego Pomorze Zachodnie na prośbę Bolesława Krzywoustego. Wówczas to zalany wcześniej teren na wyspie Wolin uniósł się, umożliwiając budowę kościoła (geologiczny mechanizm nie podważa wcale cudowności zdarzenia i boskiej interwencji).

## MORSKI NIEDŹWIEDŹ ZAATAKOWAŁ W DARŁÓWKU

W przeciwieństwie do wilka z bagien geneza ataków morskiego niedźwiedzia na polskim wybrzeżu jest bardziej niejasna. Co to jest

Zdjęcia Shutterstock



eprasa.pl a752d979dc



morski niedźwiedź? Jest to zjawisko, które może być bałtycką odmianą tsunami, podczas którego woda nagle i bez ostrzeżenia zalewa ląd, czemu towarzyszy niski pomruk, od którego fenomenu wziął swoją nazwę. Niedźwiedź morski nie jest sztormem – chociaż ataki zdarzały się podczas wzburzonego morza, dochodziło do nich także wówczas, kiedy Bałtyk był zupełnie spokojny.

Mnich z kartuskiego klasztoru tak opisał zdarzenie, które miało miejsce 16 września 1497 r.: „Ósmego dnia po Narodzinach Maryi, roku 1497, w piątek w południe, zerwał się sztorm z północnego-zachodu i trwał do późnego wieczora, wywołując powódź. W Darłówku zostały całkowicie zniszczone nabrzeża portowe, paraliżując na długi czas handel. Ich odbudowa pociągnęła za sobą wysokie koszty. Prawie wszystkie domy zostały rozmyte, wszystko bydło potonęło, a rzeczka (Lutowa łącząca Wieprzę z jeziorem Kopań) została zapiaszczona. Cztery cumujące w porcie statki, w tym duży Kreyer, zostały wyrzucone na ląd. Jeden koło Żukowa Morskiego, dwa koło klasztoru kartuzów, jeden aż w pobliżu kaplicy św. Gertrudy. W klasztorze woda stała w krużgankach i w kościele do wysokości ołtarzy". Podczas XV-wiecznego ataku morskiego niedźwiedzia woda podniosła się aż do wysokości 20 m.

Hipotezy próbujące wyjaśnić przyczyny ataków morskiego niedźwiedzia wskazują na możliwość wybuchów metanu, zgromadzonego w dnie morskim, kombinacji ośrodków niskiego i wysokiego ciśnienia atmosferycznego wywołujących tzw. meteotsunami itp.

W 1757 r. opisano atak w Kołobrzegu i Mrzeżynie, a w 1779 r. w Łebie i Trzebiatowie. Niedźwiedź morski nie jest zjawiskiem jednorazowym. Być może wciąż czai się w morskim dnie, a jego powrót nie jest wykluczony.

## JADOWITY OSTROSZ

„[...] wszedłem pod Szewelingiem [Scheveningen, dziś część Hagi] w morze i bawiąc się w niem kilka godzin z kompasem, natrafiłem sieć rybaczą, z której em chciał, co ryb wyjąć, w czymem się zakłół o tę rybę, co ją tu pitermanem [ostroszem] zowią, rzecz tak jadowitą, że nie wiem, jako ją tu jadać śmieją [...]. Kilka nocy spać-em nie mógł i od ciężkich bólów i palenia dobrzem nie oszalał. Ręki-m do połtoru niedziel ruszyć nie mógł, i teraz jeszcze tego vestigia zostawają. Ale nie dbam, kiedym tego dostąpił, czegobym za kilka tysięcy złotych nie dał".

W ten sposób Krzysztof Arciszewski opisał swoje nurkowanie, które miało miejsce w 1624 r. w Morzu Północnym. W tym celu użył skonstruowanego przez siebie skafandra. Być może był to pierwszy taki na świecie skafander umożliwiający kilkugodzinne chodzenie po dnie morskim, a Arciszewski był pionierem nurkowania przy użyciu sprzętu.

Ryba, której kolcami zakłuł się Polak, to ostrosz. W Morzu Północnym żyje ostrosz wipera (*Echiichthys vipera*) nazywany też ostroszem żmijką. Choć rzadko, szczególnie w ostatnich latach bywa spotykany w Bałtyku. Wyłupiastooki, dorasta kilkunastu centymetrów długości, żyje przy dnie. Pokrywy skrzelowe oraz płetwa grzbietowa są uzbrojone w kolce jadowe, a ich ukłucie powoduje niesamowity i długotrwały ból.

> We współczesnej literaturze naukowej poświęconej florze morskiej można przeczytać o przeciwstawieniu Bałtyku obszarom „w pełni morskim". Czyli Bałtyk również z punktu widzenia zoologii to środowisko nie w pełni morskie!

## MORSKA ŚWINIA

Czego jeszcze wypatrywać nad polskim morzem? Kto lubi nocne spacery, niech – uważając, żeby nie zdeptać żerujących po zmroku zmieraczków – wybierze się nad Zatokę Pucką. W ostatnim okresie zdarzało się w jej wodach zaobserwować zjawisko świecenia morza, czyli rozświetlania morskiej toni przez bioluminujące masy jednokomórkowych bruzdnic (*Dinoflagellata*).

W Bałtyku żyje kilka gatunków fok. Na naszym wybrzeżu najczęściej – o ile można tak powiedzieć o tym rzadkim stworzeniu – spotyka się szarytkę bałtycką, czyli fokę szarą (*Halichoerus grypus*). Mówiąc o miejscach, w których można ją obserwować, należy pamiętać, że pośród zagrożeń dla fok na jednym z pierwszych miejsc wymienia się niepokojenie. Lepiej więc nie dążyć za wszelką cenę do zaobserwowania foki, kontentując się świadomością, że nurkuje gdzieś w zielonkawej toni lub wygrzewa się na ustronnej plaży.

Choć bałtyckie foki są rzadkie, znacznie gorzej wygląda sytuacja morświna (*Phocoena phocoena*). Ten jedyny rodzimy bałtycki waleń, pokrewny delfinom, jest uznany za krytycznie zagrożonego. Pośród wielu innych niebezpieczeństw dla morświnów zagrożeniem jest niekontrolowany ruch wodnych pojazdów silnikowych – szybkich łodzi, skuterów itp., generujących hałas zaburzający echolokację waleni i bezpośrednio raniących je śrubami.

Na tym przyrodnicze osobliwości Bałtyku, morza wciąż zagadkowego, wcale się nie kończą.

# Kadra jest święta, tu nie ma miejsca na fochy






eprasa.pl a752d979dc

„Poprowadził Polskę do złota". Trudno wyobrazić sobie chyba większą satysfakcję dla sportowca w grach zespołowych niż czytanie takich tytułów. Dzięki jego nieprawdopodobnej grze w finale ze Stanami Zjednoczonymi Polska po raz pierwszy wygrała Ligę Narodów

***Z siatkarzem reprezentacji Polski Łukaszem Kaczmarkiem rozmawia Cezary Kowalski (Polsat Sport)***

***Jak odbierasz ten sukces?***

To wielka frajda dla mnie. Takiego rozgłosu jeszcze nie miałem, wyjątkowy czas. Jestem szczęśliwy, że pod nieobecność naszego lidera Bartka Kurka mogłem go zastąpić i drużyna tak wspaniale zagrała. A do tego osiągnęliśmy to na polskiej ziemi, przy naszych wspaniałych kibicach. To smakuje wyjątkowo.

***Zaraz po meczu powiedziałeś, że jesteś w tym miejscu tylko na chwilę, że to miejsce jest zarezerwowane dla Kurka... Nie za skromnie? Przecież na tym także polega sport, na wykorzystaniu swojej szansy...***

Mam niesamowity szacunek do Bartka. Jest dla mnie zaszczytem być u boku takiego sportowca i człowieka. Dzięki niemu rozwijam się i jestem lepszym siatkarzem. On jest naszym kapitanem i liderem. Świadczy o tym też to, jak po kontuzji poza parkietem wspierał naszą drużynę, jak mi osobiście pomagał. Zdaję sobie w 100 proc. sprawę, że gdyby był zdrowy, to na pewno by grał. Jest najlepszym atakującym na świecie. Znam swoje miejsce w szeregu, jak wróci, będzie jedynką, a ja mu będę pomagał.

***Największa gwiazda Ligi Narodów po prostu się przesunie. Nie będziesz mieć z tym żadnego problemu?***

Absolutnie nie. Dla mnie największym wyróżnieniem jest obecność w tej grupie, w reprezentacji Polski. I gdyby reszta podchodziła inaczej do tematu, mielibyśmy bardzo dużą grupę ludzi obrażonych w drużynie. Mamy przecież wybitnych graczy. Jest ich wielu. Np. trzykrotnych zdobywców Ligi Mistrzów, którzy siedzą na ławce, najlepszego siatkarza naszej ligi, który także jest rezerwowym. Najwspanialsze w tej ekipie jest to, że nikt nie jest zły, jeśli nie wychodzi w pierwszym składzie. Wiemy, jakie mamy bogactwo, jaki to jest poziom, każdy po prostu spokojnie czeka na swoją szansę i traktuje ją jako pomoc dla reprezentacji. To jest klucz do sukcesu. Przecież w walce o Ligę Narodów wzięło udział z 30 zawodników i każdy był w stanie dać coś dobrego. Wiele razy było tak, że zaczynał jeden skład, a kończył drugi. Każdy sobie pograł. Jesteśmy supergrupą, prawdziwym kolektywem, każdy każdego wspiera.

Najwspanialsze w tej ekipie jest to, że nikt nie jest zły, jeśli nie wychodzi w pierwszym składzie. Wiemy, jakie mamy bogactwo, jaki to jest poziom, każdy po prostu spokojnie czeka na swoją szansę i traktuje ją jako pomoc dla reprezentacji. To jest klucz do sukcesu

***Kiedyś słynny piłkarski trener José Mourinho powiedział, że kluczem do zwycięstwa jest sprawienie, by rezerwowi też byli szczęśliwi...***

Zgadzam się w 100 proc. Trzeba też powiedzieć, że kompletnie inaczej podchodzi się do tego w klubie i reprezentacji. Kadra jest święta, tu nie ma miejsca na fochy.

***Na czym polega fenomen polskiej siatkówki? Czy tylko wasza dobra gra zdecydowała o tym, że Polska jakiś czas temu zwariowała na punkcie tej dyscypliny?***

Na meczach siatkówki panuje niesamowicie pozytywna, rodzinna atmosfera. A to przyciąga, ludzie chcą być w takim towarzystwie, dobrze się bawić, przeżywać mecze, mieć swoich idoli. Na meczach siatkówki można spotkać kilkumiesięczne bobasy na ramionach swoich matek czy np. panią, która skończyła 102 lata, rok temu kibicowała nam w Katowicach. Od razu na myśl przychodzi piłka nożna. Chodzę na mecze i widzę, że te ich oprawy to jest zupełnie coś innego. Z czego to wynika? Także ze specyfiki gry. W siatkówce każda akcja jest ważna, trzeba się na niej skoncentrować, bo za chwilę będzie rozstrzygniecie. Trzy sekundy, 15 sekund i bach. W futbolu rzeczy dzieją się dużo dłużej, ludzie nie są tak skoncentrowani. Myślę, że np. kobiety, które nie do końca interesują się sportem, o wiele łatwiej namówić na mecz siatkówki niż piłki nożnej. To jest trochę inna publika. No i ten hymn śpiewany przez całą halę na stojąco. Ciarki przechodzą.

***To tylko zabawa czy także uniesienie patriotyczne?***

Nie wiem, jak to jest ze strony kibiców, ale kiedy ja jako siatkarz reprezentacji Polski stoję, śpiewam i widzę, jak oni śpiewają, to... Moim zdaniem jest to coś, co oddaje niesamowity szacunek do naszego kraju.

Fot. Andrzej Iwańczuk / REPORTER / East News



eprasa.pl a752d979dc




***W przypadku reprezentacji piłkarskiej trwa dyskusja, czy selekcjonerem powinien być Polak, czy obcokrajowiec. Wy od dawna macie zagranicznych trenerów i wychodzi świetnie...***

Inny język, którym posługuje się trener, nie jest najistotniejszy. W grach zespołowych najważniejsza jest komunikacja zawodników z trenerem, sztabem szkoleniowym. Trener Nikola Grbić bardzo dobrze poznał realia, polską siatkówkę. Był dwa lata w ZAKSA Kędzierzyn-Koźle, także jego sztab z tamtych czasów jest teraz w kadrze. Zna nas, ma do nas zaufanie, zna Polskę. Trener musi znać mentalność ludzi, którzy żyją w danym świecie. Patrzę na piłkę nożną, kibicuję piłkarzom, serce mnie boli, gdy widzę hejt, który jest wylewany na zawodników Fernando Santosa.

***Z jakiegoś powodu on się jednak bierze...***

Oczywiście. Z wyników, ale patrząc z zewnątrz, to widzę, że trenerom nie daje się zbyt dużo czasu. Santos musi poznać polską piłkę i mentalność, to wymaga czasu. Nie wierzę, że taki gość może sobie nie poradzić w dłuższym dystansie. Cierpliwością powinno wykazać się przede wszystkim społeczeństwo, kibice. Mamy jednego z najlepszych w swoim fachu, poczekajmy.

> Na meczach siatkówki panuje niesamowicie pozytywna, rodzinna atmosfera. A to przyciąga, ludzie chcą być w takim towarzystwie, dobrze się bawić, przeżywać mecze, mieć swoich idoli. Na meczach siatkówki można spotkać kilkumiesięczne bobasy na ramionach swoich matek czy np. panią, która skończyła 102 lata

***Z selekcjonerem rozmawiacie po angielsku?***

Tak, ale on jest Serbem i bardzo dużo rozumie po polsku, uczy się języka. Jestem z nami drugi rok w kadrze.

***To prawda, że będąc dzieckiem, spałeś z piłą nożną i piłką do siatkówki?***

Oczywiście. Grałem przede wszystkim w piłkę, większą frajdę sprawiało mi wbicie piłki do siatki niż przerzucenie ją na drugą stronę siatki. Od drugiej klasy podstawówki przerzuciłem się na siatkówkę całkowicie i tak trwam do dzisiaj. Moi rodzice, dziadkowie, wujek – wszyscy zawsze byli związani ze sportem.

***Zawsze byłeś taki duży?***

Zawsze większy od innych. Od przedszkola.

***Ksywka Zwierzu ci nie przeszkadza?***

Nie. Lubię ją. Nazwał mnie tak trener w siatkówce plażowej Grzegorz Klimek, którego serdecznie pozdrawiam.



eprasa.pl a752d979dc



Osiągnąłem dzięki niemu wiele sukcesów. Mam bardzo długie ręce. Od tego się to wzięło. Zwierzu, Zwierzu, Zwierzu... I tak zostało.

***Zaczynałeś od siatkówki plażowej...***

Tak i osiągnąłem wiele sukcesów w tej dyscyplinie. W trzeciej klasie gimnazjum poszedłem do plażówki, grałem w młodzieżowych turniejach mistrzostw Europy czy świata. Kończąc przygodę z siatkówką plażową, zacząłem od zera. Poszedłem do drugiej ligi do Victorii Wałbrzych, miałem 19 lat, później pierwsza liga i krok po kroku, powoli szedłem wyżej. Nie chciałem rzucać się na głęboką wodę. W życiu nie zamieniłbym tej drogi na inną, choć była ona ryzykowna.

***Byłeś w pewnym momencie na bardzo poważnym zakręcie...***

Cztery lata temu, w 2019 r., miałem zapalenie mięśnia sercowego, powikłanie po grypie. Nie do końca było wiadomo, czy dalej będę mógł uprawiać sport. Przeszło mi przez myśl, jak znalazłem się w szpitalu, że to koniec z siatkówką.

***Wszyscy mówią, że jesteś bardzo rodzinnym facetem. Prezentujesz swoje życie rodzinne w mediach społecznościowych. To prawdziwy wizerunek?***

Tak. Rodzina to moja pasja. Oni mnie bardzo wspierają. Pojawienie się na świecie naszych dwóch córeczek było ogromną motywacją. Człowiek odkrywa się na nowo. Dopóki nie zostałem ojcem, nie zdawałem sobie sprawy, że można mieć aż tak wyjątkową więź z drugim człowiekiem. Jak one są ze mną na meczach albo na co dzień... Nie zamieniłbym tych chwil na nic innego.

***Jesteś konserwatywny?***

Jestem osobą wierzącą, przed wejściem na boisko wykonuję znak krzyża, to żadna tajemnica. Wiele razy czy to modlitwa, czy wsparcie Boga pomagały mi w życiu. Gdyby nie wsparcie Boga, które dostaję, nie byłoby mnie w tym miejscu. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

***Podobno w parafii w twoim rodzinnym Krotoszynie twoje zdjęcie stoi obok fotografii Jana Pawła II?***

To prawda, ksiądz proboszcz jest moim fanem. Wiem, że ten finał oglądali w parafii i miałem specjalne wsparcie, moja fotografia jest tam na zaszczytnym miejscu.

***Jesteś bardzo skromnym chłopakiem. Sukces cię nie zmieni?***

Zostałem wychowany w niesamowitej miłości, ale w normalnych, skromnych warunkach. Wiele lat grałem za możliwe najniższe wynagrodzenie, więc wszystko, co mam, obecnie bardzo doceniam. Nigdy nie lubiłem robienia czegokolwiek na pokaz. Wręcz się tym brzydziłem. Moim priorytetem było założenie, że jeśli w życiu coś osiągnę, to będę tym samym człowiekiem, który kiedyś miał tak niewiele. Nie mógłbym sobie spojrzeć w lustro, gdybym teraz nagle zaczął epatować swoim sukcesem i nosić się jak gwiazda.

***Kolejne cele na ten sezon?***

Kwalifikacje do igrzysk i mistrzostwa Europy. A potem zawalczymy o upragniony medal olimpijski. Dla tych świetnych kibiców, którzy są z nami na dobre i złe.

Fot. Piotr Hukało / EastNews (2)



eprasa.pl a752d979dc




Fot. Materiały prasowe ORLEN

*Triumf w Lidze Narodów pokazał, jak mocne są fundamenty*

# Siatka, czyli polska specjalność

*Polscy siatkarze umocnili się na szczycie rankingu światowego po triumfie w Lidze Narodów. Polskie siatkarki po wywalczeniu brązowego medalu Ligi Narodów wciąż są sklasyfikowane na siódmym miejscu, ale z pewnością chcą skończyć tegoroczny sezon na wyższej pozycji. O siatkówce można niezmiennie mówić jako o polskiej specjalności, a nasz kraj można bez żadnej przesady nazwać siatkarską potęgą*

Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej (FIVB) od lat chętnie wyznacza na miejsce wielkich imprez Polskę. Po pierwsze, mamy wielkie, nowoczesne hale, w których można organizować turnieje przy kilkunastotysięcznej widowni, a po drugie – polscy kibice z entuzjazmem wypełniają te miejsca, zagrzewając sportowców żywiołowo do walki. Ten doping, który niósł się z trybun obiektu w Gdańsku, poprowadził właśnie Biało-Czerwonych do pierwszego w historii zwycięstwa w Lidze Narodów.

## KONTUZJA LIDERA, ALE BEZ PANIKI

O sportowych aspektach sukcesu naszych siatkarzy napisano i powiedziano już wszystko. Warto jednak dłużej zastanowić się nad znaczeniem faktu, że w najważniejszych meczach turnieju finałowego Ligi Narodów reprezentacja Polski musiała sobie poradzić bez swojej największej gwiazdy, którą jest Bartosz Kurek. Uznawany za najlepszego atakującego świata siatkarz niestety przegrał z kontuzją. Jego absencja była jednak właśnie tym czynnikiem, który uświadomił wszystkim kibicom, jak silna jest dziś reprezentacja Polski. Gdy zabrakło kapitana i lidera, natychmiast znalazł się godny następca, który zagrał w sposób fenomenalny. Łukasz Kaczmarek w finałowym meczu przeciwko USA zdobył aż 25 punktów, czyli w zasadzie wygrał jeden z setów w pojedynkę! To wyjątkowe dokonanie zmiennika Bartosza Kurka pokazało nam właśnie, jak mocne są fundamenty, na których spoczywa siła reprezentacji seniorskiej. To, co oglądamy na parkietach wielkich imprez, jest efektem wieloletniej, często mniej spektakularnej pracy u podstaw. To w turniejach juniorskich, planach szkoleniowych, rozgrywkach, których wyniki śledzą jedynie pasjonaci, rodzą się talenty na miarę przyszłych zwycięstw w największych imprezach. Mocna, różnorodna kadra, głodni gry zmiennicy i możliwość częstych zmian są w siatkówce czynnikami zazwyczaj decydującymi o sukcesie. W polskiej reprezentacji widzimy te zalety bardzo dokładnie. Chociaż w ostatnich latach nie brakuje nam znakomitych wyników na wielkich turniejach, to niemal zawsze były one osiągane w zupełnie innych składach. Dość powiedzieć, że Bartosz Kurek jest jedynym polskim siatkarzem, który wywalczył cztery złote medale wielkich imprez – mistrzostw Europy, dwukrotnie mistrzostw świata i teraz Ligi Narodów. Poza Kurkiem na każdych z tych zawodów o sile drużyny stanowili inni zawodnicy. Można się tylko cieszyć, że choć statystycznie najwyższym narodem na świecie są Holendrzy, to w Polsce udaje się bez trudu znajdować dwumetrowych sprawnych fizycznie mężczyzn i tylko nieco niższe kobiety, którzy garną się do uprawiania siatkówki.

## NIE MA CZEGO POPRAWIAĆ

Z pewnością nie bez znaczenia dla rozwoju siatkówki są także stabilne fundamenty finansowe Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Dzięki wieloletniej współpracy PZPS z ORLENEM został osiągnięty wysoki standard pracy zarówno szkoleniowej, jak i organizacyjnej. Obecnie nie sposób wskazać obszar, w którym należałoby w polskiej siatkówce coś poprawić. Jako kibice możemy sobie chyba jedynie życzyć – chwilo, trwaj. A okazja do kibicowania Biało-Czerwonym już za kilka tygodni. Najpierw panie, a potem panowie będą rywalizować w mistrzostwach Europy. Po tak spektakularnych sukcesach obydwu reprezentacji w Lidze Narodów nasze ambicje sięgają w tych turniejach bardzo wysoko.

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F



eprasa.pl a752d979dc

*Wielkie ściganie na trasie jubileuszowej 80. edycji Tour de Pologne o żółtą koszulkę ORLEN*

# Kolarze pokazują piękno Polski

*Trwa wielkie święto kolarstwa szosowego w Polsce. Dziś, 31 lipca, odbędzie się trzeci etap 80. jubileuszowej edycji Tour de Pologne z Wałbrzycha do Dusznik-Zdroju. To największa cykliczna impreza sportowa w naszym kraju, zaliczana przez Międzynarodową Unię Kolarską (UCI) do cyklu najważniejszych wyścigów UCI World Tour, w którym w 2023 r. znalazło się 20 wydarzeń jednodniowych i 15 tourów wieloetapowych*








Fot. Materiały prasowe ORLEN

Kolarze rozpoczęli zmagania w Tour de Pologne w sobotę 29 lipca od 183-km etapu wokół stolicy Wielkopolski ze startem i z metą zlokalizowaną na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. W niedzielę odbył się najdłuższy, ponad 200-km etap z Leszna do Karpacza, gdzie oprócz mety etapu rozegrano także ORLEN Tour de Pologne Amatorów – Memoriał Ryszarda Szurkowskiego, czyli jednoetapową imprezę dla wszystkich miłośników ścigania na rowerach, która towarzyszy zmaganiom profesjonalistów.

Trzeci etap tegorocznego TdP rozpocznie się w Wałbrzychu i będzie to typowy górski etap z przewyższeniem wynoszącym ponad 3000 m. Żeby dojechać do mety w Dusznikach-Zdroju, zawodnicy będą musieli pokonać 163 km. Widowiskowa meta jest zlokalizowana na arenie biathlonowej Centralnego Ośrodka Sportu. Na liczącym ponad 198 km czwartym etapie peleton wróci w nieco bardziej płaskie tereny, co sprawi, że znów będą mogli wykazać się sprinterzy. Kolarze przejadą z dolnośląskiego Strzelina najpierw na zachód, do Sobótki, a później zawrócą i skierują się na Opolszczyznę, do stolicy tego województwa. Liczący prawie 199 km piąty etap znów będzie typowo górski, z przewyższeniem ponad 3000 m. Na metę w Bielsku-Białej kolarze wyruszą z Pszczyny.

Przedostatni etap to jazda indywidualna na czas w Katowicach na dystansie 16,6 km. Katowicka trasa tradycyjnie będzie przebiegać ulicami ścisłego centrum miasta, kolarze będą mieli okazję także przejechać przez unikatowy Nikiszowiec oraz Dolinę Trzech Stawów, które obrazują, jak zielone są Katowice. Meta „czasówki" będzie zlokalizowana przy katowickim Spodku.

Wyścig zakończy niespełna 167-km etap z Zabrza do Krakowa z metą przy krakowskich Błoniach, gdzie odbędzie się dekoracja najlepszych kolarzy na trasie 80. Tour de Pologne.

O zwycięstwo w klasyfikacji generalnej ORLEN w tym roku będą rywalizować zdaniem fachowców tacy zawodnicy, jak: João Almeida (UAE Team Emirates), zwycięzca edycji 2021, Geraint Thomas (Ineos Grenadiers), który wrócił po znakomitym maju we Włoszech, Tim Wellens (UAE Team Emirates), zwycięzca TdP 2016, i Pavel Sivakov (Ineos Grenadiers), zwycięzca TdP 2019. Pod polską flagą, ale reprezentując swoje drużyny, pojedzie dwóch byłych zwycięzców rodzimego wyścigu, Rafał Majka (UAE Team Emirates), który zajął 14. miejsce w klasyfikacji generalnej tegorocznego Tour de France, i Michał Kwiatkowski (Ineos Grenadiers), zwycięzca Tour de Pologne 2018 i niedawny mistrz podjazdu Grand Colombier.

Bardzo ciekawie zapowiada się także rywalizacja wśród specjalistów od szybkiej jazdy w klasyfikacji najlepszego sprintera Energa Grupa ORLEN. Tutaj do zwycięstwa typowani są: Fernando Gaviria (Team Movistar), Jonathan Milan (Bahrain Victorious) i Tim Merlier (Soudal Quick-Step). Zawodnicy będą także rywalizować o koszulkę najlepszego górala i najaktywniejszego kolarza TdP. Jednak najbardziej pożądaną koszulką będzie bez wątpienia żółta koszulka klasyfikacji generalnej, sponsorowana po raz pierwszy przez ORLEN, wieloletniego partnera Lang Team we wszystkich wyścigach z bogatego kalendarza sportowego: ORLEN Wyścig Narodów, Tour de Pologne Junior i ORLEN Tour de Pologne Amatorów oraz ORLEN Lang Team Race.

**PARTNER DODATKU**

ORLEN



eprasa.pl a752d979dc

NATALIA BOROWIK, KAZIMIERA SOLEJUKOWA, BRONISŁAWA WINNA

# Apetyt na powtórki



Letnia pora karmi się serialowymi powtórkami. Na różnych telewizyjnych kanałach możemy oglądać rozpięte w czasie sezony m.in. „Ojca Mateusza", „Rancza", a także „Stulecia Winnych".

W sandomierskiej plebanii (przywołanej ponowną emisją 12. sezonu) pojawił się ostatnio przedstawiciel wydawnictwa z książką autorstwa Natalii Borowik. Rozwój kulinarnego talentu rezolutnej gospodyni księdza podziwiali najpierw domownicy, potem czytelnicy „Nowin Sandomierskich" oraz bloga Natalii. Na koniec sekrety przypisanych jej dań trafiły do widzów serialu (wydane w 2014 r. w książce „Przysmaki ojca Mateusza. Domowa kuchnia Natalii").

Wśród kilkudziesięciu smakowitych propozycji znalazła się m.in. nieoceniona w letni czas tarta z malinami, a także gumułki (serowe bułeczki, które „namieszały w historii sandomierskiej kryminalistyki") czy regionalna pamuła (zupa śliwkowa, której zapach gospodyni księdza określa jako „obłędnie śliwkowo-śmietanowy", uznając, że to potrawa dobra na wszelkie smutki).

Letnia pora przywołuje również wspomnienia Natalii związane z zupą z kwaśnych liści opata Teodoryka, czyli poczciwej szczawiowej. Późnym latem do menu plebanii wróci kugiel – zapiekanka z ziemniaków oraz baraniny i gęsiny (ewentualnie mięsa z kaczki) podawana z sosem borowikowym i surówką z kiszonej kapusty (lub polana kwaśną śmietaną). Fanów mają też pierogi Bazylego z białym serem i kaszą gryczaną.

À propos pierogów, to zagorzali wielbiciele „Rancza" z pewnością przywołają szybko najlepsze pierogi na świecie Kazimiery Solejukowej (granej przez Katarzynę Żak). Na facebookowym profilu „Solejukowa" znaleźć można przepis na wersję z mięsem. Tradycyjny smak dopełnia tu omasta (pół kostki smalcu i trzy średnie cebule, warto jednak pamiętać, że ta dodatkowa ilość tłuszczu jest przeznaczona do pierogów zrobionych z 1 kg mąki i 60 dag ugotowanego mięsa).

Rodzinną tradycję kulinarną przez kolejne pokolenia budują też członkowie rodziny Winnych. Nestorka rodu, Bronisława (w tej roli Kinga Preis, tak dobrze znana widzom z sandomierskiej plebanii), za sprawą Albeny Grabowskiej (autorki książek, na podstawie których powstał serial) kilka lat temu podzieliła się z widzami kulinarną wiedzą w książkach „Stulecie Winnych. Notes kulinarny" i „Przysmaki rodziny Winnych".

Przywołała w niej m.in. popisową zupę swojej babci – sabelwon (kurpiowską wersję fasolowej, jarskiej, ale z dodatkiem śliwek, miodu i odrobiny utartej gałki muszkatołowej) oraz uwielbianą przez jej męża Antoniego polewkę piwną (robioną na śniadanie). To ponoć najstarsza polska zupa. Raczono się nią na dworze króla Jagiełły. W propozycji Winnych pojawiły się w niej dodatkowe składniki.

***Jolanta Gajda-Zadworna***

## Polewka piwna z serem (caseata)

*(przepis z książki „Stulecie Winnych. Notes kulinarny")*

**Składniki:** 300 g surowego wędzonego boczku, 1 litr piwa pszenicznego niepasteryzowanego, 250 g białej kapusty, 1 średni por, 1/2 l mleka, 200 g serka topionego kremowego, 150 g sera żółtego, 3 ząbki czosnku, 2 łyżki masła, 2 łyżki mąki, 1 łyżka smalcu, 1/2 pęczka szczypiorku, sól, pieprz.

**Wykonanie:** Boczek pokrój w paseczki i podsmaż na smalcu na złoty kolor. Dodaj pokrojony w cienkie półkrążki por oraz masło. Całość chwilę podduś na wolnym ogniu. Mieszając, dodawaj po kolei mąkę, piwo oraz poszatkowaną kapustę. Gotuj na wolnym ogniu, aż kapusta zmięknie. Następnie dodaj mleko, posiekany czosnek i serek topiony. Dopraw do smaku solą i pieprzem. Na talerzu posyp tartym żółtym serem i posiekanym szczypiorkiem.





eprasa.pl a752d979dc



SŁODKO-SŁONY

# Smaki z podróży

ANNA MONICKA

Wycieczka była krótka, ale jakże niesamowita. Ledwo wróciłyśmy i już szykujemy się na następną. Chwilowe ochłodzenie sprzyja zwiedzaniu, więc postanowiłyśmy wykorzystać okienko pogodowe i ruszyłyśmy do Drohiczyna. Wypatrywałyśmy po drodze małych, drewnianych domków z oknami otoczonymi wyrezkami i cerkiewek. Ile widziałyśmy bocianów? Nie zliczę. Mama z córką przekrzykiwały się, ile łebków siedzi w gniazdach. Gdzieniegdzie rodzice, wypychani przez całkiem już spore podloty, stali na pobliskich latarniach, zazwyczaj na jednej nodze, chudej i patykowatej, aż dziw bierze, że utrzymującej w pionie takie duże ptaszysko. Na polach też ich pełno, zwłaszcza za ciągnikami, które ruszyły już do pracy. Widać, że mazowiecko-podlaskie pogranicze im sprzyja.

Drohiczyn urokliwy, wciąż nosi ślady dawnej świetności, był przecież stolicą Podlasia, portem na Bugu, który malowniczo meandruje u podnóża Góry Zamkowej. W urokliwej restauracji Pod Katedrą zjadamy genialne ciasto malinowo-bezowe, ale naszą uwagę zwraca także tutejszy przysmak – zupa chołojec. Kelnerki mówią, że to taka ogórkowa na zimno, podawana z tłuczonymi ziemniakami, ale więcej szczegółów znajdujemy w „U Pana Boga przy stole. Przewodniku po lokalnych przysmakach" wydawnictwa Paśny Buriat (mnóstwo ciekawych tytułów), autorstwa Michała Skoczka i Pawła Kotwicy, którzy oprowadzają po knajpkach Podlasia i Suwalszczyzny oraz podają sporo receptur na regionalne dania.

Wśród parowańców, zagubów, czuberków, kartaczy, bab i kiszek ziemniaczanych znajdujemy także przepis według pani Basi z restauracji Pod Katedrą. Chołojec jada się w upały tylko w okolicach Drohiczyna, są do niego potrzebne ogórki, cebula, przegotowana woda, śmietana i ocet. Cebule trzeba pokroić drobno i utrzeć z solą, ogórki pokroić w małą kosteczkę i także posolić, żeby puściły sok (którego jednak nie wylewamy), zalać wszystko wodą, śmietaną, dobrze wymieszać i podprawić octem. Odstawić do schłodzenia i żeby się smaki przegryzły. Proste składniki, byle dobre gatunkowo, tworzą naprawdę pyszne danie.

Następny wypad – kierunek Białystok: Tykocin, Supraśl i tatarskie smaki w Kruszynianach.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

# Łąki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy mówimy o łąkach, na myśl przychodzą przestrzenie porośnięte trawą i urozmaicone kwiatami. Jest to słuszne wyobrażenie. Należy jednak uzmysłowić sobie wielkie zróżnicowanie siedlisk łąkowych, obejmujących dziesiątki, jeżeli nie setki najrozmaitszych wariantów, różniących się między sobą uwilgotnieniem – od skrajnie suchych muraw napiaskowych po zmiennowilgotne łąki trzęślicowe; wysokością nad poziomem morza – od wysokogórskich bezwapiennych wyleżysk śnieżnych po niżowe murawy bliźniczkowe; kwaśnością podłoża – od muraw acidofilnych po pionierskie zbiorowiska na podłożu wapiennym i niezliczonymi innymi czynnikami. W zróżnicowanie siedlisk łąkowych można wnikać niemal bez końca, dochodząc do jednostek coraz niższego rzędu i coraz bardziej lokalnych.

Nauce zresztą nie udało się dotąd stworzyć kompletnej systematyki opisującej całą złożoność i różnorodność łąk. Być może – biorąc pod uwagę nieskończoną niemal możliwość wyszukiwania różnych niuansów na najróżniejszych poziomach, a także fakt, że przyroda wokół nas wciąż się zmienia, ostateczne opisanie zróżnicowania łąk nigdy nie powstanie. Dążenie do jego stworzenia jest dążeniem słusznym, im lepiej bowiem coś znamy, tym lepiej możemy to chronić. W każdym razie urok poznawania przyrody leży w różnorodności wymagającej ciągłego zgłębiania, a mimo to wciąż nieuchwytnej.

Naukowe nazewnictwo łąk nie brzmi wcale sucho i technicznie, wręcz przeciwnie, tworzone przy niejednokrotnym zastosowaniu słowotwórstwa wywodzącego się od gatunków charakterystycznych ma w sobie dużą dozę poezji: łąka olszewnikowo-trzęślicowa (*Molinieto medioeuropaeum*) z trawą trzęślicą modrą (*Molinia caeruleae*) i baldaszkowatym olszewnikiem kminkolistnym (*Selinum carvifolia*), łąki selernicowe z selernicą żyłkowaną (*Kadenia dubia*), murawy bliźniczkowe (*Nardetalia*) z bliźniczką psią trawką (*Nardus stricta*) i bardzo rzadką paprocią – podejźrzonem księżycowym (*Botrychium lunaria*) nazywane też psiarami, wśród których wyróżnia się m.in. suchą psiarę i mokrą psiarę – i wiele, wiele innych.

A na wakacje polecam odszukanie: łąki ostrożeniowej – w górach i na wyżynach, ziołorośli nadrzecznych – w dolinach rzek oraz łąki świeżej z piękną trawą drżączką średnią (*Briza media*) nazywaną lokalnie łezkami Matki Boskiej.



eprasa.pl a752d979dc

# Chcieli być wolni i wolność sobie zawdzięczać



*Alina Czerniakowska*

1 sierpnia to dla mnie data bardzo szczególna, tak było zawsze w mojej rodzinie, nie mogło nas zabraknąć wśród krzyży powstańczych na warszawskich Powązkach. Teraz też cieszę się, że będę mogła spotkać dr Ewę Wolak, żonę powstańca Zbigniewa Wolaka „Szczupaka", wieloletniego eksperta ONZ ds. architektury tropikalnej w wielu krajach świata. Przyjadą też wierni pani Marii Fieldorf, Irek i jego koledzy z Gdańska, by stanąć przy jej grobie, który jest jednocześnie symbolicznym grobem jej wielkiego ojca gen. Emila Augusta Fieldorfa, najwyższego rangą oficera zamordowanego bestialsko przez ubowców na Rakowieckiej w Warszawie.

Nie tylko spotkam wielu znajomych, przyjaciół, lecz także zasmucam się, gdy słyszę rozmowy ludzi, którzy przyszli na Powązki, zapalili znicze przy krzyżach powstańczych, ale w ogóle nie rozumieją, o co walczyli powstańcy. Na równi zapalają znicze przy grobach Jaruzelskiego, Geremka, Kołakowskiego, Kuronia, a Kuklińskiego pomijają, twierdząc, że zdradził PRL. Okazuje się, że nawet w kontekście obecnej wojny na Ukrainie niewiele rozumieją, a przecież wydawałoby się, że tutaj, na Powązkach, 1 sierpnia wszyscy doskonale rozumieją sens walki tamtych bohaterów.

Gdy myślę o tym poplątaniu z pomyleniem, zatraceniu sensu powstania, przychodzi mi na myśl wiersz Mariana Hemara napisany na emigracji wiele lat po powstaniu: „A dzisiaj ta ciżba moskiewskich zaprzańców, / A dzisiaj te same psubraty / Z butami się pchają na groby powstańców / I wieńce im niosą i kwiaty / Dziś oni te groby chcą wziąć w swą arendę / I ukraść im honor tej chwili / I zwołać umarłych pod swoją komendę / Gdy żywych już sami dobili".

Na szczęście są nadal Polacy, dla których takie słowa jak „wolność", „godność", „honor" są święte i zachowały prawidłowe znaczenie. Pan Adam ze Szczecina zabiera całą rodzinę i jedzie do Warszawy, specjalnie na 1 sierpnia, by w godzinę W oddać hołd bohaterom. „Tam są groby wspaniałych Polaków, Warszawa to święte miejsce. Tu w mojej stolicy stąpam po śladach tych najdzielniejszych, tu ich krew wsiąkła, wy żyjący tu na co dzień nie doceniacie, że chodzicie i mieszkacie w miejscu wyjątkowym, świętym. My jedziemy z dziećmi przez całą Polskę, żeby co roku 1 sierpnia tu być".

Takich i podobnych wypowiedzi słyszę więcej w tych dniach w Warszawie. Młodzi ludzie z różnych zakątków Polski, często ubrani w mundurki harcerskie z biało-czerwonymi opaskami na rękawach jak ich rówieśnicy z 1944 r., przyjeżdżają co roku 1 sierpnia do Warszawy. Jest to swoista sztafeta pokoleń, wierne wypełnianie testamentu tamtego niezwykłego pokolenia. Ich obecność, postawa nie tylko wzruszają i napawają dumą, lecz także nie pozwalają zwątpić w siłę Polski, dają nadzieję, że otrząśniemy się z tego oplatającego nas kłamstwa i wszelkiego zła. Trwa walka duchowa między dobrem a złem.

Świat się polaryzuje coraz bardziej, ci dobrzy stają się coraz lepsi, a ci źli brną w swoje zło, coraz bardziej wyrafinowane. Dwa bieguny – piszą i mówią o tym naukowcy, obserwatorzy życia społeczeństw na całym świecie. Od nas zależy, w jakim kierunku pójdzie Polska, czy zdołamy się oprzeć wszelkim złym prądom, odrzucimy głupie, ślepe naśladownictwo i schlebianie rzekomej nowoczesności, czy potrafimy ocalić narodowe dziedzictwo wielowiekowej historii, opartej na chrześcijańskich wartościach?

Jan Paweł II mówił do nas w czasie swojej pierwszej wizyty w umiłowanej ojczyźnie: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, która w 1944 r. zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu".

Czy zdołamy tak kształtować własne życie, by dawać przykład bliskim, otoczeniu, wtedy może innych to zainteresuje, zaimponujemy im i zaczną nas naśladować. Walka ze złem opartym na kłamstwie jest bardzo skomplikowana, wielopłaszczyznowa, szczególnie trudno przekazywać wiedzę historyczną, nakłonić do poznawania faktów ludzi młodych wychowanych w domach postkomunistów, których rodzice na początku III RP zachowali władze, przejęli majątek narodowy i bronią swojego *status quo*. Kłamstwu ulegają nawet ci, którzy – wydawałoby się – świetnie rozumieją, co jest grane, jednak silniejsza jest chęć zabłyśnięcia, szybkiej kariery, popularności, materialnego blichtru.

Na szczęście coraz więcej młodych ludzi rozumie sens tamtej walki o niepodległość, przychodzą na Powązki, a potem na pl. Piłsudskiego wspólnie śpiewają pieśni powstańcze, napisane na barykadach przez ich rówieśników z '44.

1 sierpnia 1944 r., Warszawa – nikt ich nie wyprowadził na ulice, nikt im nie kazał iść do powstania, mieli pełną świadomość sytuacji, w jakiej znalazła się Polska: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo / byś wybawiła nas od czarnej śmierci / byś nam kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci / była zbawieniem witanym z odrazą" – pisał zaledwie 21-letni powstańczy poeta Józef Szczepański „Ziutek" w dramatycznym wierszu.

1 sierpnia trzeba być na warszawskich Powązkach wśród brzozowych krzyży tych, którzy podjęli walkę z dwoma okupantami, walkę nierówną, bohaterską, wielką i najwspanialszą w naszych dziejach. Tak mówił mój ojciec, który z kolegami z AK z Okręgu Płockiego próbował iść na pomoc powstańczej Warszawie. Doszli pod Modlin i tam nie mogli przedostać się przez niemieckie oblężenie. Wspominał te chwile i nie potrafił ukryć łez: „Chłopaki upadli na kolana, widząc płonącą Warszawę. Płakaliśmy, chociaż każdy z nas był twardy jak stal". Nigdy nie zapomnę jego oczu, twarzy, jak o tym mówił, powtarzał: „Pamiętajcie – 1 sierpnia zawsze bądźcie przy grobach tych najdzielniejszych. Oni są symbolem polskości".

*Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką*

Autopromocja



eprasa.pl a752d979dc

# Muzyka pod okiem Opatrzności



*Adam Ciesielski*

Dwie pierwsze symfonie Pawła Łukaszewskiego, które się właśnie ukazały, są wyznaniem wiary kompozytora w Boga i odzwierciedleniem jego fascynacji artystycznych. Z Gustawem Mahlerem i Henrykiem Mikołajem Góreckim na czele.

Atuty albumu to ekspresyjne, zachęcające do refleksji nad kondycją ludzką dzieła w wykonaniu orkiestry, chórów i stawki wybornych solistów.

Urodzony w 1968 r. w Częstochowie Łukaszewski jest absolwentem warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, uczelni, której obecnie jest prorektorem. Pracę naukową, organizacyjną i dyrygencką łączy z twórczością artystyczną. Szczególnie obfitującą w dzieła o tematyce *sacrum*, za które zbiera niezliczone nagrody w kraju i za granicą. To dziś jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci współczesnej muzyki sakralnej na świecie.

Już I symfonia, powstała w latach 1997–2008, imponuje bogactwem środków, za pomocą których kompozytor podejmuje temat roli Opatrzności w życiu człowieka. Teksty dotyczące tej sfery są eksponowane przez zróżnicowaną oprawę instrumentalną, rozbudowane partie chóralne i solowe. II symfonia z 2005 r. zawiera dedykację: „Johannes Paulus II in memoriam". Krótki, ale jakże głęboki tekst ks. Jana Twardowskiego oddaje sens przesłania płynącego z nauki wielkiego papieża: „Kochamy wciąż za mało i stale za późno". Barwna, zmienna dynamicznie muzyka Łukaszewskiego trafnie oddaje te motywy.

Wydane teraz symfonie Pawła Łukaszewskiego nagrywano w Białymstoku i Warszawie kilkanaście lat temu. Nie czuje się upływu czasu, choć dziś realizacja byłaby pewnie inna. I nie ma wśród nas niektórych uczestników tamtych sesji. M.in. w 2011 r. zmarła Małgorzata Orawska odpowiedzialna za przygotowanie Chóru Polskiego Radia w Krakowie. W 2023 r. pożegnaliśmy przedwcześnie zmarłego solistę, bas-barytona Jarosława Bręka. Dzięki Bogu za piękną muzykę, jaką nam zostawili!




**Paweł Łukaszewski, I symfonia („Symfonia o Opatrzności"), II symfonia „Festinemus amare homines", wyk. Chór i Orkiestra Filharmonii Podlaskiej pod batutą Marcina Nałęcz-Niesiołowskiego i Piotra Borkowskiego, Chór Polskiego Radia w Krakowie. Soliści: Anna Mikołajczyk-Niewiedział, sopran, Agnieszka Rehlis, mezzosopran, Jarosław Bręk, baryton, Ravel Piano Duo: Agnieszka Kozło, Katarzyna Ewa Sokołowska, wyd. DUX**



PRZEZ ŚWIETLIK

# Ruscy idą!



*Wiktor Świetlik*

Jeśli spojrzeć na rosyjską dezinformację dziś, a także na jej historię, to widać, że środowiska „Gazety Wyborczej" zapisały w niej wyjątkowo wydajną rolę. Czy zrobiły to świadomie, czy tylko niejako przy pracy, wykorzystując antypolskość jako element walki o władzę i pieniądze w „tym" tak pogardzanym przez nie „kraju", jest wtórne i mało istotne. Niech sobie to rozstrzygają przyszli akademicy.

Nasz nieprawdopodobnie wydajny prof. Andrzej Nowak właśnie opublikował książkę, w której dopisał klamrę do swoich dotychczasowych rozważań na temat rosyjskiego i sowieckiego imperializmu. Właściwie książkę „Powrót »Imperium Zła«" zawdzięczamy samemu Putinowi, gospodarzowi Michnika z Klubu Wałdajskiego, który za pomocą faktów dokonanych nałożył na rozważania Nowaka historyczną klamrę. Ciekawy jest jednak wątek osłabiania Polski i dezawuowania Polaków w oczach świata, procesu mającego za sobą także dobre trzy wieki. Putin – ukazany przez Nowaka także jako historyk, ba, kreator całej linii narracyjnej – jest bardzo w tym konsekwentny.

Oczywiście względnie to znamy. I to wcale nie od Katarzyny II ani od Mołotowa, ani od GRU w okresie Solidarności, ani od Putina. To opowieści, które na dobre zagościły u nas i były rozprowadzane wewnętrznie, choć fakt, nierzadko przez ludzi o sowieckich rodowodach. Wrodzony polski antysemityzm, rasizm, nietolerancja i zacofanie wynikające z katolicyzmu, niezdolność do organizacji rekompensowana agresją. Znamy, panie Putin. Znamy z opowieści różnych, nie wiadomo skąd wyciągniętych wariatek o tym, jak to je lud i policja prześladuje, z historii dziennikarzy „Gazety", jak to wagnerowcy pomagają Putinowi, i dokładnie pokrywającymi się z kluczową antypolską narracją sugestiami Radosława Sikorskiego o planowanym przez Kaczyńskiego rozbiorze Ukrainy. Do tego wszystkiego, jak się okazuje, nawet rzecz elementarna jak ochrona granicy jest zbrodnią przeciwko ludzkości, czego będzie dowodzić w swoim wiekopomnym dziele reżyserskie guru. Czegóż chcieć więcej?

Bez nich, bez promocji pani Joanny, bez dziennikarskich idiotów przyzdabiających dom weselny ośmioma gwiazdkami, bez konsekwentnego rozsadzania Polski od wewnątrz, w końcu bez szczucia Polaków na Ukraińców (ale to dotyczy innej strony politycznej) Putinowi byłoby dużo trudniej. Na szczęście mamy takich obywateli, szczególnie dziennikarzy, współczujących, pomocnych, którzy od lat mu pomagają. Byle napluć na otoczenie, pośród którego, bo nie w nim, się wychowali.

# Rewolucja pożera własne dzieci



*Lech Makowiecki*

Są przysłowia, które bezwiednie powtarzamy, nie wgłębiając się zbytnio w ich sens. Ot, ładnie brzmią i są wizytówką naszej wiedzy nabytej. Tymczasem „kanibalizm" Wielkiej Rewolucji Francuskiej (1789–1799) i rosyjskiej rewolucji październikowej (1917) jest głęboko udokumentowany. Ojcowie założyciele największych rewolt – Danton czy Trocki – otwierają krwawe listy ofiar własnego terroru, na które wpisano miliony niewinnych współobywateli, zamordowanych w imię jedynie słusznych, wolnościowych idei. „Liberté, égalité, fraternité ou la mort" („Wolność, równość, braterstwo albo śmierć") – to pełna wersja znanej, jakobińskiej dewizy. Karol Marks mimo posiadanej wiedzy o skutkach francuskiej hekatomby akceptował brutalne metody realizacji rewolucyjnych celów. Jego uczniowie – Lenin, Stalin, Mao, Castro czy Pol Pot – próbowali wdrożyć komunistyczne utopie w skali makro (*vide*: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!"). Skończyło się to masowym ludobójstwem, pauperyzacją całych narodów i zniewoleniem kolejnych pokoleń.

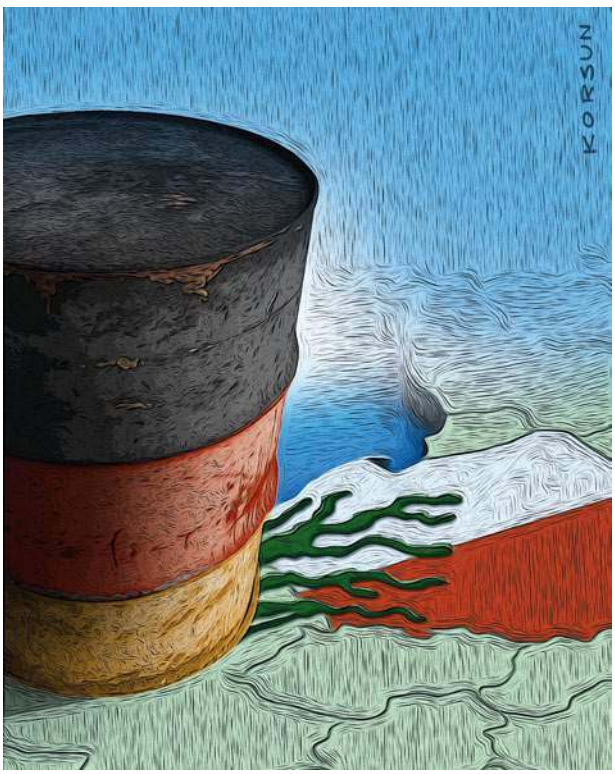
Socjalistyczne mrzonki to nie tylko kolor czerwony, lecz także brunatny (nazizm), zielony (ekologizm) czy tęczowy (genderyzm). Towarzyszy im zawsze zapiekły radykalizm w hodowaniu nowego człowieka przez rozbicie struktur rodzinnych i wspólnotowych. A realizuje się to wszystko za pomocą globalnej kontroli nad społeczeństwem, przymusowej reedukacji i opresyjnego przekonywania do aborcji, eutanazji, sanitaryzmu czy admiracji LGBT+. Ten rozłożony nieco w czasie proces agresywnej demoralizacji/zastraszania jest wprowadzany (dość skutecznie) metodą kija i marchewki.

Ale proces pożerania dzieci rewolucji właśnie się zaczął. Doświadczyli już tego nienachalni homoseksualiści, oskarżani o brak entuzjazmu dla publicznego wyuzdania! Przegrały feministki, upokarzane na każdym kroku przez mężczyzn „trans" (w sporcie, w wyborach miss, w WC). A demograficznie przegrywa dziś cała biała rasa!



eprasa.pl a752d979dc

***Michał Korsun prezentuje:***
***Niemcy nie śmiecą w Polsce, tylko landy...***




## *Wycinki z przeszłości*

Jeśli podczas spaceru czy przejażdżki po terenach wiejskich podniesiemy dziś głowę, to często zobaczymy taki właśnie widok. Bocianie dzieci są już odchowane, wkrótce zaczną się uczyć latać. Bociany białe to jeden z symboli Polski. Mamy ich w kraju (precyzyjnie mówiąc, miewamy, bo przecież odlatują jesienią) ok. 47 tys. par, co oznacza nieznaczny spadek w porównaniu z 2004 r. Przyczyną jest likwidacja – zwłaszcza w województwach zachodnich – podmokłych łąk, małych zbiorników wodnych. Bocian może żyć nawet 30 lat, może ważyć 4,5 kg. Bez nich polski krajobraz byłby dużo smutniejszy.

***(mk)***




# W 100-lecie urodzin

***Wisława Szymborska (1923–2012)***
***„O śmierci bez przesady"***



***Leszek Długosz***

*Nie zna się na żartach,*
*na gwiazdach, na mostach,*
*na tkactwie, na górnictwie, na uprawie roli,*
*na budowie okrętów i pieczeniu ciasta.*

*W nasze rozmowy o planach na jutro*
*wtrąca swoje ostatnie słowo*
*nie na temat.*

*Nie umie nawet tego,*
*co bezpośrednio łączy się z jej fachem:*
*ani grobu wykopać,*
*ani trumny sklecić,*
*ani sprzątnąć po sobie.*

*Zajęta zabijaniem,*
*robi to niezdarnie,*
*bez systemu i wprawy.*
*Jakby na każdym z nas uczyła się dopiero.*

*Tryumfy tryumfami,*
*ale ileż klęsk,*
*ciosów chybionych*
*i prób podejmowanych od nowa!*

*Czasami brak jej siły,*
*żeby strącić muchę z powietrza.*
*Z niejedną gąsienicą*
*przegrywa wyścig w pełzaniu.*

*Te wszystkie bulwy, strąki,*
*czułki, płetwy, tchawki,*
*pióra godowe i zimowa sierść*
*świadczą o zaległościach*
*w jej marudnej pracy.*

*Zła wola nie wystarcza*
*i nawet nasza pomoc w wojnach i przewrotach,*
*to, jak dotąd, za mało.*

*Serca stukają w jajkach.*
*Rosną szkielety niemowląt.*
*Nasiona dorabiają się dwóch pierwszych listków,*
*a często i wysokich drzew na horyzoncie.*

*Kto twierdzi, że jest wszechmocna,*
*sam jest żywym dowodem,*
*że wszechmocna nie jest.*

*Nie ma takiego życia,*
*które by choć przez chwilę*
*nie było nieśmiertelne.*

*Śmierć*
*zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona.*

*Na próżno szarpie klamką*
*niewidzialnych drzwi.*
*Kto ile zdążył,*
*tego mu cofnąć nie może.*


**Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika**

| CENNIK PRENUMERAT* | OKRES PRENUMERATY | | |
|---|---|---|---|
| | 3 miesiące | 6 miesięcy | 12 miesięcy |
| SIECI | **82** zł | **149** zł | **265** zł |
| wSIECI HISTORII | – | **34** zł (3 wydania) | **59** zł (6 wydań) |
| pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII** | – | **169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII) | **295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII) |

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*




eprasa.pl a752d979dc



OD A DO ZYBERTOWICZA

# Z jaką siłą uderzy

*Jako życiowy optymista (choć cywilizacyjny sceptyk) zakładam, że ludzkość nie osiągnęła jeszcze punktu krytycznego*

Wygląda na to, że ludzkość potrzebuje potężnego kryzysu. Potężnego, ale nie za silnego. Niestety, nie może też być za słaby. Powinien być taki w sam raz: by dostatecznie mocno nami potrząsnął, ale zarazem pozwolił dalej funkcjonować naszej cywilizacji.

## RYZYKO EGZYSTENCJALNE

Ostatnio przebywam w miejscu, gdzie uporczywie pada – stąd nastrój tego felietonu nie jest wakacyjny. Pamiętam też, że bez przerwy pracuje maszynka technoentuzjazmu: tworzenia innowacji bez ładu i składu. Maszynka ta nie zwraca uwagi na porę roku ani pogodę. Ani na kwestie moralne, ani na społeczne skutki ciągłego rozrywania tkanki kulturowej przez cyfrowe „osiągnięcia".

O co zatem chodzi? O ryzyko egzystencjalne – tak badacze cywilizacji określają zagrożenia mogące z sobą przynieść likwidację ludzkiego gatunku.

## ZAMIANA MIEJSC

Już coraz więcej ekspertów dopuszcza myśl, że niedawne, szybkie postępy sztucznej inteligencji doprowadziły ludzkość do punktu przełomowego. Do miejsca, w którym technologie – wytwory ludzkich umysłów – już zupełnie wymkną się spod naszej kontroli. Eksperci podkreślają: im sprawniejszy jest system sztucznej inteligencji, tym trudniej jest go kontrolować, a nawet w ogóle zrozumieć, jak działa.

Mniej więcej od czasu rozpowszechnienia internetu technologie, które przez tysiąclecia służyły człowiekowi, coraz bardziej nad człowiekiem dominują. W relacji pan – sługa: człowiek/pan – technologie/nasze narzędzia zamieniamy się miejscami, z pozycji władcy przechodzimy na pozycję poddanego. Coraz częściej mówi się, że to my mamy dopasowywać się do wymogów zmieniających się technologii, a nie odwrotnie. Wzywa się nas do gonienia gdzieś tam uciekającej techniki – zapominając, że rządzą nią nie racje moralne, ale brutalne prawa rynku, kapitału i zysku.

## PUNKT KRYTYCZNY

Jako życiowy optymista (choć cywilizacyjny sceptyk) zakładam, że ludzkość nie osiągnęła jeszcze punktu krytycznego, tj. takiego, po którego przekroczeniu zupełnie traci się kontrolę nad zbudowanymi przez siebie technologiami. Przyjmuję przeto, że jeszcze jesteśmy w stanie uniknąć katastrofy, tj. osiągnięcia przez AI takiej potęgi, wobec której będziemy całkiem bezradni.

## MORATORIUM TECHNOLOGICZNE

Od lat jestem po stronie tych badaczy AI oraz ekspertów, którzy mówią o potrzebie moratorium technologicznego – spowolnienia lub nawet czasowego wstrzymania rozwoju na niektórych polach. Po to, by ludzkość zyskała czas do namysłu. Do namysłu pozwalającego jakoś uporządkować ten cały bałagan rewolucji cyfrowej. Ale niestety wezwania do takiego moratorium ciągle brzmią niczym głos wołającego na puszczy.

## OGRANICZONA RACJONALNOŚĆ

Bardzo wiele bowiem wskazuje, że racjonalne argumenty (z zasadą ostrożności na czele – kto nie wie, co ta zasada mówi, niech sprawdzi w internecie) nie wystarczają, by ochłodzić rozpalone głowy technoentuzjastów i finansujących ich biznesmenów.

Gdy ludzie mają podjąć jakieś decyzje, które są trudne psychologicznie, a w dodatku wiążą się z dużymi kosztami społecznymi, bardzo rzadko dają się skłonić do działania samą siłą racjonalnych argumentów. Zwykle jest tak, że aby dostatecznie śmiało zareagowali, muszą przedtem odebrać odpowiednio silne sygnały ostrzegawcze. Takie, które ukazując wielką skalę zagrożenia, zmotywują do śmiałych działań zaradczych.

## SEDNO

I tu doszliśmy do sygnalizowanego na początku felietonu sedna sprawy. Ludzie nigdy wcześniej nie budowali technologii, która może posiąść moc oddziaływania na całą planetę i zarazem nas przerosnąć.

Lecz jeśli kryzys będzie *za silny*, czyli jeśli AI kompletnie rozwali ludzką cywilizację, to... To już po nas i koniec rozmowy. Jeśli zaś pojawią się wstrząsy – czytaj: sygnały ostrzegawcze – *o zbyt małej sile*, to zostaną one zlekceważone i... dalej będziemy podążać ku przepaści.

Może dla kogoś brzmi to dziwnie: ale jeśli mam rację, to nadzieja dla ludzkości w tym, że kolejny wstrząs będzie na tyle bolesny, że ludzkość się opamięta i zmieni trajektorię rozwoju, ale zarazem na tyle słaby, że nie pozbawi nas zdolności wzięcia się w garść.

***Andrzej Zybertowicz***

Autopromocja | Reklama 56/0623/F



eprasa.pl a752d979dc

wSIECI HISTORII

# Nowe wydanie

## w kioskach!




**Ostra jazda**
– nieznana chluba polskiej kawalerii

**Józef Haller**
– niezłomny generał Błękitnej Armii

**Afera na Okęciu**
– przemytnicy z Legii Warszawa




**Zamów e-prenumeratę** SIECI i wSIECI HISTORII
**50% taniej!**

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl a752d979dc

LOTTO

# LOTERIADA

## POCZUJ ZEW NAGRÓD!

**1x**
**Kia XCeed**

**4x**
**kultowy włoski skuter**

Do wygrania łącznie
**2,5 MLN**
talonów na Lotto i Ekspres Losy*
oraz ponad 600 nagród!














Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz Lotto lub Lotto Plus i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z łącznej puli 2,5 MILIONA talonów na Lotto i Ekspres Losy*.

**100x** drukarka INSTAX

**20x** iPhone 14

**500x** karta podarunkowa 4F 500 zł

**Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!**

**Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl**

18+

Szczegóły i regulamin na loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 29 czerwca do 14 sierpnia 2023 r. * Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 1 500 000 talonów na Lotto oraz 1 000 000 talonów na losy loterii „Pełna Skarbonka". Organizator: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią: 459 59 59 00, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8.00-18.00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.